



UPIORNA
SZKOŁA

LISI HARRISON

BUKOWY LAS

Lisi Harrison

UPIORNA SZKOŁA

Ma nos wprost spod skalpela Zauroczył ją Jackson, intrygujący dziwak z naprzeciwnika. Nosi oldskulowe Tshirty, czarne džinsy i różowe conversy.

Melody zamieniła adres w Beverly Hills na świeże powietrze w Salem w Oregonie. Pozbyła się garbka z nosa oraz ataków astmy i w Merston High, swojej nowej szkole, wreszcie ma szansę zostać gwiazdą. Czuje się jednak nieswojo - aż do chwili, gdy spotyka Jacksona. Ale czy ten chłopak też czegoś nie ukrywa? Czy jego sekret może być związany z pogłoskami o widzianych w okolicy... potworach?

Ma... cóż, wszystkie części ciała Frankie są nowe. Wzdycha do Bretta, który ma już dziewczynę (chorobliwie zazdrosną).

Nosi golfy z gryzącej wełny (choć wolałaby minispódniczki i bluzki bez rękawów)

Frankie mieszka w Salem od urodzenia, czyli dokładnie od piętnastu dni. Postanowiła wziąć szturmem szkołę Merston High, zdobyć zainteresowanie chłopców i podbić galerie handlowe. W tej kolejności. Gdyby tylko ludzie, zamiast bać się jej miętowo zielonej skóry, docenili jej wyjątkowe wyczucie stylu... Frankie powinna udawać normalną i ukrywać swoją wielką tajemnicę, a zamiast tego ryzykuje wszystko - dla jednego skradzionego pocałunku.

Czy potwór da sobie radę w normalnym świecie?

Richardowi Abate'owi: wiernemu przyjacielowi, dzielącemu moje uzależnienie od gumy do żucia i genialnemu agentowi, który przetrwał ze mną niejedną burzę mózgów. Dziękuję Ci tysiącrotnie.

PROLOG

Frankie Stein otworzyła oczy, trzepocząc gęstymi rzęsami. Migające rozbłyski jasnego światła utrudniały jej skupienie wzroku, a ciężkie powieki niezdolnie opadały. Nagle w pomieszczeniu zapadła ciemność.

- Kora mózgowa naładowana - oznajmił głęboki, męski głos, w którym pobrzmiwały satysfakcja i zmęczenie.

- Czy ona nas słyszy? - zapytała jakaś kobieta.

- Nie tylko słyszy, ale też rozumie. Poza tym jest w stanie rozróżnić ponad czterysta przedmiotów - odparł z zachwytem mężczyzna. - W tym tempie przekazywania danych do jej mózgu, w ciągu dwóch tygodni powinna zyskać inteligencję i sprawność fizyczną typowej piętnastolatki.

Mężczyzna zamilkł na moment.

- Cóż, może nie do końca typowej, ale na pewno piętnastolatki.

- Och, Viktorze, to najszcześniejszy moment mojego życia.

Kobieta pociągnęła nosem ze wzruszenia.

- Jest po prostu idealna.- Zgadzam się - odparł mężczyzna, równie rozczulony. - Idealna córeczka tatusia.

Obydwoje ucałowali Frankie w czoło. Jedno z nich czuć było chemikaliami, wokół drugiego unosił się słodki, kwiatowy aromat. Ich połączone wonie pachniały jak miłość.

Frankie ponownie spróbowała otworzyć oczy. Tym razem powieki wydały jej się jeszcze cięższe.

- Mrugnęła! - zawołał kobiecy głos. - Na pewno chce nas zobaczyć! Frankie, to ja, Viveka, twoja mama. Widzisz mnie?

- To niemożliwe - odparł Viktor.

Frankie zeszywniała na dźwięk jego słów. Jak to możliwe, żeby ktoś poza nią samą decydował o tym, co mogła robić? To nie miało żadnego sensu.

- Dlaczego? - zapytała matka, jak gdyby czytając jej w myślach.

- Akumulator jest praktycznie pusty. Trzeba go naładować.

- Zróbmy to!

Tak, naładujcie mnie! Naładujcie! Naładujcie!

W tej chwili Frankie niczego bardziej nie pragnęła, niż ujrzeć te czterysta przedmiotów, o których usłyszała chwilę temu. Chciała uważnie przyjrzeć się twarzom

rodziców, kiedy będą jej cierpliwie objaśniać, co jak się nazywa. Miała ochotę wreszcie ruszyć na podbój świata, który знаła dopiero od paru godzin. Niestety, na razie mogła jedynie leżeć bez ruchu.

- Nie mogę jej podłączyć, dopóki śruby nie będą całkowicie stabilne - wyjaśnił ojciec.

Viveka załkała. Jej cichy szloch nie brzmiał już wcale wesoło.

- Nie przejmuj się, kochanie - uspokajał Viktor. - Jeszcze tylko kilka godzin i wszystko będzie zupełnie w porządku.- Nie o to chodzi.

Viveka gwałtownie nabrała powietrza.

- A o co?

- Jest taka piękna, ma tak wielki potencjał i... - pociągnęła nosem. - Serce mi się kraje na samą myśl, że będzie musiała żyć... no wiesz... jak my.

- Co jest nie tak z naszym życiem? - zapytał mężczyzna, jednak pewna nuta w jego głosie zdradzała, że dobrze znał odpowiedź.

Viveka parsknęła śmiechem.

- Całkiem niezły żart.

- Viv, nie martw się - odparł Viktor. - Jeszcze nadejdą lepsze czasy, zobaczysz.

- Niby jak? Kto znajdzie w sobie odwagę, żeby coś zmienić?

- Nie wiem. Ktoś na pewno... kiedyś.

- Możemy mieć tylko nadzieję, że tego dożyjemy - westchnęła. - My, Steinowie, mamy w zwyczaju żyć dość długo.

Viveka zachichotała cicho.

Frankie chciała koniecznie wiedzieć, jakie to „czasy” powinny ulec „zmianom”. Jednak zadawanie jakichkolwiek pytań było chwilowo poza jej możliwościami, bo w tym momencie akumulator zupełnie się wyczerpał. Czując się odurzona i nieprawdopodobnie ciężka, Frankie powoli zaczęła zapadać się w głęboką ciemność, w której ginęły wszelkie głosy z zewnątrz. Dziewczyna nie pamiętała już ani rozmowy, którą słyszała przed chwilą, ani zapachu kwiatów czy chemikaliów.

Miała jedynie nadzieję, że kiedy w końcu się obudzi, to coś, czego chciała dożyć Viveka, będzie już na nią czekało. Jeśli nie, Frankie obiecała sobie postarać się o to sama.

ROZDZIAŁ 1

ŚWIEŻO ODKRYTA ATRAKCYJNOŚĆ

Czternastogodzinna jazda z Beverly Hills w Kalifornii do Salem w Oregonie okazała się niewyobrażalną katorgą. W ekspresowym tempie wycieczka przeobraziła się z wyprawy życia w podróż pełną wyrzutów. Przez następne 1500 kilometrów nie było szans na to, by udręka osłabła chociaż odrobinę. Melody Carver postanowiła uciec w udawaną drzemkę.

- Witajcie w Oregonie, prawdopodobnie najnudniejszym mieście na świecie - wymamrotała starsza siostra Melody, gdy przekroczyli granicę stanu. - Jak to szło... Porzućcie wszelką nadzieję ci, którzy tu wchodzicie?

- Dosyć, Candace! - uciął tata, siedzący za kierownicą nowego, półterenowego bmw z silnikiem Diesla. Samochód harmonizował z zielonym otoczeniem nie tylko dzięki kolorowi lakieru, ale również ze względu na niskie zużycie paliwa. Zakup ekologicznego pojazdu był tylko jednym z wielu zabiegów, jakie rodzice wykonali przed przeprowadzką. Beau i Glory Carverowie chcieli pokazać nowym sąsiadom, że mimo swojego kalifornijskiego wyglądu i okazałych sum na koncie nie zamierzają zaszczerpieć na oregońskim gruncie zwyczajów rodem z Beverly Hills.

Pozostałe dowody potwierdzające chęć przystosowania się Carverów do nowego otoczenia zostały wysłane jeszcze przed ich wyjazdem: trzydzieści sześć skrzyń wypełnionych kajakami, deskami do windsurfingu, wędkami, bukłakami i innymi naczyniami turystycznymi, samouczkami degustacji win na DVD, paczkami z ekologicznymi przegryzkami, sprzętem biwakowym, potrzaskami na niedźwiedzie, zestawami krótkofalówek, rakami do wspinaczki, szpikulcami do lodu, Czekanami, toporami ciesielskimi, nartami, butami i kijkami narciarskimi, deskami snowboardowymi, kaskami, odzieżą narciarską, ciepłą bielizną i tym podobnymi artykułami.

Z pierwszymi kroplami deszczu komentarze Candace stały się jeszcze głośniejsze i bardziej złośliwe. - Och, sierpień w Krainie Deszczowców! - powiedziała, znacząco pociągając nosem. - Czyż nie zapowiada się po prostu cudownie? - dodała.

Melody mogłaby się założyć, że wypowiadając te słowa, siostra wymownie przewróciła oczami. By upewnić się, że tak rzeczywiście jest, rzuciła szybkie spojrzenie spod ledwo uchylonych powiek.

- Eeeeeeech! - zajęczała ponownie Candace i kopnęła w siedzenie, dając w ten sposób upust swojemu niezadowoleniu. Nasyjpnie głośno wydymuchała nos i wilgotną chusteczką przejechała po ramieniu siostry. Serce Melody zdecydowanie przyspieszyło, ale udało jej się pozostać w bezruchu. Jawny sprzeciw był zdecydowanie kiepskim pomysłem w tym momencie.

- Po prostu nie mogę tego zrozumieć - ciągnęła Candace. - Melody świetnie sobie radziła przez ostatnie piętnaście lat wdychania smogu. Jeszcze jeden rok nie zrobiłby jej żadnej różnicy. Mogłaby nosić maseczkę, czy coś, i zbierać na niej podpisy, jak na gipsie. Może stałabysię inspiracją dla nowej kolekcji sprzętu dla astmatyków. Wiecie, ozdobne wisiorzy z inhalatorami i tym podob...

- Candi, przestań - poprosiła z ciężkim westchnieniem Glory, najwyraźniej zmęczona niekończącą się dyskusją na ten sam temat.

- Przecież za rok i tak poszłabym na studia - Candace nie zwykła dawać za wygraną. Była blondjppką o idealnych proporcjach i zwykle dostawała to, czego chciała. - Nie mogliście jeszcze trochę poczekać z przeprowadzką?

- Wszyscy skorzystamy na tej zmianie, zobaczysz. Nie chodzi tylko o astmę twojej siostry. Merston High to jedna z najlepszych szkół w całym Oregonie. Poza tym kontakt z naturą i ucieczka od powierzchowności sztucznego światka Beverly Hills na pewno dobrze nam zrobi.

Melody uśmiechnęła się pod nosem. Beau, jej ojciec, był znanym i cenionym chirurgiem plastycznym, matka zaś pracowała jako osobista stylistka gwiazd. Świat sztucznego uśmiechu był ich królestwem i wiernie mu służyli. Pomimo to Melody musiała docenić starania mamy, która nieustannie próbowała przekonać Candace, że nie powinna obwiniać młodszej siostry o przeprowadzkę. Chociaż, prawdę mówiąc, poniekąd była to rzeczywiście jej wina.

W rodzinie idealnych genetycznie Carverów Melody stanowiła swego rodzaju anomalię. Osobliwość. Cudaczkę. Dziwadło.

Pomimo wybitnie kalifornijskiego pochodzenia Beau miał włoskie rysy twarzy. Iskierki w jego oczach przywodziły na myśl migoczące w jeziorze odbicie słońca. Ciepło uśmiechu potrafiło ogrzać niczym kaszmirowy sweter, a sztuczna opalenizna zdawała się zupełnie nie wpływać na kondycję skóry na jego czterdziestosześcioletniej twarzy. Wiedział też doskonale, jak nie przesadzić z żelem do włosów i po ilu dniach zarost wygląda dobrze, a kiedy warto się już go pozbyć. Naturalny dar piękna przyciągał do niego wielu pacjentów,

zarównomężczyzn, jak i kobiety. Każdy marzył o tym, że po zdjęciu pooperacyjnych opatrunków stanie się wiecznie młody... zupełnie niczym Beau.

Glory miała czterdzieści dwa lata. Dzięki usilnym staraniom męża jej skóra zaznała skalpela bez najmniejszego uszczerbku, zanim jeszcze kobieta naprawdę tego potrzebowała. Zona Beau zdawała się stać jedną z wypieszczonych stóp na kolejnym szczeblu drabiny ludzkiej ewolucji - najwyraźniej wkroczyła do krainy, w której nie obowiązywało prawo grawitacji, a wszelkie procesy starzenia się ulegały samoistnemu zatrzymaniu po przekroczeniu trzydziestego piątego roku życia. Na ramiona opadały jej lekko falowane, kasztanowe włosy, miała niezwykle przejrzyste, niebieskie oczy i naturalnie pełne usta, bez grama kolagenu. Gdyby nie niski wzrost, nie stałoby się Glory na przeszkodzie w rozpoczęciu kariery na wybiegu. Wszyscy wokół tak uważali. Ona sama upierała się, że i tak wybrałaby pracę stylistki, nawet gdyby Beau podjął się przeprowadzenia u niej operacji przedłużenia nóg.

Candace mogła się uważać za prawdziwą szczęściarę - odziedziczyła bowiem najlepsze cechy obojga rodziców. Niczym drapieżnik zajmujący najwyższe miejsce w łańcuchu pokarmowym wybrała sobie najsmaczniejsze kąski; dlatego kolejny potomek linii Carverów, Melody, musiał zadowolić się resztkami. Spadek po mamie w postaci drobnej postury również w przypadku Candace przekreślał potencjalną karierę modelki, jednak dzięki idealnej figurze nigdy przynajmniej nie miała problemów z dopasowaniem na siebie ubrań. Jej szafa wprost pękała w szwach od nadmiaru ciuchów, które dostała po Glory. Można w niej było znaleźć ubrania każdej marki - od Gapa po Gucci (jednak z przewagą Gucci). Dziewczyna miała niebieskozielone oczy matki i jej idealnie gładką cerę oraz pełne słońca spojrzenie Beau, a także jego naturalnie opaloną skórę.

Wydatne kości policzkowe sprawiały wrażenie wyrzeźbionych w marmurze, a długie włosy, proste lub falowane w zależności od humoru, olśniewały ciepłym kolorem zrumienionego na maśle karmelu. Przyjaciółki Candi (a także ich matki) nadciągały całymi stadami do gabinetu jej ojca, wymachując zdjęciami twarzy jego córki, zachwycone wyraźnie zarysowaną szczęką, kształtnym podbródkiem czy prostym nosem. Wszystkie żywiły nadzieję, że ręce Beau będą w stanie powtórzyć cud, którego dokonało jego DNA. Nie myliły się ani trochę.

Przypadek Melody był najlepszym dowodem na magiczne umiejętności jej ojca.

Dziewczyna żyła w przekonaniu, że w szpitalu musiała zająć pomyłką, w wyniku której tuż po urodzeniu niewłaściwa rodzina zabrała ją do domu i w związku z tym starała się nie przywiązywać szczególnej uwagi do wyglądu zewnętrznego. Bo niby czym miałyby się

przejmować? Miała wąski podbródek, drobne zęby i czarne włosy. Matowe, bez odrobiny połysku. Ani trochę nie przypominały zrumienionego karmelu. Były po prostu czarne. W pełni sprawne, stalowoszare, wąskie oczy przypominały oczy kota, bardzo sceptycznie nastawionego do świata. Ale to nie one przykuwały uwagę w jej twarzy. Królewskie miejsce zajmował nos: połączenie bulwiastej końcówki i ostrego garbu sprawiało, że wyglądał jak wielbłąd nieudolnie próbujący wykonać którąś z pozycji jogi.

Nie, żeby to wszystko miało jakiegokolwiek znaczenie. Dla samej Melody najcenniejszy był jej talent wokalny. Nauczyciele muzyki pod niebiosa wychwalali wielooktawowy głos dziewczyny. Jasne brzmienie oraz anielsko słodka i przejmująca zarazem barwa hipnotyzowały i wywoływały u słuchaczy niesłychane wzruszenie, którego moc kazała im zrywać się na równe nogi i burzą oklasków nagradzać każdy występ Melody. Niestety, w wieku ośmiu lat dopadła ją astma. Owacje umilkły.

Na początku nauki w gimnazjum Beau zaproponował córce korekcję nosa. Odmówiła. Po co tyle zachodu, skoro nowy kształt i tak nie wyleczyłby jej z astmy. Musiała tylko jakoś przetrwać do szkoły średniej. Była przekonana, że wtedy wszystko się zmieni. Dziewczyny przestaną skupiać się na wyglądzie. Chłopcy staną się bardziej dojrzały. Wyniki w nauce zaczną się naprawdę liczyć.

Niedoczekanie!

Sprawy przybrały zdecydowanie gorszy obrót, gdy Melody zaczęła chodzić do szkoły Beverly Hills High. Z powodu wielkiego nosa dziewczyny przezywały ją Nochalina. Chłopcy w ogóle się do niej nie odzywali. Praktycznie wcale jej nie zauważali. Już w listopadzie, w okolicach Święta Dziękczynienia, czuła się właściwie niewidzialna. Gdyby nie nieustannie świszczący oddech i odgłosy aplikacji inhalatora, nikt w szkole nie zdawałby sobie sprawy z jej istnienia.

Beau nie potrafił dłużej beczynn timer przyglądać się męczarniom córki, która miała przecież tak obiecująco symetryczne rysy. Przed świętami Bożego Narodzenia oznajmił Melody, że w tym roku Święty Mikołaj przyniesie jej w prezencie nową metodę korekcji kształtu nosa. Zabieg miał poszerzyć drogi oddechowe i tym samym złagodzić objawy astmy. Być może Melody mogłaby wrócić do śpiewania.

- Cudownie! - wykrzyknęła zachwycona Glory, splotła dłonie i spojrzała z wdzięcznością w niebo.

- W końcu zegn timer naszego Rudolfa, Czerwononosego Renifera - zażartowała Candace.

- To kwestia zdrowia, a nie urody - natychmiast dodał ojciec, dobierając argumenty tak, by miały szansę trafić do Melody.

- Ojej! Wspaniale.

Młodsza córka uściskała ojca ze wszystkich sił, choć nie była do końca pewna, czy nosy mają cokolwiek wspólnego ze zwężonymi oskrzelami. Łatwiej jej było zachować nadzieję udając, że wierzy w te wyjaśnienia. Poza tym myślała, że najbliżsi po prostu wstydzili się gdziekolwiek z nią pokazywać, była zdecydowanie mało przyjemna.

Melody przeszła operację w trakcie ferii świątecznych. Obudziła się z drobnym noskiem, Jckko zadartym jak u Jessiki Biel i z równymi, porcelanowymi nakładkami na zębach. Do tego pod koniec rekonwalescencji waga wskazywała pięć kilo mniej, w związku z czym Glory oddała do dyspozycji młodszej córki szafę z nieużywany już przez siebie ubraniami. Niestety, Melody wciąż nie mogła śpiewać.

W Beverly Hills High dziewczęta przywitały ją niezwykle ciepło, a chłopcy nie przestawali się na nią gapić. Nie było mowy o wykluczeniu. Wcześniej nawet w najśmielszych marzeniach nie sądziła, że taki awans w hierarchii szkolnej jest w ogóle możliwy.

Tak naprawdę jednak świeżo nabyta atrakcyjność niewiele zmieniła w życiu Melody. Zamiast obnosić się ze swoją urodą i flirtować z chłopakami dziewczyna spędzała większość wolnego czasu zakopana pod stertą koców. Czuła się jak markowa torba od Tory Burch, należąca do Candace: z zewnątrz piękna i błyszcząca, w środku jednak przypominająca pobożowisko. Jak oni mogą być dla mnie mili tylko dlatego, że nagle stałam się ładna?! Przecież w środku jestem tą samą osobą!

Gdy nadeszło lato, Melody zupełnie przestała dbać o swój wygląd. Nosiła luźne ciuchy, nie czesała włosów, a jedynym dodatkiem, na który sobie pozwalała, był przyczepiony do szlufek spodni inhalator.

Podczas grilla, corocznie urządzanego przez Carverów w lipcu z okazji Dnia Niepodległości, dziewczyna zwykła odśpiewywać hymn narodowy. Tego lata w tym czasie wylądowała w Centrum Medycznym CedarsSinai z poważnym atakiem astmy. Siedząca w poczekalni Glory nerwowo przerzucała strony czasopisma podróżniczego. Zatrzymało ją zdjęcie przedstawiające bujną zieleń Oregonu. Twierdziła potem, że patrząc na obrazek, niemal poczuła świeże powietrze tego miejsca. Kiedy Melody wróciła do domu, rodzice oznajmili córce, że czeka ich przeprowadzka. Po raz pierwszy od długiego czasu uśmiech rozjaśnił jej idealnie symetryczną twarz.

- Wiitaaj, cudnymie nudny Oregonie! - powiedziała do siebie w myślach, skulona na tylnym siedzeniu prącego naprzód zielonego bmw.

Miarowy szelest wycieraczek i rytmiczne bębnienie deszczu o dach samochodu w końcu ją uśpiły.

Tym razem naprawdę.

ROZDZIAŁ 2

GRUBYMI NIĆMI SZYTA Kiedy wzeszło słońce, rudziki i wróble wyśpiewywały już radośnie swoje poranne melodie. Zza matowych szyb sypialni Frankie słyszeć było dzieciaki, które głośno dawały o sobie znać, dzwoniąc rowerowymi dzwonkami i jednocześnie zataczając kółka po asfalcie Radcliffe Way. Okolica budziła się do życia. Dziewczyna w końcu mogła puścić na cały regulator najnowszą piosenkę Lady Gagi.

„I can see myself in the movies, with my picture in the city lights...”

Stopa Frankie zaczęła delikatnie podrygiwać w rytm kawałka The Fame. Dziewczyna musiała zachować ostrożność, choć tak naprawdę nie marzyła o niczym innym, jak tylko o zerwaniu się ze swojego stalowego łóżka i zrzuceniu elektrycznego, pokrytego polarem koca na błyszczącą, betonową podłogę. Chciała móc zarzucać włosami, wymachiwać ramionami, kręcić pupą i tupać do rytmu z całych sił, a nie tylko ostrożnie kiwać stopą. Przerwanie przepływu prądu przed całkowitym naładowaniem groziło jednak utratą pamięci, omdleniem lub nawet zapadnięciem w śpiączkę. Były też i plusy takiego systemu zasilania - Frankie nigdy nie musiała ładować swojego Ipoda. Jeślitylko odtwarzacz znajdował się w wystarczającej bliskości jej ciała, tryskał energią niczym fontanna.

Dziewczyna leżała wygodnie, niespiesznie się przeciągając i rozkoszując poranną dawką elektryczności, otoczona zwojem czarnych i czerwonych kabli, podczepionych do śrub sterczących z szyi. Przeglądała najnowsze wydanie czasopisma „Seventeen”, podczas gdy ostatnie strumienie prądu wypełniały jej ciało. Ostrożnie przerzucała strony magazynu, nie chcąc rozmazać świeżo nałożonej warstwy granatowego lakieru do paznokci. Przyglądając się gładkim, dziwnie różowym szyjom modelek, zastanawiała się, jakim cudem mogą się „ładować” bez nitów czy śrub.

Gdy tylko Carmen Electra (tak Frankie ochrzciła swoją maszynę ładującą, bo jej właściwa, techniczna nazwa była niemalże nie do powtórzenia) skończyła pracę, dziewczyna poczuła przyjemne mrowienie w okolicy powoli chłodzących się śrub, niewiele większych od napastrków. Z podnieceniem wetknęła nos między strony czasopisma i zaciągnęła się zapachem kartki nasączonej próbką perfum Miss Dior Cherie.

- Podoba się wam? - zapytała, wymachując pismem w stronę błyszczurów. Pięć białych gryzoni wspinało się na swoich różowych łapkach, drapiąc po szklanych ściankach

akwarium. Na moment ich grzbiety rozjaśnił tęczyowy rozbłysk, po czym zniknął tak szybko jak topniejący wiosną śnieg.

Frankie ponownie sprawdziła zapach.

- Mnie też.

Zamachała kilka razy gazetą, gdyż pokój wypełniała woń formaliny, i wstała, by zapalić waniliowe świece. Kwaśne chemiczne opary tego roztworu zaczynały przesiąkać jej włosy, zabijając kwiatowe nuty odżywk.

- Czyżbym znowu czuł wanilię? - zapytał ojciec, pukając do zamkniętych drzwi pokoju.

Frankie wyłączyła muzykę. - Tak jessst! - odparła wesoło, zupełnie ignorując jego niby to rozdrażniony ton głosu. Ostatnio używał go coraz częściej, odkąd córka zaczęła zmieniać jego laboratorium w pracownię... urody. Próbował ją strofować, gdy „upiększyła” szczury laboratoryjne, a później zagięła przechowywać błyszczki do ust w probówkach, natomiast do szkieletu przykleiła wyciętą z plakatu twarz Justina Biebera (przecież wygląda tak czadowo na tym zdjęciu z deskorolką!). Frankie wiedziała jednak, że tak naprawdę tacie to wcale nie przeszkadzało. Przecież laboratorium było teraz poniekąd jej sypialnią. Poza tym, gdyby naprawdę się na nią złościł, na pewno nie nazywałby jej...

- Jak się ma dzisiaj idealna córeczka tatusia?

Viktor Stein zapukał ponownie i nacisnął klamkę. Tuż za nim weszła Viveka.

Na ramieniu Viktora wisiała skórzana torba sportowa. Poza tym miał na sobie czarny dres Adidas i swoje ukochane brązowe kapcie Firmy UGG z dziurą na jednym palcu.

- Wiekowe i podniszczone, zupełnie jak Viv - zwykł mówić, gdy córka stroiła sobie żarty z jego obuwia. Zona natychmiast odpowiadała kuksańcem. Frankie wiedziała, że to zwykłe przekomarzanie. Viveka reprezentowała typ urody, którą każdy chciałby oglądać na okładkach gazet - tylko po to, by móc do woli wpatrywać się w jej fiołkowe oczy i podziwiać połyskliwe, czarne włosy, nie uchodząc w ten sposób za natręta czy dziwaka.

Z kolei ojciec miał w sobie coś z Arnolda Schwarzeneggera. Jego rzeźbione rysy zdawały się dobrze naciągnięte na kanciastą głowę. On również z pewnością przyciągał spojrzenia ciekawskich - raczej ukradkowe niż otwarte, gdyż wzbudzał zdecydowany respekt prawie dwumetrowym wzrostem i wiecznie zachmurzonym obliczem. Zmarszczone czoło nie oznaczało wcale gniewu, po prostu taką minę przybierał, gdy pogrążał się w rozmyślaniach, a przeciejką jako szalony naukowiec pogrążał się w nich bardzo często... Przynajmniej tak tłumaczyła to jego żona.

- Moglibyśmy chwilę porozmawiać, kochanie? - zapytała Viveka głosem łagodnym niczym miękki materiał czarnej, letniej sukienki z satyny, którą miała na sobie. Wszyscy, którzy spotykali ją po raz pierwszy, byli zaskoczeni, że tak delikatny głos mieszkał w jej postawnym, mierzącym ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ciele.

Viv i Vik zrobili kilka kroków po betonowej podłodze, jak zawsze ręka w rękę. Patrzyli na córkę z dumą, jednak na ich uśmiechniętych twarzach można było dostrzec ślady troski.

- Usiądź, córeczko - powiedziała Viveka, wskazując na obłożony poduszkami rubinowy szeszlony w marokańskim stylu, który Frankie zamówiła w sklepie internetowym Ikea. Kanapa, umiejscowiona w przeciwległym kącie pracownisypialni, w jednej linii z obklejonym nalepkami biurkiem, płaskoekranowym telewizorem Sony, stała idealnie naprzeciwko jedyne go okna w pomieszczeniu. Chociaż szybę zmatowiono dla zachowania prywatności, przez co niewiele można było przez nią zobaczyć, stanowiła ona dla Frankie prawdziwe okno na świat.

Dziewczyna posłusznie przeszła po miękkim, różowym dywaniku, imitującym owczą skórę, w stronę siedziska. W skrytości ducha obawiała się, że rodzice dotarli do listy jej ostatnich zakupów na portalu iTunes. Zaczęła nerwowo skubać czarną nitkę szwu przytrzymującego jej głowę we właściwym miejscu.

- Nie ciągnij - upomniął córkę Viktor, siadając na szeszlony. Drewniany stelaż mebla zajęczał w proteście. - Nie masz się czym denerwować. Po prostu chcieliśmy pogadać - uspokoił ją, po czym zdjął z ramienia skórzaną torbę i położył na ziemi.

Viveka gestem zachęciła córkę, by siadła obok niej, po czym poprawiła jeden ze swoich nieodłącznych czarnychszali z muślinu. Frankie, wciąż obawiając się wykładu na temat szanowania pieniędzy, obwinęła się ciasniej jedwabnym, ciemnym szlafrokiem i zajęła miejsce na różowym dywaniku.

- Coś się stało? - zapytała z uśmiechem, starając się nie dać po sobie poznać, że właśnie wydała 59.99 dolara na kolejny sezon serialu Plotkara.+

- Zmiany wiszą w powietrzu - stwierdził Viktor. Potarł dłonie i wziął głęboki oddech, zupełnie jak gdyby szykował się do zdobycia szczytu pobliskiego trzytysięcznika, Mount Hood.

Czyżby koniec z dostępem do kart kredytowych?, zastanawiała się Frankie z rosnącym niepokojem.

Viveka pokiwała głową i zmusiła się do uśmiechu, jednak pomalowane ciemnofioletową szminką wargi wciąż były mocno zaciśnięte. Rzuciła mężowi zachęcające

spojrzenie, on jednak w odpowiedzi rozszerzył tylko oczy, dając w ten sposób do zrozumienia, że sam nie bardzo wie, jak zacząć.

Frankie nerwowo wierciła się na dywaniku. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby rodzice byli tak zakłopotani. Szybko przeanalizowała w myślach swoje ostatnie zakupy w nadziei, że w końcu zgadnie, czym przekroczyła limit. Nowy sezon Plotkaiy, odświeżacz powietrza o zapachu kwiatów pomarańczy, ciepłe kapciuchy w paski ze słodkimi dziurami na palce, prenumeraty: „Us Weekly”, „Seventeen”, „Teen Vogue’a”, „CosmoGirl”, trzy aplikacje na telefon: horoskop, numerologia i sennik, wygładzający lakier do włosów firmy Moroccanoil, modne džinsy o chłopięcym kroju ze sklepu Current/Elliot...

Nic ponad jej przeciętne wydatki. Mimo to oczekiwanie sprawiało, że z jej śrub tryskały iskry.

- Spokojnie, córuś - powiedziała Viveka. Nachyliła się i pogładziła Frankie po długich, czarnych włosach.

Kojący gest zatrzymał eksplozję energii, ale nie uspokoił wewnętrznego zamieszania. Dziewczyna cała wręczbulgotała i syczała w środku, jak gdyby odbywał się w niej pokaz fajerwerków z okazji czwartego lipca. Rodzice byli jedynymi osobami, które Frankie знаła, i jednocześnie jej najlepszymi przyjaciółmi i nauczycielami. Gdyby zawiodła ich swoim zachowaniem, czułaby, że rozczarowała w ten sposób cały świat.

Viktor wziął kolejny głęboki oddech i, powoli wydychając powietrze, zebrał się w sobie. W końcu oznajmił:

- Lato prawie się skończyło. Twoja mama i ja musimy wrócić do swoich zajęć. Wykładamy fizykę i anatomię na uniwersytecie. Nie możemy dłużej uczyć cię w domu.

Przyglądał się jej, nerwowo kręcąc stopami.

- Ze jak? - spytała Frankie. Zmarszczyła ze zdziwienia swoje idealne brwi. Jak to niby ma być związane z jej zakupami?

Viveka odchrząknęła, po czym położyła dłoń na kolanie Viktora, dając mu do zrozumienia, że przejmuje pałeczkę.

- Twój ojciec chciał powiedzieć, że przeżyłeś do tej pory piętnaście dni. Codziennie wkładał w twój mózg roczny zakres wiedzy z: matematyki, nauk ścisłych, historii, geografii, języków obcych, technologii, sztuki, muzyki, kina, piosenek, trendów, wyrażen językowych, zachowań społecznych, dobrych manier, głębi emocjonalnej, dojrzałości, wewnętrznej dyscypliny, wolnej woli, koordynacji mięśniowej, umiejętności mowy, postrzegania zmysłowego, orientacji przestrzennej, ambicji, a nawet preferencji żywieniowych. Pełny pakiet!

Frankie przytaknęła ze zrozumieniem, wciąż czekając na moment, w którym zacznie się rozmowa o jej ostatnich szaleństwach z kartą kredytową...

- Teraz, kiedy jesteś już piękną i mądrą nastolatką, przyszła pora na...

Viveka powstrzymała łzy napływające do oczu. Rzuciła spojrzenie Viktorowi, który delikatnym kiwnięciem zachęcił ją, by kontynuowała. Zwilżyła więc usta, wykrzesła z siebie jeszcze jeden uśmiech, i...

Frankie zaiskrzyła ponownie. Cała scena trwała dłużej niż dostawa przesyłki pocztowej z Peru - i to drogą lądową.

W końcu Viveka nie wytrzymała.

- Czas na szkołę dla normalsów - oznajmiła.

- Co to takiego ci... „normalsi”? - spytała Frankie z obawą. Zastanawiała się, czy przypadkiem mamie nie chodzi o jakiś ośrodek odwykowy dla zakupoholiczek.

- Normals to osoba o typowych cechach fizycznych - wyjaśnił Viktor.

- Taka jak... - zaczęła Viveka, podnosząc nowy numer „Teen Vogue’a” z lakierowanego na pomarańczowo stoliczka i otwierając go na chybił trafił. - Na przykład one.

Wskazała na reklamę H&M. Zdjęcie przedstawiało grupkę dziewczyn w stanikach i króciutkich szortach: blondynkę, brunetkę i rudowłosą. Wszystkie trzy miały kręcone włosy.

- A czy ja jestem normalską? - zapytała Frankie, czując się nie gorsza od rozpromienionych modelek.

Viveka zdecydowanie pokręciła głową.

- Dlaczego? Bo mam proste włosy? - dopytywała dziewczyna. Czuła się całkowicie zdezorientowana.

- Nie, nie dlatego, że twoje włosy są inne - odparł Viktor, próbując uśmiechem zamaskować frustrację. - Jesteś inna, bo to ja cię zbudowałem.

- Wydawało mi się, że wszyscy rodzice „budują” swoje dzieci - zdziwiła się Frankie. - No, wiecie, patrząc na to od strony technicznej.

Viveka uniosła brew. Jej córka mówiła z sensem.

- Masz rację, ale ja zbudowałem cię w dość... dosłowny sposób - próbował wyjaśnić Viktor. - W tej właśnie pracowni złożyłem cię z idealnych części ciała, które wykonałem własnymi rękami. Wtłoczyłem w twój umysł tony informacji i danych o świecie, zszyłem wszystko razem i umieściłem w twojej szyi śruby służące do ładowania akumulatorów. Tak naprawdę wcale nie musiałabyś normalnie jeść, chyba że dla przyjemności. Poza tym, Frankie, jako że w twoim ciele nie płynie krew, twoja skóra jest, jakby to ująć, no cóż... jest zielona.

Dziewczyna spojrzała na swoje dłonie, jak gdyby widziała je pierwszy raz w życiu. Miały kolor miętowych lodów z czekoladą, podobnie jak i reszta jej ciała.

- Wiem - zachichotała. - Czadowo, nie?

- Jasne - Viktor zawtórował jej śmiechem. - Właśnie dlatego jesteś taka wyjątkowa. Żaden z uczniów w twojej nowej szkole nie przyszedł na świat w podobny sposób. Tylko ty.

- To znaczy, że w szkole będą też inni ludzie?

Frankie rozejrzała się po pokoju - jedynym pomieszczeniu, które tak naprawdę знаła.

Viktor i Viveka zgodnie pokiwali głowami. Ich czoła były zmarszczone, niepokoiли się i odczuwali wyrzuty sumienia.

Frankie wpatrywała się w ich wilgotne ze wzruszenia oczy, nie mogąc uwierzyć, że to dzieje się w rzeczywistości. Czyżby faktycznie mieli zamiar puścić ją wolno? Pozwolić jej pójść do szkoły pełnej normalsek o kręconych włosach i liczyć na to, że sama sobie poradzi? Naprawdę będą w stanie zamienić nauczanie swojej jedynej córki na wykłady w aulach pełnych obcych osób?

Choć ich usta drżały, a na policzkach widniały słone ślady łez - wyglądało na to, że tak. Raptownie przez ciało Frankie przeszedł wstrząs, który mógłby zostać zmierzony wyłącznie w skali Richtera. Siła uderzenia wędrowała przez klatkę piersiową, w górę, aż do gardła, z którego wydobyło się ogłuszające:

ALE CZAD!

ROZDZIAŁ 3

FACET Z DOSTAWĄ DO DOMU

- Jesteśmy na miejscu! - oznajmił Beau, naciskając jednocześnie klakson. - Wstawać, pobudka!

Melody odkleiła ucho od chłodnej szyby i otworzyła oczy. Na pierwszy rzut oka cała okolica wydała jej się przykryta kłębamii bawełny. Z każdą chwilą oczy przyzwyczajały się jednak do mglistego, porannego światła, a obraz wyostrzał się i nabierał kolorów, niczym zdjęcie zrobione polaroidem.

Dwie ciężarówki firmy przeprowadzkowej, stojące na podjeździe, skutecznie zasłaniały prawie cały dom. Ze swojego miejsca Melody mogła dostrzec jedynie kawałek narożnej werandy, z nieodłącznym atrybutem w postaci huśtawki. Urządzenie zdawało się zrobione z najprawdziwszego, grubego pnia. Dziewczyna miała już nigdy nie zapomnieć tego widoku, czy może raczej emocji, które w niej wywołał: nieokreślonej mieszanki nadziei, ekscytacji i lęku przed nieznanym. Podarowano jej drugą szansę na szczęśliwe życie - na samą myśl o tym czuła w środku przyjemne łaskotanie, jak gdyby rozpychało się w niej spore stadko włochatych gąsienic.

BiipBiipBiip! Krzepki, ubrany w luźne džinsy i brązowy puchaty bezrękawnik facet zamachał im na przywitanie. Zmagał się właśnie z wyciąganiem z ciężarówki elementów narożnika wypoczynkowego projektu Calvina Kleina, należącego do Carverów.

- Starczy tego trąbienia, kochanie. Jest naprawdę wcześnie!

Glory dała mężowi żartobliwego kuksańca.

- Sąsiedzi wezmą nas za wariatów.

Zapach kawy z nasiąkniętych nią kartonowych kubków na wynos sprawił, że Melody poczuła ostre ssanie w żołądku.

- Właśnie, tato, stahczy - marudziła Candace, z głową wciąż opartą na błyszczącej torbie od Tory Burch. - Bo jeszcze obudzisz jedyną fajną osobę w całym Salem.

Beau odpiął pas i zwrócił się w stronę córki.

- A któż to taki?

- Jaaaa - odparła Candace, przeciągając się szeroko. Jej klatka piersiowa uniosła się i opadła niczym boja na wzburzonym morzu. Musiała zasnąć oparta na zaciśniętej w złości

pięści, bo na policzku widniał odcisk serduszka z pierścionka, który dostała na pożegnanie od zapłakanych przyjaciółek.

Melody była pewna, że gdy tylko siostra ujrzy odcisk na swojej twarzy, niewątpliwie zacznie na głos opowiadać o rozdzierającej tęsknocie za koleżankami. Nie miała ochoty tego wysłuchiwać. Jako pierwsza otworzyła drzwi i wyszła z samochodu.

Deszcz ustał, a horyzont zaróżowił się od wstającego powoli słońca. Cała ulica zdawała się otulona mglistym, czerwonym płaszczem, jak gdyby oświetlała ją lampka przykryta delikatną, bordową chustą. Ulica Radcliffe Way wyglądała jakby była skąpana w iście magicznej poświacie. Mokra i błyszcząca od niedawnych opadów okolica pachniała świeżą trawą i dżdżownicami.- Czujesz to powietrze, Melly? - spytał Beau. Z zachwytem uderzył się w okryte flanelową koszulą piersi i z wdzięcznością uniósł głowę w stronę mieniącego się wieloma kolorami nieba.

- O, tak - odparła Melody i mocno objęła ojca w pasie. - Już czuję, że łatwiej mi się oddycha - zapewniła, ponieważ dlatego, że chciała, by wiedział, jak bardzo docenia poświęcenie całej rodziny. Z drugiej strony, naprawdę oddychała tu z łatwością, zupełnie jakgdyby ktoś zdjął z jej piersi wielki ciężar.

- Musisz wysiąść i sama to poczuć - ponaglał żonę Beau, stukając w szybę palcem, na którym miał złoty sygnet.

Glory dyskretnie pokiwała głową w stronę siedzącej z tyłu Candace, dając mężowi do zrozumienia, że chwilowo jest zajęta wspieraniem przeżywającej kolejny kryzys starszej córki.

- Przepraszam - Melody ponownie uściśnęła ojca, tym razem bardziej ostrożnie, jak gdyby prosiła o wybaczenie.

- Ale za co? Tu jest naprawdę świetnie!

Wziął głęboki oddech i kontynuował:

- Carverowie potrzebowali nowego wyzwania. Los Angeles mocno trzymało nas w swoich szponach. Nadszedł czas na zmiany, bo przecież w życiu chodzi o...

- Chcę umrzeć! - dobiegł ich rozdzierający krzyk Candace, wciąż siedzącej w samochodzie.

- A oto i najfajniejsza osoba w Salem w całej swojej krasie - wymamrotał pod nosem Beau.

Melody spojrzała na ojca. Gdy ich spojrzenia się spotkały, oboje wybuchnęli śmiechem.

- Halo, kto ma ochotę na zwiedzanie? - zawołała Glory, otwierając drzwiczki. Ostrożnie, jak gdyby sprawdzała temperaturę kąpeli, postawiła na ziemi najpierw jedną, a potem drugą stopę, w wykończonych futrem traperach.

Candace wyskoczyła tuż za nią.- Kto pierwszy na piętrze, ten bierze największy pokój! - zawołała i pędem ruszyła w kierunku domu. Jej szczuplutkie nogi poruszały się z zaskakującą prędkością, zupełnie nieskrępowane obcisłymi nogawkami modnie podartych dżinsowych rurek.

Pełna podziwu Melody rzuciła matce pytające spojrzenie.

Glory zebrała swoje kasztanowe włosy w elegancki kucyk i sprawnym ruchem spięła je gumką.

- Obiecałam jej, że dostanie mój kombinezon od Missoni, jeśli do końca dnia nie będzie narzekać - wyznała, doskonale odczytując nieme pytanie młodszej córki.

- Uważaj z takimi obietnicami, bo do końca tygodnia zostaniesz goła i wesola - dowcipkował Beau.

- Myślę, że warto zaryzykować - odparła Glory z uśmiechem.

Melody zachichotała i popędziła w stronę domu. Biegła nie po to, żeby pobić siostrę w wyścigu o największy pokój, ale dlatego, że po latach problemów z oddychaniem wreszcie przychodziło jej to z lekkością.

Zgrabnie omijając ciężarówki, pomachała na przywitanie trzem mężczyznom, mocującym się z kanapą, po czym jednym skokiem pokonała trzy stopnie wiodące na ganek.

- Ja chyba śnię! - wydyszała, stając jak wryta na progu przestronnego domu. Ściany w środku miały ten sam ciepły, drewniany odcień, co zewnętrzne. Schody również. Podobnie poręcze sufit i balustrady. Na tym tle wyróżniały się jedynie kamienny kominek i orzechowa podłoga. Wnętrze w niczym nie przypominało wielopoziomowej, betonowo-szklanej świątyni nowoczesności, w której Melody mieszkała do tej pory. Dziewczyna po raz kolejny musiała przyznać, że rodzice naprawdę wzięli sobie do serca postanowienie o zmianie stylu życia.

- Hm... - chrząknął tuż za nią okryty potem tragarz, próbując przecisnąć potężną sofę przez niezbyt szerokie drzwi wejściowe.- Aj, przepraszam - nerwowo odskoczyła Melody.

Po jej prawej stronie znajdowały się drzwi prowadzące do sypialni rodziców, rozciągającej się na całą szerokość domu. Ogromne łóżko małżeńskie, które już wstawiono do środka, objęło w posiadanie całe pomieszczenie. Po rozsunięciu przyciemnianych szklanych drzwi w przylegającej do pokoju łazience otwierał się widok na wąski, wewnętrzny basen, obudowany dwumetrowymi ścianami z bali. Melody podejrzewała, że właśnie to zaważyło na

decyzji o kupnie tego domu. Beau zwykł pływać każdego ranka, by pozbyć się kalorii, których nie zdążył spalić w trakcie wieczornej przebieżki.

Na piętrze słychać było Candace, chodzącą niespokojnie po pokoju i mamroczącą coś do słuchawki.

Naprzeciwko sypialni rodziców znajdowała się przytulna kuchnia i kącik jadalny. Przywiezione z Kalifornii lśniąca urządzenia kuchenne, szklany stół i zestaw ośmiu lakierowanych na czarno krzeseł, wyglądały jak z innej planety w tym rustykalnym otoczeniu. Melody była przekonana, że to się zmieni, gdy tylko mama i tata namierzą najbliższe centrum dekoracji wnętrz.

- Ratunku! - zawołała z góry Candace.

- Co jest? - zapytała Melody, rozglądając się po zatopionym w półmroku pomieszczeniu i podziwiając widniejący za oknem zalesiony wąwóz.

- Umieram!

- Serio? - Melody kilkoma susami pokonała schody na drugie piętro. Rozkoszowała się skrzypieniem chropowatych desek pod jej obutymi w conversy stopami. Każdy ze stopni zdawał się mieć własny charakter. O uroku tego domu stanowiły brak symetrii, dopasowania i doskonałości. Zupełnie na odwrót niż w Beverly Hills. Każdą kłodę, użytą do budowy, pokrywały jej własne wzory sęków i szczelin. Całkowicie niepowtarzalne. Dalekie od ideału. O dziwo, wszystkie elementy doskonale do siebie pasowały i wspólnie składały się na jedną, spójną całość. Może tak to już było w tych stronach. Niewykluczone, że miejscowi (salemianie? salemici? - jak właściwie miała ich nazywać?) cenili sobie właśnie tę unikatowość drewnianych wzorów. Jeśli tak, to musiałyby oznaczać, że uczniowie Merston High również tak uważali. Na samą myśl dziewczyna poczuła rosnącą w sercu nadzieję i z nową dawką energii przeskoczyła ostatnie dwa stopnie.

Znalazłszy się na górze, Melody od razu rozpięła bluzę i rzuciła ją na balustradę schodów. Jej koszulka była mokra od potu, podobnie jak i czoło.

- Umieram z gorąca. Ostro tu grzeje - wysapała Candace, wychodząc z pokoju po lewej stronie korytarza. Miała na sobie wyłącznie dzinsy i czarny stanik. - Czy ty też gotujesz się żywcem, czy to te słynne objawy menopauzy?

- Candi, załóż to! - poprosiła Melody, rzucając siostrze swoją bluzę.

- Po co? - zapytała zdziwiona, przyglądając się swojemu pępkowi. - Okna mają przyciemniane szyby. Z zewnątrz nikt nic nie zobaczy.

- E, a tragarze to pies? - nie dawała za wygraną Melody.

Candace przycisnęła bluzę do piersi i zajrzała na dół przez balustradę.

- Dziwny ten dom, no nie? - powiedziała.

Rumieniec ęa policzkach dziewczyny rozlał się wysoko, aż do skroni, nadając jej jasnym oczom dziwny, opalizujący poblask.

- I to bardzo - wyszeptała Melody. - Czuję, że już mi się podoba.

- Nic dziwnego. Sama jesteś dziwna.

Candace powiesiła bluzę z powrotem na poręczu, obróciła się na pięcie, z dumą zarzucając swoimi gęstymi włosami, po czym weszła do wybranego przez siebie pokoju. Z pewnością największego na piętrze.

- Chyba ktoś coś zgubił! - zawołał jeden z tragarzy z dolnego piętra. Czarny ciuch zwisał mu z ramienia jak martwa fretka.

- Ee, taa, przepraszam - odparła Melody. - Proszę po prostu rzucić to na schody - dodała i szybko schowała się do drugiej sypialni. Nie chciała, żeby mężczyzna pomyślał, że go podrywa.

Rozejrzała się po niewielkim, prostokątnym pomieszczeniu: drewniane ściany, niski sufit z głębokimi szczelinami, przypominającymi szramy po wielkich pazurach, przyciemnione okienko, z którego widać było kamienne ogrodzenie sąsiadów. Po rozsunięciu drzwi do garderoby po pokoju rozniosła się woń cedru. Powietrze zdawało się wrzeć. Przy wystawianiu na sprzedaż w ogłoszeniu opisano by ten dom jako „ciepły i przytulny”, oczywiście gdyby tylko agent nieruchomości wiedział, co to eufemizm.

- Ładny grobowiec - stwierdziła ironicznie Candace, stając nagle w drzwiach, nadal ubrana jedynie w spodnie i biustonosz.

- Całkiem nieźle, ale chyba musisz bardziej się postarać - odparowała Melody. - I tak nie tęsknię za domem.

- Niech ci będzie - Candace z westchnieniem przewróciła oczami. - Może przynajmniej mi pozazdrościsz, gdy zobaczysz moją królewską komnatę.

Posłusznie podążając za siostrą, Melody opuściła swoją ciasną sypialnię i weszła prosto do przestronnego, wypełnionego światłem, kwadratowego pokoju. W specjalnej wnęcie było miejsce na kącik do nauki. Ponadto w pomieszczeniu znajdowały się także trzy wbudowane szafy i nieprzyzwoicie wielkie okno wychodzące na Radcliffe Way. Spokojnie zmieściliby się tu we troje: Melody, Candace i jej wybujałe ego.

- Spoko - wymamrotała Melody, starając się nie dać niczego po sobie poznać. - W ogóle, może masz ochotę na mały spacer do miasta po coś na śniadanie? Umieram z głodu.

- Jasne, ale dopiero jak przyznasz, że mój pokój jest genialny, i że okropnie mi zazdrościsz.

- Nie ma mowy.

Candace nadęła się obrażona i obróciła się przodem do okna.

- Może teraz zmienisz zdanie?

Chuchnęła na szybę i na zaparowanej powierzchni narysowała palcem niewielkie serce.

Melody podeszła ostrożnie.

- Co ty kombinujesz?

- Sama zgadnij - odparła Candace, mierząc wzrokiem półnagiego chłopaka stojącego w ogródku po drugiej stronie ulicy.

W ręku, zupełnie niczym miecz, dzierżył wąż ogrodowy i podlewał żółte róże, rosnące przed białym domem. Mięśnie na jego plecach falowały za każdym razem, gdy tracił równowagę, potykając się o szlauch. Czyli co chwilę. Znoszone dżinsy opadały nisko na biodra, odsłaniając gumkę bokserów - najwyraźniej w paski.

- Myślisz, że to ogrodnik czy że tu mieszka? - spytała Melody.

- To na bank jego dom - zapewniła ją Candace. - Gdyby był ogrodnikiem, byłby bardziej opalony. Zawiążesz?

- Hę?

Melody odwróciła się od okna. Jej siostra miała na sobie fioletowoczarnosrebrny kombinezon Missoni, a w dłoniach trzymała #asiemki do wiązania przy szyi.

- Skąd to wytrzasnąłaś? - zdziwiła się Melody, wiążąc piękną kokardę. - Przecież kartony z ubraniami są jeszcze w ciężarówce.

- Mama obiecała, że mi go da, jeśli nie będę narzekała, więc włożyłam go do swojej podręcznej torby jeszcze przed wyjazdem.

- Czyli ta scenka w samochodzie była całkowicie udawana? Serce Melody zaczęło bić żywszym tempem.

- W gruncie rzeczy tak - odpowiedziała Candace, wzruszając ramionami, jak gdyby nigdy nic. - Wszędzie znajdę sobie przyjaciółki i facetów do podrywania. Poza tym naprawdę powinnam zadbać o stopnie, jeśli chcę dostać się na dobre studia. Obie dobrze wiemy, że nie miałabym na to najmniejszych szans, zostając na ostatni rok szkoły w Kalifornii.

Melody nie była pewna, czy bardziej pragnie uściskać siostrę, czy ją uderzyć. W tej chwili nie było czasu ani na jedno, ani na drugie.

Candace skończyła wkładać srebrne sandały na koturnie, również należące do Glory, i popędziła z powrotem do okna.

- To co, gotowa na spotkanie z sąsiadami?

- Candace, proszę cię! - zawołała Melody, ale siostra już mocowała się z metalową zasuwką w oknie. Niby mogła próbować ją zatrzymać, ale równie dobrze mogłaby starać się zwolnić kolejkę górską, siedząc w wagoniku i machając rękami. Była to niepotrzebna strata czasu.

- Hej, przystojniaku! - zawołała przez okno Candace i szybko przykucnęła.

Chłopak podniósł głowę i rozejrzał się, osłaniając oczy przed słońcem.

Dziewczyna ostrożnie podniosła się i szybkim spojrzeniem oceniła sytuację.

- Pudło. Jednak nie jestem zainteresowana - wymamrotała. - Za młody. Okularnik. Błady. Możesz go sobie wziąć.

Melody miała ochotę krzyknąć: „Nie musisz mi mówić, kogo mogę, a kogo nie mogę sobie brać!”.

Powstrzymała się jednak. Wpatrywał się w nią rozczochrany, pozbawiony koszulki chłopak, mający na nosie okulary w grubych, czarnych oprawkach. Nie mogła oderwać od niego wzroku. W tej chwili nurtował ją jedynie kolor jego oczu.

Zamachał niepewnie w jej kierunku, ale Melody nie potrafiła wykonać żadnego gestu. W desperacji modliła się, żeby wziął ją za kartonową figurę reklamową z gatunku tych spotykanych w korytarzach kin, a nie za dziwaczną dziewczynę, która właśnie szykowała się do wymierzenia swojej siostrze porządnego kopniaka.

- Ała! - zajęczała Candace, chwytając się za łydkę.

Melody odeszła od okna.

- Jak mogłaś mi to zrobić? - wyszeptała groźnym tonem.

- Cóż, nie zanosilo się na to, żebyś potrafiła wziąć sprawy w swoje ręce - odparła z przekonaniem jej starsza siostra.

- Niby po co miałabym cokolwiek robić? Przecież nawet go nie znam.

Melody oparła się o wypukłą, wyłożoną belkami ścianę i ukryła twarz w dłoniach.

- I co z tego?

- Tooo, że mam dosyć ludzi, którzy uważają mnie za dziwaczkę. Wiem, że ty absolutnie nie masz pojęcia o czym mówię, ale...

- Mogłabyś zmienić tę płytę, wiesz? - przerwała jej Candace, wstając z podłogi. - Już dawno przestałaś być Nochaliną. Jesteś atrakcyjna. Pogódź się z tym. Możesz mieć normalnych facetów. Opalonych, z dobrym wzrokiem, a nie dziwolągów potykających się o węże ogrodowe.

Zamknęła z trzaskiem okno.

- Chcesz do końca życia używać swoich ust wyłącznie jako etui na zęby?

Melody poczuła znajome mrowienie w kącikach oczu. Wyszło jej w gardle, wargi zaczęły drżeć, a oczy piec.\

W końcu tama puściła. Po policzkach zaczęły spływać łzy, które, opadając na ziemię, przypominały miniaturowych, słonych spadochroniarzy. Bolało ją, że Candace była przekonana, iż nigdy się nie całowała. Nie wiedziała, jak przekonać swoją siostrę - siedemnastolatkę z rekordową liczbą randek, że Randy, chłopak z McDonalda (znany również jako Syfburger, przez swoje niezficzne ślady po trądziku) potrafił naprawdę świetnie całować.

- Może to wcale nie jest takie łatwe, co? - powiedziała Melody. Chowała w dłoniach mokrą od płaczu twarz. - To twoim marzeniem było bycie piękną. Ja najbardziej w świecie chciałam śpiewać. I nie udało mi się.

- W takim razie skorzystaj trochę z dóbr mojego świata - zaproponowała Candace i pomalowała usta błyszczkiem. - To chyba lepsze od ciągłego uzalania się nad sobą.

Melody nie wiedziała, jak wytłumaczyć siostrze, co dokładnie czuje - sama nie do końca to rozumiała.

- Candace, moja uroda to jakaś ścierna. Dzieło skalpela. Nie należy do mnie.

Starsza z sióstr niecierpliwie przewróciła oczami.

- Jakbyś się czuła, gdybyś dostała szóstkę ze sprawdzianu, na którym wszystko ściągnęłaś? - drążyła Melody, szukając argumentów.

- To zależy - odparła Candace. - Zostałam na tym przyłapana?

Melody odrzuciła głowę do tyłu, wybuchając głośnym śmiechem. O mały włos smarki z nosa wyleciałyby jej na koszulkę, ale otarła je ręką, nim siostra zdążyła cokolwiek zobaczyć.

- Za dużo o tym wszystkim myślisz - stwierdziła Candace, po czym przewiesiła torebkę przez ramię i z uznaniem spojrzała na swój dekolt. - Jeszcze nigdy nie wyglądałam tak dobrze.

Wyciągnęła dłoń i pomogła Melody wstać.- Najwyższa pora nauczyć tutejszych dzikusów, co znaczy słowo „couture”.

Zmierzyła wzrokiem spoconą koszulkę siostry i jej wypchane dzinsy.

- Pozwól, że to ja będę mówić - dodała.

- Jak zawsze - westchnęła Melody.

ROZDZIAŁ 4

PROSTO SPOD IGŁY

Frankie wyskoczyła z łóżka i z miejsca zaczęła podrygiwać do piosenki Lady Gagi, która wciąż pobrzmiwała jej w głowie.

- Naprawdę nie masz nic przeciwko pójściu do szkoły?

Zdumiona Viveka kilkakrotnie zatrzepotała firankami czarnych rzęs.

- Nic a nic!

Frankie wyrzuciła ręce do góry i wykreśliła pirueta.

- Będę mieć przyjaciółki! Poznam mnóstwo chłopaków! Będę jadła z wszystkimi na stołówce i biegała po dworze i...

- Nie tak szybko - przerwał jej Viktor, śmiertelnie poważny. - To nie takie proste, jak myślisz.

- Racja! - krzyknęła Frankie. Rzuciła się w kierunku błękitnej szafki z drzwiczkami, na których wypisano bijącym po oczach różowym sprejem: SPÓDNICE I SUKIENKI. - Co ja na siebie włożę?

- To - Viktor schylił się, by podnieść z podłogi skórzaną torbę, którą następnie postawił u stóp córki, po czym szybko się cofnął, zupełnie, jak gdyby podawał liść sałaty wygłodniałemu lwisku.

Frankie zawróciła w miejscu i kucnęła przy torbie. Nowe ubranie na pierwszy dzień szkoły: bardzo w stylu rodziców - pomyślała. Ciekawe, czy to plisowana minispódniczka i czarny sweterek? Byłyby takie urooocze... Proszęproszęproszęproszę!

Rozpięła zamek i sięgnęła do środka, z nadzieją szukając dotyku miękkiej wełny i chłodnej agrałki spinającej spódnice.

- Aj! - zapiszczała i wyjęła rękę z torby, jak gdyby ta ją ugryzła. - Co to jest? - zapytała, wciąż czując kłujący dotyk szorstkiego przedmiotu, który znalazła w środku.

- Zgrabny, wełniany kostium.

Viveka nerwowo zebrała włosy i zarzuciła je przez ramię.

- Zgrabny? Chyba zgrzebny! - zaoponowała Frankie. - Czy to jest uszyte z papieru ściernego?

- Ma swój urok - nie poddawała się Viveka. - Przymierz, proszę.

Frankie wytrzepała torbę, chcąc w miarę możliwości uniknąć zetknięcia z drapiącym materiałem. Na dywanik upadła sporych rozmiarów czekoladowobrązowa kasetka.

- A to co?

- Kosmetyki do makijażu - wyjaśnił Viktor.

- Z Sephory? - zapytała z nadzieją Frankie, dając rodzicom szansę na zrehabilitowanie się w jej oczach.

- Nie.

Viktor niespokojnym ruchem przygładził zaczesane do tyłu włosy.

- Z Nowego Jorku - kontynuował. - To naprawdę wspaniała linia kosmetyków do makijażu scenicznego. Nazywa się Trwały Urok i zdaje egzamin nawet w najjaśniejszych światłach scen Broadwayu, przy okazji nie obciążając za bardzo skóry - mówiąc to, Viktor potarł skórę na przedramieniu wyjętą z torby małą gąbką; pozostała na niej różowożółta smuga. Na jego rękę zaś widać było fragment wyraźnie miętowo zielonej skóry.

Frankie zatkało z wrażenia.

- Ty też jesteś zielony?

- I ja także - dodała Viveka, pocierając swój policzek.

- Ze co? - dłonie Frankie aż zaiskrzyły z emocji. - Zawsze byliście tacy?

Skinęli głowami z nieukrywaną dumą.

- W takim razie dlaczego to ukrywacie?

- Ponieważ... - zaczął Viktor, wycierane rękę w dres. - Mieszkamy w świecie normalsów. Wielu z nich obawia się ludzi, którzy wyglądają... inaczej.

- Inaczej niż kto? - zdziwiła się Frankie.

Viktor spuścił wzrok.

- Inaczej niż oni sami.

- Jesteśmy przedstawicielami wyjątkowej grupy, pochodzącej od postaci, które normalsi zwykli nazywać potworami - wytłumaczyła Viveka. - Sami wolimy skrót RAD.

- Czyli Ruch Atrakcyjnie Dziwnych - uzupełnił Viktor.

Ręka Frankie bezwiednie powędrowała w kierunku szwów.

- Nie ciągnij! - jednocześnie zawołali rodzice.

Córka opuściła dłoń i westchnęła ciężko.

- Czy zawsze tak było?

- Nie do końca - Viktor wstał i zaczął przechadzać się po pracowni - Niestety, nasza rodzinna historia, podobnie jak w wypadku wielu innych osób, jest naznaczona okresami prześladowań. W pewnym momencie udało nam się odrzucić uprzedzenia rodem ze

średniowiecza i rozpocząć w miarę otwarte życie wśród normalsów. Razem pracowaliśmy, bawiliśmy się, nawet zakochiwaliśmy się w sobie nawzajem. Jednak w latach dwudziestych i trzydziestych zeszłego wieku wszystko uległo zmianie.

- Dlaczego?

Frankie wdrapała się na leżankę i wtuliła się w Vivekę. Woń olejku do ciała z gardenii, którego używała mama, działała na nią kojąco.

- Wszystko zaczęło się od filmów grozy. Członkowie RADu byli obsadzani we wszystkich klasykach tego gatunku, takich jak Drakula, Upiór w operze, Dr Jekyll i pan Hyde. Ci, którzy pozbawieni byli talentu aktorskiego...

- Czyli na przykład twój dziadek Vic - zażartowała Viveka.

- Owszem, właśnie tacy jak nasz ukochany Victor Frankenstein - przyznał Viktor i zaśmiał się pod nosem. - Miał ogromne problemy z zapamiętywaniem tekstu i, nie oszukujmy się, był strasznym sztywniakiem. Dlatego w filmie zastąpił go normalski aktor, Boris Karloff.

- Jak na razie to brzmi zabawnie - rozmarzona Frankie bezwiednie okręcała palce tasiemką od szlafroka, wyobrażając sobie, jak by to było żyć w tamtych czasach.

- Faktycznie, było całkiem wesoło.

Ojciec przystanął i spojrzał na córkę. Jego uśmiech zbladł jednak jak niebo o zmierzchu.

- Do momentu pojawienia się filmów w kinach.

- Nie rozumiem - zdziwiła się Frankie.

- Scenariusze przedstawiały nas jako przerażających, złych do szpiku kości, krwiożerczych wrogów ludzkości - mówiąc to, Viktor ponownie zaczął krążyć po pomieszczeniu. - Dzieci normalsów dały się wniebogłosy na nasz widok. Ich rodzice przestali zapraszać nas do swoich domów. Nikt nie chciał prowadzić z nami interesów. W jednej chwili staliśmy się wyrzutkami społeczeństwa. RADowcy doświadczali aktów przemocy i wandalizmu. Musieliśmy pożegnać się z naszym dotychczasowym życiem.

- Jak to, nikt nie walczył? - zapytała Frankie, myśląc o niezliczonych bitwach w historii świata, spowodowanych podobnymi okolicznościami.

- Próbowaliśmy - odparł Viktor, smutno kręcąc głową na samo wspomnienie nieudanej próby. - Wszelkie formy pokojowego protestu spełzały na niczym. Nieustraszenifani horrorów wciąż nas atakowali, błagając o autografy. Nie mogliśmy podjąć bardziej stanowczych środków, bo każde agresywne zachowanie z naszej strony tylko utwierdziłoby normalsów w przekonaniu o naszej potworności.

- Co w takim razie zrobiliście?

Frankie przysunęła się jeszcze bliżej mamy.

- Poczta pantoflową przekazaliśmy tajną wiadomość w środowisku RADowców, namawiając wszystkich do opuszczenia swoich domów i stawienia się w Salem, gdzie wówczas mieszkały jeszcze czarownice. Mieliśmy nadzieję, że pomogą nam w potrzebie i przyjmą na swoje terytorium. Moglibyśmy wtedy zacząć od nowa.

- Przecież sądy nad czarownicami z Salem odbyły się jakoś w 1692, a ty, zdaje się, opowiadasz o okolicach roku 1930? - zdziwiła się Frankie.

Viktor klasnął w dłonie i wskazał na Frankie niczym podekscytowany prowadzący z telewizyjnego teleturnieju, który usłyszał poprawną odpowiedź uczestnika.

- Bravo! - ucieszył się na myśl o udanym transferze danych z historii do mózgu córki.

Viveka pocałowała Frankie w czoło i dodała:

- Niestety, bezmyślny zombie, który układał tę wiadomość, nie był tak mądry jak ty.

-1 faktycznie - kontynuował Viktor, ponownie wygładzając włosy. - Nie dość, że wiemy już dawno nie mieszkały w tym mieście, to nieszczęśnik pomylił Salem w stanie Massachusetts z Salem w stanie Oregon. RADowcy zorientowali się w jego omyłce, ale zmiana kursu nie miała w tym momencie większego sensu. Trzeba było uciekać jak najszybciej, inaczej groziło im więzienie. Kiedy wszyscy zjawili się w Oregonie, zdecydowali się połączyć siły, żeby jak najlepiej poradzić sobie ze zmianami. Ustanowili wspólny fundusz, zaczęli przebierać się za normalsów, zbudowali Radcliffe Way i przyrzekli na zawsze chronić się nawzajem. Odkrycie naszej tajemnicy zmusiłoby nas do kolejnej tułaczki, do pożegnania się z domami, miejscami pracy i stylem życia.

- Dlatego koniecznie musisz maskować prawdziwy kolor swojej skóry i ukrywać ślady szwów oraz śruby w szyi - podsumowała Viveka.

- A gdzie są twoje? - zapytała Frankie.

Viveka odchyliła czarną chustę i mrugnęła filuternie. Dwa bolce, sterczące z jej karku, wesoło zabłyszczały w odpowiedzi.

Viktor rozpiął wysoki kołnierzyk bluzy od dresu, odsłaniając swoje oprzyrządowanie.

- Ale czad... - wyszeptała oniemiała Frankie.

- Idę zająć się śniadaniem - oznajmiła Viveka, po czym wstała i wygładziła fałdy na sukience. - Do kosmetyków dołączono instruktażowe DVD - powiedziała. - Lepiej jak najszybciej zacznij ćwiczyć.

Rodzice pocałowali córkę na pożegnanie w czoło i zebrali się do wyjścia.

Viveka obejrzała się przez ramię.

- Pamiętaj, musisz opanować wszystko do perfekcji, nim zaczniesz szkołę - powiedziała, po czym zamknęła za sobą drzwi.

- W porządku - odparła Frankie i uśmiechnęła się do siebie samej. Przypomniła sobie, że przecież ta trudna rozmowa zaczęła się zupełnie inaczej. Miała iść do szkoły!

Odsunęła stopą mało atrakcyjną stertę wełnianych ubrań, jak gdyby ta wzbudzała w niej najwyższe obrzydzenie. Nikt w jej wieku nie nosi wełnianych kostiumów, pomyślała, z dreszczem wspominając szorstkość znienawidzonego materiału.

Aby się upewnić, zajrzała do nowego, poświęconego szkolnej modzie wydania „Teen Vogue’a”. Tak jak podejrzewała, tej jesieni na topie były lekkie tkaniny, kolory w odcieniach drogich kamieni i zwierzęce nadruki. Ozdobne szale i ciężka biżuteria były absolutnym hitem. Wełna wyszła z mody tak dawno, że nie znalazła się nawet na liście największych obciachów obecnego sezonu.

Artykuły w gazecie dały jej sporo do myślenia. Zarówno w „Teen Vogue’u” jak i w magazynach „Seventeen” i „CosmoGirl” pisano bez końca o plusach bycia sobą, zachowaniu naturalności i akceptowaniu swojego ciała takim, jakie jest! Przesłanie płynące z czasopism diametralnie różniło się od tego, co chcieli jej wpoić Vik i Viv.

Hmmmm.

Frankie stanęła przed wysokim lustrem, umiejscowionym naprzeciwko żółtej szafy na ubrania. Rozchyliła szlafrok i uważnie przyjrzała się swojemu odbiciu. Jej zgrabna, wysportowana sylwetka, o idealnych proporcjach, w niczym nie ustępowała Figurom dziewczyn z magazynów. Co z tego, że jej skóra jest miętowa? Czy ma się czuć gorsza, bo części jej ciała trzymają się korpusu za pomocą szwów? Według artykułów, które pisali ludzie - bez urazy! - zdecydowanie bardziej na czasie niż jej rodzice, powinna kochać swoje ciało takim, jakim jest. I przecież kocha! W takim razie, skoro normalni czytali te same czasopisma (a na pewno to robili, bo przecież w środku były ich zdjęcia), to ona, zielona Frankie, na pewno by im się spodobała. Naturalność jest na topie.

Poza tym była przecież idealną córeczką tatusia. A czy można nie pokochać ideału?

ROZDZIAŁ 5

MISTRZ PODRYWU UCIEKA

Mimo nieprzyzwoicie wczesnej godziny Melody i Candace ruszyły radośnie Radcliffe Way z energią charakterystyczną dla osób, które ostatnie czternaście godzin spędziły zapakowane w samochodzie. Ku ich zdziwieniu okolica wprost tętniła życiem. Na końcu ślepej uliczki gromada dzieciaków kręciła kółka na rowerach, a zaledwie parę domów dalej jakaś wyjątkowo aktywna rodzinka grała w futbol w swoim ogrodzie.

- Myślisz, że to wszystko ich dzieci? - spytała Melody, gdy zbliżały się do przestronnego domu z kamieni. Przynajmniej dziesięciu chłopców szalało na trawniku, uganianą się za piłką.

- Musieli mieć wieloraczki - stwierdziła Candace, zarzucając włosami.

Wariactwa \$a trawie zdawały się tracić tempo, aż w końcu chłopcy zupełnie wstrzymali grę i tylko przyglądali się mijającym je siostram Carver.

- Czemu wszyscy tak się na nas gapią? - wymamrotała Melody kątem ust.

- Lepiej się przyzwyczajaj - wymruczała Candace. - Faceci patrzą się na ładne dziewczyny, i tyle - dodała, po czym uśmiechnęła się i zamachała do chłopaków.

Wszyscy mieli podobne, rozczochrane czupryny. Zarumienili się jak jeden mąż. Dym, unoszący się znad ich ogromnego grilla, wypełniał całą okolicę intensywnym zapachem dobrze wypieczonych żeberek, i to z samego rana, kiedy większość ludzi nie zdążyła jeszcze wypić swojej pierwszej kawy.

Melody poczuła, jak żołądek kurczy się jej z głodu. W tym momencie chętnie spałaszowałaby porządną obiad zamiast śniadania.

- Widziałam was w najnowszym katalogu J.Crew! - zawołała Candace.

Chłopcy wymienili zdziwione spojrzenia.

- Candace! - syknęła Melody i trzepnęła dziewczynę w ramię.

- Spróbuj trochę wyluzować - odparła ze śmiechem siostra, stukając obcasami maminyh koturnów.

- Wszyscy, których mijamy, patrzą na nas, jak na przybyszeki z obcej planety.

- I niewiele się mylą.

Candace poprawiła wiązanie kombinezonu na szyi.

- A nie wydaje ci się, że tak patrzą, bo wyglądasz jakbyś pomyliła gorączkę sobotniej nocy z sielanką niedzielnego poranka? - spytała uszczypliwie młodsza z sióstr.

- Prędeż dlatego, że ty masz na sobie mocno wczorajsze ciuchy z podróży - warknęła Candace. - O, tak, najlepiej przedstawiać się sąsiadom w przepoconej koszulce i w znoszonych dżinsach.

Melody kusilo, żeby jej odpyskować, ale się powstrzymała. Niewiele by to zmieniło. Candace zawsze uważała i będzie uważać, że kluczem do sukcesu jest odpowiedni wygląd. Z kolei Melody zawsze wierzyła i chciała wierzyć, że ludzie są chociaż odrobinę mniej płytki w swoich ocenach.

Resztę drogi pokonały w milczeniu. Kręta ulica zdawała się biec niewielkim, zalesionym wąwozem; wszystkie domy miały z przodu trawiaste ogródki, a z tyłu otaczał jegęsty zagajnik. Na tym kończyły się podobieństwa. Każdy z budynków był wyjątkowy, tak jak unikatowe były belki w domu Carve rów.

Na końcu ulicy stała betonowa płyta, otoczona niemożliwą plątaniną kabli elektrycznych i telefonicznych drutów. Nieopodal, w cieniu rozłożystych klonów, stała piękna wiktoriańska willa, wokół której nieustannie unosiły się przypominające miniaturowe wiatraczki nasiona drzew. Mieszkający pod numerem dziewiątym niewątpliwie lubili wodę i wszelkie morskie stworzenia, bo przypominające je figurki zagracały cały ogród. Nawet teraz, choć słońce było schowane za grubą warstwą jasnoszarych chmur, całą rodziną siedzieli w eleganckim, czarnym basenie i chlapali dookoła stadko rozochoconych delfinów.

Wyglądało na to, że Salem należało do tych rzadkich miejsc, w których ceni się inność. Jego motto mogłoby brzmieć: „Zyj i daj żyć innym”. Melody poczuła ukłucie żalu. Jej stary nos absolutnie nikomu by tu nie przeszkadzał.

- Patrz! - zawołała, wskazując samochód, który właśnie pędem przejechał obok. Czarne drzwiczki należały kiedyś do jakiegoś mercedesa, biała maska została wzięta z bmw, srebrny bagażnik z jaguara, czerwony, składany dach z lexusa, opony z białym bieżnikiem zdjęto z bentleya, a głośniki zapożyczono z dodge'a. Leciała z nich muzyka klasyczna. Z lusterka zwisały znaczki wszystkich mafek. Na tablicy rejestracyjnej widniał napis: KUNDEL.

- Samochód jak z reklamy Benettona - oceniła Melody.

- Albo ze złomowiska przy Rodeo Drive - z przekąsem stwierdziła Candace. Szybko zrobiła zdjęcie telefonem i rozesłała je do przyjaciółek z Beverly Hills. Odpowiedziały niemal od razu, również wysyłając zdjęcia tego, co aktualnie robiły. Spora część z nich musiała właśnie łączyć po jednej z modnych galerii handlowych, bo Candace przyspieszyła kroku i gdy

tylko skręciły w Staghorn Road, zaczęła wypytywać każdego napotkanego człowieka o miejsce, w którym spotykają się najfajniejsi ludzie w mieście.

Odpowiedź była jednogłówna: na nabrzeżu. Tłoczno miało się tam zrobić dopiero za kilka godzin.

Po leniwej przerwie na kawę latte i kilku przystankach w lokalnych sklepach odzieżowych (które były zupełnie do niczego, jak zawyrokowała Candace) w końcu zrobiło się południe. Za pomocą mapy, którą dostały od Beau, i dzięki wskazówkom przechodniów dziewczyny odnalazły właściwą drogę w labiryncie sennych uliczek i wyszły na nabrzeże. Naładowane kofeinową energią, były gotowe ogłosić swoje przybycie śmietance tego miasta.

- Co? - Candace stanęła jak wryta, jak gdyby drogę przegrodziła jej szklana szyba. - To ma być to słynne centrum szyku północnej części Zachodniego Wybrzeża? - zawołała, wskazując na wózek z lodami, plac zabaw dla dzieci i ceglany budynek, w którym stała zabytkowa, drewniana karuzela.

- Mmmm, czuję zapach kina - oznajmiła Melody, wdychając powietrze nasączone aromatem popcornu i hot dogów.

- No tak, można zmienić kształt nochala Nochaliny, ale pewne rzeczy pozostają niezmiennie - parsknęła Candace.

- Bardzo zabawne - odcięła się Melody, przewracając oczami.

- Tak naprawdę wcale! - prychnęła siostra. - Nic tutaj nie jest ani odrobinę zabawne. Mówiąc szczerze, to jakiś totalny koszmar. Słyszysz to? - powiedziała, wskazując na karuzelę. Dobiegająca z budynku upiorna muzyka organowa, zupełnie niczym ze starego horroru o morderczych klaunach, drażniła swoimi ni to zabawnymi, ni to groźnymi tonami.

- Jedyna osoba jednocześnie powyżej ósmego roku życia i poniżej czterdziestki to ten koleś - stwierdziła Candace, wskazując na samotną postać na ławce. - Tylko jak dla mnie, to wygląda na to, że on płacze.

Chłopak siedział lekko przygarbiony, z głową pochyloną nad szkicownikiem. Co chwilę na moment unosił wzrok, przyglądał się karuzeli i wracał do rysowania.

Melody zaczęła się pocić. Jej ciało rozpoznało go prędzej niż jej pamięć.

- Lepiej stąd chodźmy - powiedziała, łapiąc Candace za szczupłe ramię.

Było już jednak za późno. Siostra uśmiechnęła się z zadowoleniem. Najwyraźniej nie zamierzała ruszać się z wyłożonego gumą chodnika.

- Czyżby to był...

- Nie! Po prostu chodźmy już - nalegała Melody, szarpiąc ją trochę mocniej. - Mogę przysiąc, że gdzieś po drodze widziałam Bloomingdale's. No chodź!

- A jednak to on!

Candace zaczęła ciągnąć siostrę w stronę ławki.

- Cześć, sąsiedzie! - zawołała, cała rozpromieniona.

Chłopak podniósł głowę i odgarnął z czoła niesforny kosmyk brązowych, falowanych włosów. Melody poczuła ucisk w żołądku. Z bliska był jeszcze bardziej atrakcyjny.

Za grubą, czarną oprawką okularów kryła się para błyszczących, orzechowych oczu. W takich ramkach wyglądały jak oprowione zdjęcia błyskawic na tle burzowego nieba. Miał w JSbie intrygujący urok dziwaka, superbohatera w przebraniu.

- Pamiętasz moją siostrę? Stała rano w oknie - w głosie Candace pobrzmiwała złośliwa satysfakcja z dokonanej zemsty, jakby to Melody osobiście odpowiadała za porażkę, jaką było nabrzeże, i musiała zostać za nią ukarana.

- Ee... miło mi... Melody - przedstawiła się z trudem, paląc się ze wstydu.

- Jackson - odparł chłopak, spuszczać wzrok.

Candace musnęła rąbek jego białego podkoszulka.

- Ledwo cię poznałyśmy w takiej ilości odzieży.

Jackson zaśmiał się nerwowo, nie podnosząc wzroku znad rysunku.

- Prawdziwy z ciebie urodziwak - gruchała mu nad uchem Candace, używając najnowszego wyrazu ze swojego prywatnego słowniczka: połączenia słów uroczy i dziwak. - Może przypadkiem masz starszego brata bez wady wzroku... Ewentualnie może nosić soczewki - ciągnęła.

- Nie bardzo - odpowiedział Jackson. Jego jasna twarz oblała się rumieńcem. - Jestem jedynakiem.

Melody mocno przyciskała ręce do boków ciała, próbując za wszelką cenę ukryć powiększające się plamy potu pod pachami.

- Co rysujesz? - spytała. Może nie było to wybitnie szalone pytanie, ale w tej chwili wszystko brzmiało lepiej niż paplanina Candace.

Jackson przyjrzał się szkicownikowi z zadumą, jakby dopiero go zauważył.

- Karuzelę. No wiesz, taką w ruchu.

Melody przyjrzała się rozmazanym pastelowym kreskom. Z tęczowej feerii kolorów wyłaniały się sylwetki koni i dzieci. Ulotny i nieostry obrazek zdawał się dziwnie znajomy - przywoływał na myśl sen, którego poszarpane fragmenty potrafią nieustannie przypominać się przez cały dzień.

- To jest naprawdę niezłe - pochwaliła szczerze. - Od jak dawna to robisz?

Jackson wzruszył ramionami.

- Może pół godziny. Zabijam czas, czekając na mamę. Była umówiona na spotkanie gdzieś w okolicy, więc...

Melody zaśmiała się wesoło.

- Nie, nie, chodziło mi o to, czy długo zajmujesz się rysowaniem. Tak w ogóle.- Aha - zawstydzony Jackson zmierzył dłonią włosy. Niesforne kępkę posłusznie wróciły na miejsce, jak tasowane karty. - Sam nie wiem. Rysuję od paru lat, tak mi się wydaje.

- Nieźle - przyznała Melody, kiwając z uznaniem głową.

- E tam - odparł Jackson, grzebiąc butem w żwirze.

- Naprawdę fajnie - zapewniła Melody, bawiąc się włosami.

- Dzięki - powiedział Jackson, zasypując wygrzebane kamyczki.

- Nie ma sprawy - odparła Melody, poprawiając koszulkę.

Nagle upiorne dźwięki organów, dobiegające od strony karuzeli, zaczęły wyć z nową mocą, jak gdyby próbowały uwolnić chłopaka i dziewczynę od tortury tej niezręcznej rozmowy.

- Skąd w ogóle jesteście? - spytał Jackson, mierząc wzrokiem niespotykany w tych okolicach strój Candace.

- Beverly Hills - odparła starsza siostra takim tonem, jakby dziwiło ją, że tego po niej nie widać.

- Przeprowadziliśmy się ze względu na moją astmę - oznajmiła Melody.

- Świetny tekst na podryw, Mel - westchnęła Candace, powoli tracąc resztki wiary w siostrę.

- Wybacz, ale to szczerza prawda.

Ściągnięta do tej pory twarz Jacksona rozpromieniła się w uśmiechu jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Odważne wyznanie Melody sprawiło, że nagle poczuł się pewniej.

- Słyszałeś C szkole Merston High? - spytała dziewczyna.

- Jasne, że tak - odparł, robiąc im miejsce na ławce. - Sam tam chodzę.

Melody usiadła z ramionami wciąż mocno przyciśniętymi do boków, na wypadek, gdyby wiatr zawiął w niekorzystną dla niej stronę.- A do której klasy? - spytała.

Candace nie zwracała na nich uwagi, zajęta wysyłaniem esemesa.

- Teraz pójdę do pierwszej liceum.

- To tak jak ja - odparła Melody, uśmiechając się trochę szerzej, niż chciała.

- Naprawdę? - Jackson odwzajemnił uśmiech. Właściwie to po prostu nie przestawał się uśmiechać.

Melody przytaknęła.

- I jak tam jest? Fajni ludzie?

Jackson ponownie spuścił wzrok i obojętnie wzruszył ramionami. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Czar przestał działać. Oleisty zapach pasteli stał się naraz bardzo drażniący.

- Co jest? - ostrożnie zapytała Melody, załamana nagłą zmianą jego nastroju. Czuła, że w tej chwili jej serce wygrywa najsmutniejszego z marszów żałobnych.

- Ludzie są w porządku. Problem w tym, że moja mama uczy chemii i biologii, a niezła z niej kosa. Mówiąc w skrócie - gdy przychodzi weekend, telefony do mnie się nie urywają.

- Ja mogę do ciebie dzwonić - zaproponowała Melody miękkim głosem.

- Serio? - zdziwił się Jackson. Na jego czole pojawiły się kropelki potu.

Melody przytaknęła. Jej serce zaczęło bić szybciej. Czuła się niezrozumiale swobodnie w obecności tego, obcego przecież, chłopaka. Może dlatego, że nie patrzył jej prosto w twarz, ale jakby przez nią. A może dlatego, że najwyraźniej nie przeszkadzało mu towarzystwo dziewczyny w przepoconych ciuchach, po czternastu godzinach jazdy samochodem, która jak gdyby nigdy nic oznajmiała, że choruje na astmę.

- W porządku.

Uważnie przyjrzał się jej jeszcze raz, po czym czerwoną kredką nabazgrał swój numer na krawędzi kartki, którą wydarł ze szkicownika.

- Proszę bardzo - powiedział, wręczając Melody strzępek papieru i szybko otarł czoło wierzchem dłoni. - Muszę lecieć.

- Okej.

Młodsza z sióstr nie mogła ruszyć się z miejsca, wciąż oszołomiona siłą porozumienia, które magicznie zdawało się ciągnąć ich ku sobie.

- Do zobaczenia - niezdarnie zamachał na pożegnanie, obrócił się w stronę karuzeli i pospiesznie odszedł.

- Niezła rozgrywka - pochwaliła Candace, wrzucając komórkę do swojej lśniącej torebki. - Urodziwaki są dobre na rozgrzewkę. A teraz chodźmy coś zjeść.

Rozejrzała się dookoła.

- Mam nadzieję, że znajdziemy tu coś bez dodatku salmonelli...

Melody posłusznie podążała za Candace po krętych alejkach parku, nie mogąc przestać szczerzyć się w uśmiechu na myśl o wypisanym czerwoną kredką numerze telefonu. Zdobycie go okazało się stosunkowo łatwe. Gorzej będzie z wykorzystaniem. Tak czy siak, miała go. On jej go dał. Dobrowolnie - co warto podkreślić. Przynajmniej mogła spokojnie

roztrząsać w głowie szczegóły rozmowy, nie martwiąc się o to, czy chłopak był nią zainteresowany, czy nie.

Mogła i chciała to robić.

- Masz ochotę na bułkę z hot doga i colę light? - spytała Candace.

- Nie jestem głodna.

Melody uśmiechnęła się szeroko w stronę urokliwie zachmurzonego nieba. Nagle przestała się czuć tak przybijająco nijaka.

ROZDZIAŁ 6

NIC NIE JEST JAK (S)ZWYKLE

W pracowni, służącej Frankie za sypialnię, rozległo się głośnie pukanie do drzwi.

- Naprawdę musimy już jechać, bo się spóźnimy! - wołała Viveka.

- Już idę! - zapewniła Frankie, tak samo jak zrobiła to już cztery razy wcześniej. Zdecydowanie wołałaby odpowiedzieć: „Doskonałość wymaga czasu”. Strój, w którym prezentowała się przed błyszczurami, był doprawdy wysmakowany. Do pełnego efektu brakowało jedynie odpowiednich okularów przeciwsłonecznych.

- Co myślicie o białych? - zapytała, nakładając ogromne okulary w plastikowych oprawkach i przyjmując podpatrzoną w gazetach pozę z podpartym podbródkiem. - Może lepiej zielone?

Pokój wyglądał, jakby przeszedł przez niego huragan, który wszędzie rozrzucił ubrania. Sterty ciuchów zalegające na podłodze utrudniały dziewczynie poruszanie się, nie mówiąc już o obrotach. Wysokie, metaliczno-różowe koturny na jej nogach z pewnością nie ułatwiały sprawy. Na szczęście szczury zrozumiały doniosłość chwili i stanęły na wysokości zadania. Współpraca z nimi przez ostatnie trzy godziny układała się po prostu świetnie. Na „tak” drapały się za uchem raz, a na „nie” - dwa razy, dzięki czemu Frankie dość szybko zdecydowała się na top w czarnobiałe paski i kwiecistą mini. Mieszanie wzorów było bardzo na czasie.

- Białe czy zielone? - nalegała Frankie.

Trzy wyczerpane trudnymi decyzjami szczury odpoczywały na uboczu. Dwa najbardziej wytrwałe podrapały się raz na widok białych. Dobry wybór - zielone zdecydowanie za bardzo zlewały się z odcieniem skóry Frankie, a przecież pierwszego dnia w szkole dla normalsów nie chciała wmieszać się w tłum.

Związała włosy w wysoki kucyk, pociągnęła usta błyszczkiem i wtarła próbkę perfum Estee Lauder Sensuous w skórę szyi nad śrubami. Slogan reklamujący zapach głosił przecież: „Każda z nas nosi je tam, gdzie chce”.

- Trzymajcie za mnie kciuki, kochane błyszczury!

Ucałowała szybę akwarium, zostawiając na niej lśniący, różowy odcisk ust.

Ostatnie dwa szczury padły zmachane na kupkę błyszczących bratnich futerek.

- Jestem gotowa! - zawołała Frankie.

Rodzice stali przy kuchennej wyspie ze stali nierdzewnej, dzieląc się bajgłem i pijąc duszkiem kawę - było to jedno z wielu ćwiczeń, które miały pomóc im zachować pozory normalności. Podobnie jak ich córka, do funkcjonowania potrzebowali elektryczności, a nie jedzenia.

W ich zbudowanym na planie litery „L” domu, tak pełnym ostrych, geometrycznych kształtów, przeważała minimalistyczna biel. Elektryczny zapach lekko przypalonych tostów mieszał się tu nieustannie z chemiczną wonią amoniaku. Poranne światło z trudem walczyło, by przedostać się do środka przez zmatowione szyby.

Tak dobrze znane wewnątrz dziś wydało się Frankie zupełnie niezwykle. Pełne życia. Radosne. Pozytywnie naładowane. Dziś po raz pierwszy w życiu miała wyjść z domu.

- Nigdzie nie pójdziesz w tym stroju! - Viktor z hukiem postawił biały kubek na otwartej gazecie, leżącej na blacie.

- Frankie, gdzie jest kostium, który ci daliśmy? - spytała Viveka.

Podeszła do córki. Frankie zupełnie inaczej patrzyła teraz na makijaż, szarą sukienkę z golfem» długie legginsy i buty za kolano, które miała na sobie mama.

- Dlaczego nie nałożyłaś makijażu?! - grzmiał Viktor.

- Myśl na zielono! - zawołała Frankie, powtarzając za magazynami. - Przecież to najważniejsze przesłanie naszych czasów. Wiesz, ekologia, te sprawy. Poza tym jestem dumna z tego, kim jestem i jak powstałam. Jeśli ludzie nie będą mnie lubić tylko dlatego, że nie jestem normalną, to ich problem, nie mój.

- Nie wyjdiesz z domu ubrana w ten sposób - Viktor był nieubłagany. - Twoje szwy i kołki nie mogą być na widoku.

- Ale tato! - zaprotestowała gwałtownie, strzelając strumieniem iskier z koniuszków palców. - Kostium, który mi daliście, to najgorszy koszmar! - wyrzuciła z siebie, po czym tupnęła ze złości. Efekt był wyjątkowo mizerny, gdyż wszystko wytłumił gruby dywan.

- Powinnaś posłuchać taty - nalegała Viveka.

Frankie rzuciła rodzicom wściekle spojrzenie. Nie mogła znieść widoku ich niewzruszonych, biskoptoworóżowych twarzy.

- Idź się przebrać - rozkazał Viktor. - Jeszcze trochę i wszyscy się spóźnimy.

Dziewczyna ciężkim krokiem ruszyła w kierunku swojej sypialni. W chwilę później była już z powrotem, z szyją osłoniętą brązowym szalem i nadgarstkami zakrytymi szerokimi, skórzanymi bransoletkami. Poszła na teustępstwa tylko i wyłącznie dlatego, że „Teen Vogue” rekomendował je jako najmodniejsze akcesoria tej jesieni. Uśmiechnęła się krzywo.

- Zadowoleni? Zasłoniłam szycie. Możemy już iść?

Viktor i Viveka wymienili porozumiewawcze spojrzenia i ruszyli w kierunku wewnętrznych drzwi, prowadzących do garażu. Frankie, dumna ze swojego stroju, podążyła za nimi, smakując odniesione zwycięstwo. Nic nie mogło zepsuć jej humoru.

Pibip - zapiszczał zamek półterenowego, czarnego volvo.

- Jedźmy KUNDLEM! - zaproponowała z entuzjazmem na (wprowadzone sztucznie do jej umysłu) wspomnienie rodzinnego wypadu do rezerwatu Silver Falls. Chętnie przeżyłaby coś podobnego naprawdę.

- Lepiej będzie, jeśli pojedziemy mniej rzucającym się w oczy samochodem - stwierdził Viktor.

- Ale tato, samoróbki są teraz niesamowicie modne - drażyła Frankie. - KUNDEL to esencja samoróbek, prawdziwa samochodorbka! Wszyscy w szkole na pewno by się nim zachwycali.

- W słowniku nie ma takiego słowa jak samochodorbka! - uciął ojciec. - Przestań wierzyć mi dziurę w brzuchu!

Droga do szkoły dłużyła się jak nudny Film. Przewijające się za przyciemnionymi szybami drzewa, samochody, domy, a nawet normalisi, to wszystko niewiele różniło się od tego, co Frankie знаła ze sztucznych wspomnień. Co z tego, że perspektywa oddychania świeżym powietrzem zapowiadała się ekscytująco, skoro dziewczyna nie miała na sobie warstwy Trwałego Uroku, w efekcie czego zakazano jej otwierać okna w samochodzie?

Po dwóch godzinach czarne volvo w końcu zatrzymało się przed budynkiem Mount Hood High. Frankie trudno było uwierzyć, że nie dało się znaleźć żadnej bliżej położonej szkoły. Wołała jednak nic nie mówić. Rodzice byli wystarczająco poirytowani, więc obawiała się, że każde następne „ale” z jej strony może sprawić, że w ekspresowym tempie wróci do domu.

Ledwie zauważając majestatyczne góry piętrzące się na horyzoncie i żółtoczerwone liście bezwzględnie opadające z drzew, Frankie wyskoczyła z auta i po raz pierwszy w życiu zaciągnęła się świeżym powietrzem. Rześkie, chłodne, wolne od woni formaldehydów - chłonęli je łapczywie, tak jak chłopcze się krystalicznie czystą, źródlaną wodę prosto z górskiego strumienia. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i uniosła swą zielonkawą twarz w kierunku nieba. Ciepłe promienie bez przeszkód mogły teraz ogrzać jej skórę. Od nagłej jasności w kącikach oczu zebrały jej się łzy. A może były to łzy radości?

Frankie niespecjalnie przejmowała się wyzwaniem, które stawiała nowa sytuacja. Choć nie wiedziała, gdzie się skierować, bo nigdy nigdzie nie przebywała bez opieki

rodziców, miała jednak silną wiarę w moc wiedzy i umiejętności, w które ją wyposażyli. Była pewna, że sobie poradzi i że będzie się przy tym świetnie bawić.

Teren wokół szkoły był dziwnie pusty, na parkingu stało zaledwie kilka samochodów. Już miała zapytać, gdzie się wszyscy podziali, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Nie chciała sprawiać wrażenia zagubionej i niepewnej.

- Na pewno nie chcesz nałożyć makijażu? - spytała Viveka, wychylając głowę z samochodu.

- Na sto procent - zapewniła Frankie. Promienie słoneczne dawały jej więcej energii niż Carmen Electra. - Do zobaczenia po lekcjach - powiedziała i posłała buziaka w kierunku rodziców, chcąc im osłodzić trudną chwilę rozstania. - Miłego dnia w pracy!

- Dzięki - odparli jednocześnie.

Frankie ruszyła w kierunku głównego wejścia, wdychając powietrze tak łapczywie, jakby zaraz miało się skończyć. Czuła na sobie spojrzenia rodziców, odprowadzające ją przez opustoszały parking, parla jednak do przodu, nie oglądając się za siebie.

Weszła po jedenastu szerokich stopniach, prowadzących do podwójnych drzwi wejściowych, rozkoszując się naturalnymi skurczami mięśni. Odczuwanie ich pracy było tak różne od samej wiedzy na ten temat.

Przystanęła na chwilę, by wyrównać oddech, po czym chwyciła za klamkę i...

Plask! Drzwi otworzyły się z impetem i uderzyły ją w twarz, aż śruby w jej szyi zaczęły tryskać iskrami. Dziewczyna przyłożyła dłoń do pulsującego z bólu policzka i opuszczała głowę.

- Ojej! Nic ci się nie stało? - rozległy się przejęte głosy. Hałaśliwa gromadka dziewcząt otoczyła ciasno Frankie niczym tłum w nowojorskim metrze. Mieszanina owocowych perfum wyparła całą świeżość powietrza i przyprawiała dziewczynę o mdłości.

- Naprawdę nie chciałyśmy - zaczęła jedna z uczennic, głaszcząc Frankie po włosach.
- Po prostu cię nie zauważyłyśmy. Serio.

Przyjazny gest zalał serce Frankie falą ciepła, gorętszą nawet niż promieniowanie słońca. Te normalni byli miłe!

- Nic mi nie jest - odparła z uśmiechem, podnosząc głowę. - Bardziej się przestraszyłam, niż oberwałam.

- Co to ma być...?

Przerażona blondynka w zielonobiałym stroju czirliderki zrobiła krok do tyłu.

- Albo cierpisz na ciężki przypadek choroby lokomocyjnej, albo po prostu jesteś... zielona - stwierdziła inna jasnowłosa dziewczyna.

- Czy to jakiś żart? - spytała kolejna, odsuwając się na wszelki wypadek.- Nie, po prostu mam miętową skórę - odparła Frankie, uśmiechając się ostrożnie i wyciągając dłoń na przywitanie. Jedna z bransoletek osunęła się nieco, odsłaniając szwy, ale dziewczyna zupełnie się tym nie przejęła. W końcu taka właśnie była: pozszywana i ośrubowana.

- Jestem tu nowa. Nazywam się Frankie i przyjechałam z...

- Fabryki zabawek? - dokończyła za niej jedna z czirliderek, zerkając na jej nadgarstek.

- To potwór! - zawołała jedyna w stadku brunetka, po czym wyszarpnęła telefon z kieszeni, wybrała numer alarmowy i w panice uciekła do szkoły.

- Aaaaaaa! - zapiszczały pozostałe, otrzepując się z obrzydzenia, jak gdyby po nogach pełzały im robaki.

- Mówiłam wam, że przyjdzie na trening w niedzielę to nie jest dobry pomysł! - krzyknęła któraś.

Dziewczyny rzuciły się do wejścia, wpadły do szkoły i zatrzasnęły za sobą drzwi. Na zewnątrz było słychać, jak w przerażeniu podstawiają krzesła pod klamki.

W niedzielę?

W oddali rozległ się odgłos policyjnych syren. Z czarnego volvo, które nagle zatrzymało się przy schodach, wyskoczył Viktor.

- Szybko! - zawołała przez otwarte okno Viveka.

Frankie stała jak sparaliżowana. W głowie miała kompletną pustkę. Bezmyślnie obserwowała biegnącego w jej kierunku ojca.

- Musimy uciekać! - krzyknął.

Wycie syren stawało się coraz głośniejsze.

- Chciałem ci dać nauczkę - wymamrotał, biorąc córkę na ręce i niosąc ją do samochodu. - Sprawy zaszły za daleko. Nie powinienem był na to pozwolić.

Frankie wybuchnęła płaczem. Viktor ruszył z parkingu z piskiem opon i ostro skręcił w kierunku Balsam Avenue.

Włączył się do ruchu ulicznego dokładnie w tym momencie, w którym policyjne radiowozy zajęły przed szkołą.

- W ostatniej chwili - wyszeptała Viveka. Po jej policzkach zaczęły płynąć łzy.

Viktor zdawał się całkowicie skupiony na prowadzeniu. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, nie odzywał się ani słowem. Nie robił Frankie wymówek, a ona nie przepraszała. Nie było takiej potrzeby. Obydwoje dobrze wiedzieli, gdzie popełnili błędy. Pozostawało im tylko odpowiedzieć sobie na jedno jedyne pytanie: co dalej?

Frankie wpatrywała się w opuchnięte od płaczu odbicie swojej twarzy w szybie samochodu. Wyglądała przerażająco. I to właśnie była smutna prawda.

Łzy wypływały w równych odstępach, jedna za drugą, jak na taśmociągu w fabryce. Nabrzmiwały - spadały... nabrzmiwały - spadały... nabrzmiwały - spadały... po jednej za każdą z rzeczy, które dziś utraciła. Nadzieję. Wiarę. Pewność siebie. Dumę. Poczucie bezpieczeństwa. Zaufanie. Niezależność. Radość. Piękno. Wolność. Niewinność.

Viktor włączył radio.

- Cztery czirliderki, które twierdzą, że widziały potwora, są w stanie głębokiego szoku - wiadomości rozchodziły się z prędkością światła.

- Wyłącz to - poprosiła Viveka, pociągając nosem.

- Musimy się zorientować, ile wiedzą - odparł, podkreślając głośnopć. - Trzeba ocenić szkody.

Frankie zaiskrzyła.

- Opiszcie dokładnie to, co widziałyście - poprosił niski głos spikera.

- Była zielona - jeśli to w ogóle była samica. Ciężko stwierdzić, wszystko stało się tak szybko. Na początku to coś udawało, że jest normalną dziewczyną, ale nagle zaczęło wyciągać swoje paskudne łapska w naszą stronę, jak jakiś... - głos dziewczyny zadrżał z przerażenia - potwór z kosmoosuuu! Frankie poczuła złość, która zaczęła wypierać jej smutek.

- Po prostu próbowałam się przywitać! - krzyknęła.

- Spokojnie, już jesteś bezpieczna - uspokajał dziewczynę reporter. - Może przerwijmy na chwilę - zaproponował i na moment jego głos ucichł.

Wrócił na antenę pełen energii i nowych informacji:

- Pierwsze pogłoski o widzianych w Salem potworach i dziwadłach pochodzą z 1940 roku - zadął. - Na granicy między Kalifornią a Oregonem zatrzymano wówczas grupę wilkołaków, trzymających w zębach torby z jedzeniem z McDonalda. Kolejne doniesienia pochodzą dopiero z roku 2007. Pewien chłopiec o imieniu Billy miał wówczas posiadać umiejętność znikania i pojawiania się. Robił to na oczach innych ludzi. Dziś w okolicach szkoły Mount Hood High zaobserwowano zielonego przybysza z kosmosu...

Viveka jednym ruchem wyłączyła radio.

- Cóż, przynajmniej będą szukać obcych - westchnęła z ulgą.

- Frankie - zaczął Viktor, zerkając w lusterko. - Lekcje zaczynają się we wtorek, po Święcie Pracy. W twojej właściwej szkole. Nazywa się Merston High i znajduje trzy przecznice od naszego domu. Jest jeden warunek - musisz...

- Tak, wiem - Frankie pociągnęła nosem. - Założę na siebie wszystko, czego tylko sobie zażyczycie. Przysięgam.

Mówiła to całkiem szczerze. Chęć pokazania się światu w naturalnym wydaniu zniknęła bezpowrotnie.

ROZDZIAŁ 7

STREFA NIEPRZYJACIELA

Drrryń, drrryń, drrryń! Dzwonek, zwiastujący początek przerwy na lunch, przypominał odgłos zajętego telefonu. Poranek inauguracyjny w Merston High oficjalnie dobiegł końca. Wraz z dzwonkiem rozplynęły się resztki tajemniczej mgiełki, otaczającej w wyobraźni Melody nową szkołę. Zniknęły marzenia o nieskończonych możliwościach i nadzieje na lepsze jutro. Dzień w szkole okazał się całkowicie, nużąco wręcz, zwyczajny. Sytuacja przypominała spotkanie twarzą w twarz z poznaną w Internecie osobą, z którą czatowało się od kilku miesięcy. W większości wypadków sieciowy znajomy okazywał się porażająco nijaki, nieznośnie przewidywalny i o wiele mniej atrakcyjny niż na wysyłanych mailem zdjęciach.

Już z zewnątrz budynek - klocek z cegły w musztardowym kolorze - nie przedstawiał się atrakcyjnie. W środku pachniało charakterystyczną mieszanką potu, przyborów szkolnych i książek z biblioteki. Około drugiej po południu zaczynała od tego zapachu boleć głowa. Większość ławek była zabazgrana głupawymi tekstami w stylu UGRYŻ SIĘ, LALA!, GÓPI DYRO czy też BEZGLUTENOWE GLUTY. Wypadały niezwykle blade w porównaniu z pełnymi jadu i złośliwości bazgrołami, które znała z Beverly Hills.

Zmęczona, głodna i rozczarowana, Melody powlokła się za tłumem w poszukiwaniu jedzenia. Czuła się jak skazaniec zakuty w łańcuchy. No, tyle że nie była w łańcuchach. Miała na sobie czarne rurki Candace (włożone po usilnych naleganiach siostry), różową koszulkę z wizerunkiem zespołu The Clash i równie różowe converse. W szkole pełnej uczniów, niemal żywcem wyjętych spod sceny festiwalu Woodstock, wyglądała jak naciągana imitacja lat siedemdziesiątych. Jej ni to słodki, ni to punkowy image klócił się z morzem otaczających ją zwiewnych spódnic i flanelowych koszul. Czuła się jakby była z zupełnie innej bajki. Nawet jej włosy zwisały smętnie - wszystko z nadmiaru odżywki, którą rano przez nieuwagę pomyliła z szamponem.

Między innymi właśnie wyrazistym strojem chciała zakomunikować uczniom Merston High, że już nigdy nikomu nie pozwoli się głupio przezywać. Strategia zdawała się działać, bo od samego rana większość mijanych na szkolnych korytarzach osób całkowicie ją ignorowała. Jedynie kilku przeciętnie wyglądających chłopców zwróciło na nią wyraźną uwagę. Przyglądali się jej, jak gdyby była smakowitym kąskiem, który z chęcią

spalaszowaliby sobie na deser. Uśmiechnęła się do kilku z nich, w duchu przekonując samą siebie, że z pewnością wydała im się interesującą osobą, a nie tylko atrakcyjnym, idealnie symetrycznym tworem, który wyszedł spod skalpela jej ojca. Chciała wierzyć, że tak było przynajmniej w wypadku Jacksona. Niestety, powoli traciła nadzieję.

Od momentu ich spotkania i rozmowy na nabrzeżu, ten uroczy chłopak, który dał jej swój numer wypisany czerwoną kredką na skrawku szkicownika, był fizycznie i telefonicznie nieosiągalny. Tamtego dnia, po powrocie do domu, Melody przypięła ów cenny kawałek kartki do jednej z drewnianych ścian swojego pokoju, po czym wpisała numer do telefonu, podpisując po prostu „J”. I naprawdę próbowała się do niego dodzwonić! Nie odebrał ani razu. Godzinami wracała w myślach do rozmowy na ławce, analizując wszystkie szczegóły, szukając ukrytych znaczeń, próbując rozszyfrować gesty oraz wszelkie sygnały, które mogła zlekceważyć... I nic, po prostu nie potrafiła zrozumieć jego milczenia.

Może jednak czuł się przy niej skrępowany. A myślała, że łączy ich właśnie nieśmiałość... Po kilkudziesięciu godzinach wypełnionych podobnymi rozmyślaniami Melody była zupełnie skołowana. W desperacji doszła do wniosku, że jednak musiała zawinić przeпоcona koszulka.

Oświeciła ją dopiero Candace. Bujały się na huśtawce, ciesząc się ostatnim wolnym wieczorem lata, kiedy starsza siostra przedstawiła Melody strategię „lepu na muchy”.

- Klasyczna zagrywka - podsumowała, po tym jak trzeci esemes wysłany przez Melody do Jacksona pozostał bez odpowiedzi. - Chłopak klei się do dziewczyny, by zyskać jej zaufanie. Gdy tylko mu się to udaje, natychmiast budzi się w nim „wolny ptak”. Znika na kilka dni. Zaniepokojona dziewczyna nieświadomie wpada coraz głębiej w pułapkę. Niepokój szybko zmienia się w niepewność. I wtedy właśnie... - Candace strzeliła palcami - zupełnie niespodziewanie na scenę wkracza ON! Dziewczyna cieszy się, widząc go w jednym kawałku i oczywiście jest przeszczęśliwa, że wciąż mu się podoba, więc bezmyślnie rzuca się w jego objęcia. Kiedy łączą się w uścisku, ciało przy ciele, oddech przy oddechu, nagle on zmienia się w... - zawiesiła głos z dramatyczną miną - ptakamacaka! Zwanego również ropuchę-świntuchem, czy też mniej poetycko: obleśną świnią.

- Jackson nie bawi się ze mną w żadne gierki - broniła chłopaka Melody, jednocześnie nie potrafiąc powstrzymać się od zerkania na iPhone’a. Wolny ptak uparczywie odmawiał świergotu.

- Jak uważasz.

Candace zeskoczyła z huśtawki.

- Tylko się nie zdziw, jeśli twój chłoptaş nie okaże się tym, za kogo go miałaś - ostrzegła i jeszcze raz strzeliła palcami. - No nic, lecę - powiedziała i zniknęła we wnętrzu domu.

- Dzięki za radę - zawołała za nią Melody, jednocześnie zastanawiając się, czy przypadkiem Jackson nie obserwuje jej z okna swojego pokoju. Jeśli nie, to gdzie on się podziewa? Jeśli tak - dlaczego jeszcze nie dzwoni?!

Melody otrząsnęła się z zadumy i wmieszała w tłum uczniów wchodzących do stołówki. Zmaganiom o najlepsze miejsca przy stolikach przygrywały reggae'owe rytmy piosenki Hope, popularnego przeboju Jacka Johnsona.

Dziewczyna zatrzymała się przy wejściu. Stała obok stolika, przy którym przedstawicielki Komitetu Balu Wrześniowego (czymkolwiek był) werbowały nowych członków. Udając, że bardzo ją interesują wywieszone na tablicy informacje na temat możliwości podjęcia wolontariatu, tak naprawdę uważnie rozglądała się po sali, próbując wybadać miejscowe zwyczaje. Miała pewność, że prędzej czy później spotka Jacksona. W końcu to był pierwszy dzień szkoły, a jego mama pracowała tu jako nauczycielka.

Stołówka podzielona była na cztery swego rodzaju „strefy posiłkowe”. Nad wszystkimi unosił się ostry zapach keczupu (czyżby zapiekanka mięsna?). Poszczególne strefy wyróżniały się kolorami krzeseł i robionymi ręcznie oznaczeniami. Strefie dla uczulonych na orzechy arachidowe przypisano brąz, strefie bezglutenowej - kolor niebieski, bezlaktozowej - pomarańczowy, a tej dla osób szczęśliwie nieposiadających żadnej alergii - biały. Uczniowie dzierżyli w dłoniach tace o odpowiednich kolorach i przepychali się w walce o terytorium, co najmniej jakby chodziło o miejscówki na premierę Auatara. Zająwszy sobie miejsce, spokojnym krokiem przechodzili do wybranej przez siebie strefy, nakładali odpowiednie potrawy i rozmawiali z napotkanymi znajomymi.

- W Beverly Hills byłaby tylko jedna strefa - Melody zwróciła się do brunetki o końskiej twarzy, siedzącej przy stoliku Komitetu. - „Jedzenie surowo wzbronione”.

Zaśmiała się cicho z własnego dowcipu.

W odpowiedzi dziewczyna ściągnęła tylko brwi i zaczęła poprawiać i tak idealnie już ułożone sterty leżących przed nią ulotek.

Super - pomyślała Melody, odsuwając się od Końskiej Twarzy. - Jeszcze trochę i stworzą dla mnie specjalną, jednoosobową strefę nieprzyjaciela.

Ostatnie takty muzyki Jacka Johnsona płynnie przeszły w równie smętne brzdąkanie zespołu Dave Matthews Band. Melody poczuła, że czas zrobić następny krok w głąb stołówki. W ostateczności zawsze mogła zaczepić się koło Candace, która właśnie siedziała

między dwiema blondynkami w strefie bez alergii i udawała, że wróży przyszłość z dłoni jakiegoś przystojniaka.

Melody przesuwiała tacę na taśmie. Namierzyła wzrokiem apetycznie wyglądający kawałek pizzy z serem i pieczarkami. Stojąca za nią para nachyliła się nad nią, by dojrzieć dnie. Z ich rozmowy wynikało jednak, że tak naprawdę wcale nie są zainteresowani mięsnym ravioli czy filetemi z łososia. Chłopak opowiadał o swoim najnowszym wpisie na Twitterze. Z tego, co udało się podsłuchać Melody, chodziło o domniemane pojawienie się potwora w pobliskim miasteczku Mount Hood.

- Przysięgam, Bek - mówił chłopak niskim i opanowanym głosem. - Chcę go złapać jak nikt inny.

- I co byś zrobił, gdyby ci się udało? - spytała dziewczyna z nieudawaną troską. - O, wiem! Mógłbyś powiesić to pod sufitem w swoim pokoju i używać jego łap jak wieszaków, a w uszach trzymać długopisy albo...- Chyba zgłupiałeś - przerwał jej urażony. - Oswoiłbym potwora, zdobył jego zaufanie i nakręcił film o jego zwyczajach godowych.

O czym?

Melody nie potrafiła ani chwili dłużej udawać zainteresowania ziemniaczanym puree. Wprost umierała z ciekawości. Rzuciła parze niepewne, ukradkowe spojrzenie, niczym widz w teatrze, który obraca się, by w końcu zobaczyć twarze gaduł zakłócających mu seans.

Chłopak miał czarne, farbowane włosy o mocno wystrzępionych końcach. Jego fryzura przypominała dzieło nawiedzonego dziecięcia. W bladej twarzy płonęły wesole ogniki ciemnoniebieskich oczu.

Odwzajemnił spojrzenie i szeroko się uśmiechnął.

Szybko odwróciła wzrok. W myślach zanotowała: zielona koszulka z Frankensteinem, czarne dżinsy z opuszczonym krokiem i równie czarny lakier na paznokciach.

- Brett! - warknęła dziewczyna. - Wszystko widziałam!

- Ale o co ci chodzi? - zapytał zdziwiony, zupełnie jak Beau, kiedy Glory przylapywała go na picciu mleka prosto z kartonika.

- Nieważne! - mruknęła Bek, popychając chłopaka w kierunku baru sałatkowego. Miała na sobie lekką, białą sukienkę i brzoskwiniowe botki z dzianiny. Oceniając wyłącznie po garderobie, wyglądali jak Piękna i Bestia.

Kolejka posunęła się o kilka centymetrów.

- Wiesz może, o co im chodziło? - Melody zapytała kolejną stojącą za nią osobę. Dziewczyna miała na sobie kostium z wełny i grubą warstwę tapety na twarzy. Wyglądało na

to, że również nie do końca wie, jak wpasować się w klimat szkoły. Zdecydowanie lepiej wyglądałaby w sali konferencyjnej jakiegoś niezwykle poważnego przedsiębiorstwa.

- Wydaje mi się, że jest o niego bardzo zazdrosna - nieśmiało wymamrotała dziwnie ubrana dziewczyna.

Beau na pewno potrafiłby docenić delikatne rysy jej twarzy, otoczonej długimi, czarnymi puklami, podobnymi do włosów Melody, tylko - oczywiście - bardziej lśnięcymi.

- Nie o tym myślałam - odparła Melody, uśmiechając się szeroko. - Chodzi mi o tę całą aferę z potworami. Czy to jakiś lokalny dowcip?

- Ee, naprawdę nie mam pojęcia - dziewczyna zamasyściła pokręciła głową. - Jestem tu nowa.

- Ja też! Nazywam się Melody - przedstawiła się, wyciągając jednocześnie rękę na przywitanie.

- Frankie - odparła nowo poznana koleżanka i mocno uściśnęła podaną dłoń.

Delikatna iskierka kopnęła obie dziewczyny. Było to bardzo odświeżające uczucie.

- Ojej! - zaśmiała się Melody.

- Strasznie przepraszam - wydukała Frankie, marszcząc swoją ładną buzię. Nim jeszcze Melody zdążyła ją zapewnić, że nic takiego się nie stało - dziewczyna odstawiła z hukiem (i kolejną iskrą) swoją białą tacę i zniknęła w tłumie.

W tym samym momencie Melody oślepił błysk flesza.

- Co to ma...?

Jak przez mgłę zdążyła jedynie dostrzec niską, dziewczęcą postać w rogowych oprawkach. Na oczy spadała jej karmelowa grzywka.

- Cześć - rozległ się znajomy męski głos.

Jasne plamki przed oczami zaczęły powoli znikać. Rozpływały się jedna po drugiej, przypominając efekty specjalne w niskobudżetowym filmie. Świat na powrót nabierał kolorów i kształtów.

I oto stał przed nią on...

Miał na sobie białą koszulę, luźno wypuszczoną na świeżo wyprasowane spodnie i brązowe górskie buty. Nie potrafił powstrzymać uśmiechu na jej widok.

- Jackson! - zawołała radośnie Melody i w ostatnim momencie zapanowała nad chęcią rzucenia się chłopakowi na szyję. A co jeśli to faktycznie... „lep na muchy”?

- Jak leci?

- W porządku, a u ciebie?

- Przez cały weekend źle się czułem - odpowiedział w całkiem wiarygodny sposób.

- Aż tak źle, że nie odbierałeś telefony? - wyrwało się Melody. Może i zabrzmiała jak zaborcza wariatka, jednak w tej chwili zupełnie o to nie dbała.

- Na co ma panienka dzisiaj ochotę? - zawołał okrągłutki mężczyzna, podający jedzenie zza lady. Filuternie zaklekotał w stronę Melody trzymanymi w dłoni srebrnymi szczypcami. - To jak, co podać?

- Ee...

Z pożądaniem spojrzała na kawałek pizzy. Miała wrażenie, że on również się w nią wpatruje, z nadzieją, niczym szczeniaczek czekający na adopcję. Niestety, w tej chwili jej żołądek był skręcony jak precel i zdecydowanie odmawiał przyjęcia jakichkolwiek pokarmów.

- Na razie dziękuję - powiedziała i przeszła do następnego stanowiska. Jackson nie opuszczał jej na krok.

- Może wytłumaczysz mi sens dawania komuś swojego numeru, a potem nieodbierania telefonów od niego?

Melody nałożyła na tacę kiść winogron i babeczkę, z jagodami.

- Co niby miałbym odbierać, skoro nikt nie dzwoni? - odparował. Patrzył na nią przy tym z dziwną czułością, a w kącikach jego ust wciąż czał się uśmiech.

- Przecież dzwoniłam! - Melody rozgryzła jedno z winogron. - Przynajmniej ze trzy razy - (tak naprawdę liczbie wykonanych połączeń bliżej było do siedmiu, ale dziewczyna nie miała specjalnej ochoty odsłaniać się jeszcze bardziej).

Jackson wyciągnął telefon z kieszeni dżinsów i zamachał jej przed twarzą. Na ekraniku widniał napis: „Brak nowych wiadomości”. Wyświetlacz pokazywał również numer właściciela. Ostatnią cyfrą było 7. A nie 1. Ups.

Policzki Melody oblały się krwistym rumieńcem. Przypomniała sobie numer rozmazany - i to jej własnym palcem - na kartce ze szkicownika. Jeden nieuważny ruch przerobił 7 na 1.

- No ładnie - zaśmiała się, jednocześnie stając przy kasie. - Chyba udało mi się rozwikłać naszą małą zagadkę.

Jackson w pośpiechu chwycił torebkę czipsów i puszkę sprite'a.

- Może usiądziemy razem? - zaproponował. - Oczywiście, jeśli nie masz ochoty, to...

- Jasne, że tak - odparła Melody i z dumnie uniesioną głową podążyła do strefy białych siedzeń za swoim pierwszym znajomym w nowej szkole (potencjalnym chłopakiem).

Dwie atrakcyjne, oryginalnie wyglądające dziewczyny, pogrążone w rozmowie, próbowały ich wyprzedzić. Jednej z nich udało się prześliznąć obok Jacksona. Miała

słoneczną urodę Shakiry, rudawe loki, a w ręku trzymała tacę po brzegi wypełnioną miniaturowymi hamburgerami. Druga z nieznanym utknęła jednak między łokciem Melody a jednym z niebieskich krzeseł. Miała ciemne włosy, rozświetlone wyrazistymi, jasnymi pasemkami. Na oczy spadała jej ciężka grzywka. Nie wyglądała na zadowoloną z zaistniałej sytuacji.

- Patrz, jak jesz! - syknęła, nieomal straciwszy równowagę na wysokich, złotych koturnach.

- Przepraszam - szybko odparła Melody, zgrabnie łapiąc dziewczynę za ciemnobrązowe ramię i pomagając jej odzyskać równowagę. Niestety, lunchu nie udało się uratować. Biała, plastikowa taca z hukiem upadła na podłogę. Czerwone winogrona rozsypały się jak korale z pękniętego naszyjnika. Podzielona na strefy stołówka nagle rozbrzmiała jednolitą burzą oklasków.- Dlaczego ludzie zawsze muszą bić brawo, kiedy coś komuś upadnie? - spytał Jackson, wyraźnie zażenowany faktem, że nagle znalazł się w centrum zainteresowania.

Melody obojętnie wzruszyła ramionami. Z kolei właścicielka upuszczonej tacy, najwyraźniej doskonale odnalazszy się w blasku chwilowej sławy, rozsyłała buziaki po całej sali. Jej drobną sylwetkę łyżwiarki figurowej opinała turkusowa, króciutka sukienka.

Gdy tylko oklaski ucichły, zwróciła się w stronę Melody. Uśmiech automatycznie zniknął z jej twarzy.

- Powinnaś uważać, jak chodzisz - obruszyła się.

Melody wybuchnęła śmiechem. Wszystkie szkolne przepychanki zawsze zaczynały się od tych właśnie słów.

- Może coś byś powiedziała? - naciskała dziewczyna.

- Tak naprawdę - zaczęła Melody, czując się dziwnie pewnie - to TY wpadłaś na mnie.

- Kłamiesz! - warknęła druga dziewczyna, ta z tacą pełną minihamburgerów. Jej wypowiedź była tak raptowna, że zabrzmiała prawie jak szczek. - Wszystko doskonale widziałam. To TY wpadłaś na Cleo.

Samozwańcza obrończyni miała na sobie fioletowe legginsy i skórzaną kurteczkę, wykończoną futrzanym kołnierzem w odcieniu jej włosów. W tym stroju nie do końca pasowała do wyobrażeń Melody o mieszkańcach proekologicznego stanu Oregon.

- To był wypadek, Claudine - wtrącił się Jackson, próbując pogodzić strony.

- Wiem, jak to rozwiążemy - odparła Cleo, oblizując wargi, jak gdyby rozkoszowała się myślą o swoim planie. Wyszczrzyła się do Melody. - Oddaj mi swoje winogrona i będzie po sprawie.

- Nie ma mowy! To nie moja wina - gwałtownie zaprotestowała dziewczyna, ponownie zdumiona własną odwagą (i nagłym przywiązaniem do nabytej chwili wcześniej kiści owoców). Całe swoje piętnastoletnie życie pozwalała się tyranizować podobnym typom. Miała tego powyżej uszu.

- Słuchaj, ty Melosmarku...

Cleo zrobiła krok do przodu i zacisnęła z wściekłości szczękę.

- Skąd wiesz, jak się nazywam?

Claudine zawyła ze śmiechu.

- Wiem wszystko o wszystkich - odpowiedziała Cleo, ogarniając szerokim gestem stołówkę, jak gdyby brała ją w swoje królewskie posiadanie. Może faktycznie była królową tego świata. To jednak wcale nie czyniło z Melody jej poddanej.

- Wiem również - zaczęła Cleo podniesionym głosem, zerkając na wlepione w nią oczy fanów ze strefy niebieskich krzeseł - że jeśli nie oddasz mi tych winogron, będziesz jadła TAM - dokończyła groźbę, wskazując na pusty stolik przy drzwiach do WC. Cały blat pokrywały mokre kawałki papieru i pokruszone kostki toaletowe.

W oddali, ponad uniesionym ramieniem Cleo, Melody dostrzegła Candace, najwyraźniej doskonale bawiącą się w kręgu nowo poznanych znajomych, zupełnie odciętą od świata zwykłych śmiertelników (takich jak jej młodsza siostra) i ich doczesnych bolączek.

- No więc?

Cleo oparła dłonie na szczupłych biodrach, niecierpliwie przebierając palcami.

Melody poczuła, że kręci jej się w głowie. Uderzyły ją egzotyczne, egipskie rysy Cleo. Dlaczego ładne dziewczyny zawsze zadzierają nosa? Dlaczego nie wykorzystują swojej urody w dobrych celach? Ciekawe, co powiedziałby tato na widok tego psującego symetrię pieprzyka na prawo od jej oka?

W rzeczywistości Melody nie miała pojęcia, co robić. Dookoła zebrał się tłum gapiów. Jackson kręcił się niespokojnie. Nie wiedziała, czego od niej oczekiwał. Powinna ustąpić czy walczyć o swoje? W uszach zaczęło jej dzwonić ze zdenerwowania.

- Ogłuchłaś? - powtórzyła pytanie Cleo, rzucając kolejne nienawistne spojrzenie fiołkowych oczu.

Serce Melody uderzało gwałtownie niczym ćma uwięziona w lampie, objijająca się o ścianki klosza. Ostatkiem sił wydusiła:

- Nie ma mowy.

Claudine z wrażenia odebrało mowę. Jackson stał napięty jak struna. Uczniowie z niebieskiej strefy szeptali i wymieniali zaaferowane spojrzenia. Melody wbiła paznokcie w dłoń. Ostatnie, czego było jej trzeba w tej chwili, to utrata przytomności.

- W porządku - wycodziła Cleo i podeszła bliżej.

- O Bożebożeboże - wyszeptała Claudine, niecierpliwie zwijając i rozwijając kosmyk swoich rudawych włosów.

W pierwszym odruchu Melody chciała zakryć twarz, spodziewając się, że zaraz spadnie na nią grad ciosów z obciążonych pierścieniami pięści Cleo. Powstrzymała się jednak. Przynajmniej nie wyjdzie na tchórza, a w końcu tata jest w stanie poradzić sobie z wszelkimi możliwymi urazami.

- Rozwiążemy to inaczej. Zabrałaś coś, co należało do mnie. W takim razie teraz ja muszę zabrać coś, co należy do ciebie! - oznajmiła Cleo.

- Niczego ci nie zabrałam - zaprotestowała Melody.

Jednak było już za późno.

Cleo przejechała błyszczącym po swoich pełnych wargach, przestąpiła z nogi na nogę, po czym chwyciła Jacksona za ramię, przyciągnęła go do siebie i... przyssała się do niego w długim, namiętym pocałunku.

- Nie wierzę! - Melody wybuchnęła nerwowym śmiechem. Z rozpaczą spojrzała na Claudine. - Co ona wyrabia?

Dziewczyna kompletnie ją zignorowała.

- Jackson! - pisnęła Melody, jednak chłopak nie reagował. Zdawał się pływać w swojej własnej, czerwonej strefie, w której wszystkie tace miały kształt serca.

Ulegle przechylał się na lewo i prawo, prowadzony przez Cleo. Wyglądali jak gdyby sunęli po parkiecie w najnowszej edycji Tańca z gwiazdami. Jak na kogoś z pozoru tak nieśmiałego wydawał się zachowywać podejrzanie swobodnie. Czy coś ich kiedyś łączyło? Wspólna tajemnica? Wspólna szczoteczka do zębów? Melody pograżyła się w domysłach, kolejny raz w życiu czując się jak żalosny outsider.

Czyżby Candace miała rację - czy naprawdę można zmienić czyjś nos, ale nie charakter?

- Starczy! - stwierdziła Cleo i w końcu wypuściła Jacksona ze swoich macek, po czym nabrała powietrza. W stołówce ponownie rozległa się burza oklasków. Tym razem królowa nie pozdrawiała wiernego tłumu. Otarła usta, chwyciła Claudine pod ramię i krokiem zadowolonego z siebie kota ruszyła w kierunku dwóch pustych siedzeń w białej strefie.

- Miło było cię poznać, Melosmarku - rzuciła na odchodnym, pozostawiając za sobą rozsypane winogrona.

- Co to miało być? - wycodziła wściekła Melody. Czuła na sobie parzący wzrok wielu par oczu.

Jackson zdjął okulary. Czoło pokrywały mu krople potu.

- Czyżby ktos był zazdrosny? - parsknął ze śmiechu.

- Że co?

Melody musiała oprzeć się o niebieskie krzesło, by nie stracić z wrażenia równowagi.

Pstrykając palcami w rytm kawałka Ke\$hy, który właśnie leciał z głośników, Jackson zaczął tańczyć przed dziewczyną.

- No wiesz - rozpoczął, krzyżując jednocześnie nogi i obracając się w szaleńczym piruecie, jakby występował na scenie na rozdaniu nagród MTV - Złość pięknośćszkodziiii - zawył dziwnie zmienionym głosem, niczym nawiedzony radiowy DJ, prowadzący nocną audycję z muzyką techno.

- Nie jestem zazdrosna - ucięła Melody, w duchu żałując, że Cleo po prostu nie uderzyła jej w twarz.

- Przestań tytyle gadać... Bła bła bła - na poły powiedział, na poły wyśpiewał Jackson, powtarzając tekst za Ke\$hą. Z aprobatą uniósł kciuki w kierunku stolika, przy którym grupka dziewczyn również nuciła przebój.

- Nie mam pojęcia, jak mogłeś tak bezwolnie pozwolić jej...

- Wykorzystać moją niewinność? - spytał, unosząc brew w zdziwieniu. - Fakt, to było naprawdę okropne - skrzywił się. - Tak nieskończenie okropne, że chyba pójde usiąść obok niej.

- Serio?

Jackson złożył dłonie jak pistolet i mierzył zeń do samych atrakcyjnych dziewcząt.

- Serio - odparł, po czym ruszył szlakiem rozsypanych winogron, kopiąc je na boki z wdziękiem Freda Astaire'a.

Melody odstawiła tacę na najbliższy stolik. Po tym, co zobaczyła, całkowicie straciła apetyt. Jej żołądek był tak ściśnięty, że...

- Aaa! Babeczka! - zapiszczała jakaś przerażona dziewczyna na widok zawartości pozostawionej tacy.

Ludzie odsunęli się od Melody, jak gdyby zsikała się do wody w basenie. Uczniowie siedzący w strefie bezglutenowej ewakuowali się kilka stolów dalej, zostawiając ją samą na sam ze swoim poczuciem odrzucenia.

Melody zajęła miejsce przy stole. Sama. Otoczona przez sterty porzuconych naczyń. Kątem oka dostrzegła swoje żałosne odbicie w wygiętym, aluminiowym serwetniku. Jej zniekształcona głowa wyglądała jak orzech ziemny i przywodziła na myśl postać z Krzyku - obrazu Edwarda Muncha. Chirurgiczne dopieszczenie twarzy wcale niewpłynęło pozytywnie na pokręconą osobowość Melody. Modne ciuchy czy wypisywane czerwoną kredką numery telefonów też nie miały na to większego wpływu.

Jej szare oczy wyrażały całkowity brak radości życia, twarz wykrzywił ponury grymas, a kąciki ust opadały w dół, jakby ciągnięte przez niewidzialne haczyki.

- Niezła bomba glutenowa - usłyszała nad sobą dziewczęcy głos.

Melody odwróciła się, by spojrzeć na nieznajomą.

- Go?

Pięgowata dziewczyna o ciemnych, sięgających ramion włosach i wąskich, zielonych oczach westchnęła ciężko. Melody rozpoznała w niej partnerkę chłopaka, który emocjonował się domniemanym pojawieniem się potworów w Salem.

- Powiedziałam: „Niezła bomba glutenowa”. Niebiescy rozpierzchli się, jakby groziło im śmiertelne niebezpieczeństwo. Następnym razem spróbuj rozlać mleko w pomarańczowej strefie. Nazywamy to nalotem nabiałowym.

Melody próbowała się zaśmiać, ale zabrzmiało to bardziej jak jęk bóleści.

- Jak się masz? - spytała dziewczyna. - Wyglądasz na dość zdołowaną jak na PC.

- Co to znaczy? - zdziwiła się Melody, w duchu modląc się o chociaż jedną chwilę spokoju w tym zwariowanym dniu.

- PC - powtórzyła cicho inna dziewczyna, ta, która wcześniej prawie oślepiła Melody lampą błyskową, robiąc jej zdjęcie.

- A co to takiego?

- Potencjalne Ciacho - rozwinęła skrót pieguska. - Wszyscy uważają, że jesteś najatrakcyjniejszą nowo przybyłą w tym roku. Mimo to... - nie dokończyła.

- Co mimo to? Mimo to... zostałam potraktowana zupełnie jak... - podrapała się po głowie, szukając odpowiedniego słowa. - Jakby to powiedzieć...

- Jak Antyciacho - podpowiedziała szara myszka.

- Dokładnie! Doskonale wyrażenie - ucieszyła się pieguska, poruszając palcami, jakby pisała esemesa. - Wprowadź to do bazy - nakazała.

Szara myszka posłusznie pokiwała głową. Wyciągnęła telefon z aktówki pokrytej imitacją krokodylej skóry, rozsunęła klawiaturę i zaczęła coś zawzięcie wstukiwać.

- Co ona robi? - zapytała Melody.

- Kto? Haylee? - odparła pieguska, jak gdyby w ich najbliższym otoczeniu znajdowało się co najmniej kilka dziewczyn robiących notatki z tej dziwacznej rozmowy. - Jest moją asystentką.

Melody pokiwała głową, udając zainteresowanie, po czym rzuciła spojrzenie na drugi koniec stołówki. On siedział przy jej stoliku, wyrywał pojedyncze winogrona ze świeżej kiści i jedno po drugim wkładał je do jej ust. Na sam widok Melody zbierało się na wymioty.

Pieguska wyciągnęła dłoń na przywitanie.

- Jestem Bekka Madden. Znana również jako autorka powieści: „Bek - jeszcze lepsza niż kiedyś: Prawdziwa historia powrotu do popularności, po tym jak dziewczyna, której imienia nie warto wymieniać - CLEO! - próbowała odebrać Bek chłopaka, ale oberwała od niej tak mocno, że w zemście rozpuściła po szkole plotki o jej domniemanej agresji i bezwzględnej konieczności unikania jej we wszelkich możliwych sytuacjach”.

- Łał - Melody pokiwała głową z uznaniem. - To bardzo... szczegółowy tytuł - dodała i zaśmiała się wesoło.

- Chcemy zrobić z tego powieść w odcinkach, wysyłaną esemesami - oznajmiła Haylee, zatraskując rozsuwany telefon i wrzucając go z powrotem do torby. - Wiesz, jak te w Japonii. Tylko ta oczywiście będzie po angielsku.

- Jakżeby inaczej - westchnęła Bekka, jak gdyby chciała zasugerować, że w tych czasach ciężko o porządną asystentkę. Następnie usiadła na stole, podłożyła dłonie pod pośladki i zaczęła bezmyślnie kopać w stojące najbliżej niebieskie krzesło.

Haylee oblizła usta pokryte błyszczkiem o smaku gumy do żucia i poprawiła okulary na nosie.

- Pomagam jej udokumentować całą fabułę - wyjaśniła.

- Fajnie - powiedziała Melody, próbując zabrzmieć możliwie entuzjastycznie.

Bekka i Haylee miały w sobie coś, co przypominało dziewczynie o cienkiej granicy oddzielającej bogactwo wyobraźni od zwykłego szaleństwa, o której opowiadała jej kiedyś Candace. Wyobraźnia nakręcała ich plany, a szaleństwo dostarczało odwagi do ich realizacji. Melody zawsze chciała umieć znaleźć w sobie taką siłę. Jednak w tej chwili nie miała żadnych marzeń, za którymi warto by było podążać. Jackson okazał się wyrachowanym skurczybykiem, który stracił zainteresowanie od razu, gdy na horyzoncie pojawiła się łatwiejsza zdobycz...

- Też chciałabym ją zniszczyć - powiedziała nagle Bekka.

Melody oblała się rumieńcem. Jej spojrzenie musiało być mniej dyskretne, niż się tego spodziewała.

- Mogłybyśmy połączyć siły - zaproponowała Bekka, świdrując Melody spojrzeniem swoich zielonych oczu.

Haylee wyjęła telefon i ponownie zaczęła wystukiwać coś na klawiaturze.

- Nie szukam zemsty - broniła się Melody, nerwowo odrapując lakier na paznokciach. Chciała tylko, by to do jej ust trafiały winogrona z tamtego stolika.

- A przyjaciółki? - spytała Bekka. Ciepły wyraz jej twarzy podziałał na Melody jak balsam.

- Można by spróbować - odparła Melody. Zebrała swoje przeciążone odżywką włosy i odrzuciła je na plecy.

Bekka kiwnęła w stronę Haylee. Przejęta swoją rolę asystentka odsunęła porzucone tace bezglutenowców, robiąc miejsce na stoliku. Następnie sięgnęła do teczki i wyjęła z niej kremową kartkę papieru. Położyła ją na blacie i odsunęła się na bok, pozwalając Bekce kontynuować.

- Przysięgnij, że nigdy nie będziesz próbowała flirtować z Brettem Reddingiem, podrywać Brett Reddinga i że zawsze odpowiednio zareagujesz, jeśli jakkolwiek inna dziewczyna będzie próbowała to robić. Do tego...

- A kto to taki, ten Brett Redding? - spytała Melody, choć miała dziwne przeczucie, że chodziło o fana kręcenia filmów dokumentalnych o potworach, którego podsłuchiwała w kolejce.

- Brett jest chłopakiem Bekki - wyjaśniła Haylee, kiwając się na boki w rozmarzeniu. - Są ze sobą od podstawówki. To para największych gołąbeczków w tej szkole.

- Święta prawda. Jesteśmy przeuroczy - uśmiech Bekki wyrażał pełnię szczęścia.

Melody poczuła ukłucie zazdrości. Brett w ogóle jej nie interesował, ale chciałaby kiedyś dostąpić podobnej radości.

- Od niedawna, kiedy myśli, że nie widzę, ogląda się za PCami - Bekka, niczym latarnia morska, przeskanowała wzrokiem powoli pustoszące pomieszczenie stołówek. - Nie zdaje sobie sprawy, że...

- Ona zawsze wszystko widzi - wtrąciła się Haylee, nie przerywając pisanie.

- Ja zawsze wszystko widzę - potwierdziła Bekka, pukając się palcem w skroń, po czym obróciła się w stronę Melody. - Jeśli chcesz mojej dożywotniej lojalności, po prostu podpisz deklarację, że nigdy nie zawiedziesz mojego zaufania.

Haylee stała tuż obok, klikając srebrnoczerwonym długopisem, którym Melody mogła złożyć swój podpis na dokumencie, gdyby tylko się zdecydowała.

Dziewczyna udała, że czyta umowę. Nie chciała wyjść na głupka, który podpisuje dokument, nie zapoznawszy się wcześniej z jego treścią. Przeskakiwała kolejne zdania, jednocześnie gorączkowo szukając wyjścia z tej nietypowej sytuacji. W gruncie rzeczy nie miała doświadczenia w nawiązywaniu przyjaźni. Może właśnie tak powinno to wszystko wyglądać?

- Brzmi w porządku - oznajmiła w końcu, biorąc długopis od Haylee. Wpisała datę i podpisała umowę swoim nazwiskiem.

- Poproszę o legitymację szkolną - powiedziała Haylee, wyciągając dłoń.

- Po co? - zdziwiła się Melody.

- Muszę zweryfikować twoją tożsamość - odparła, wciskając okulary jeszcze głębiej.

Melody podała dokument.

- Niezła fotka - wymamrotała Haylee, spisując z legitymacji potrzebne informacje.

- Dzięki - odpowiedziała Melody, przyglądając się swojemu zdjęciu na kawałku plastiku. Zdawała się bić wewnętrznym światłem. Wszystko dlatego, że gdy pozowała do tego zdjęcia, myślała o nim. Zastanawiała się, kiedy w końcu na siebie wpadną... w jakich okolicznościach... jak się do niej odezwie... Melody żałowała, że nie może cofnąć się w czasie i powiedzieć rozanielonej dziewczynie ze zdjęcia tego, co wiedziała teraz...

Haylee zwróciła jej legitymację, po czym zabrała się za podłączanie «swojego aparatu do przenośnej drukarki. W kilka sekund później wydrukowane zdjęcie Melody, na którym wcale nie było od niej żadne wewnętrzne światło, zostało przypięte do podpisanej wcześniej umowy i schowane w odpowiedniej przegródce aktówki Haylee.

- Gratulacje, Melody Carver. Witamy w stadzie - powiedziała Bekka, obejmując obie dziewczyny w solidnym uścisku. Jedna z nich mocno pachniała truskawkami.- Są dwie zasady, które musisz poznać - kontynuowała Bekka, jednocześnie wyciskając z tubki odrobinę bezbarwnego błyszczczyka i wklepując go w usta. Dała Haylee chwilę, by ta mogła ponownie chwycić za telefon, po czym mówiła dalej:

- Zasada pierwsza: Przyjaciółki są najważniejsze.

Haylee posłusznie zanotowała.

Melody pokiwała głową ze zrozumieniem. Nie mogła się nie zgodzić.

- Zasada druga - zaczęła Bekka, zrywając winogrono z kiści leżącej na talerzu Melody. - Zawsze walczyć o swojego faceta.

Powiedziawszy te słowa, wzięła zamach niczym prawdziwy wojownik, wycelowała i rzuciła winogronem przez całą salę. Trafiła idealnie w głowę Cleo.

Melody wybuchnęła głośnym śmiechem. Bekka posłała kolejny pocisk w kierunku wroga.

Cleo wstała od stołu i wbiła w przeciwniczkę kamienne spojrzenie. Zamachnęła się i...

- Padnij! - zawołała Bekka, pociągając za sobą Haylee i Melody.

Dziewczyny schowały się pod stołem, podczas gdy grad mielonki i deszcz majonezu spadał na sąsiednie stoliki. Śmiały się do rozpuku.

Po raz drugi tego popołudnia Melody znalazła się w centrum stołówkowego konfliktu. Tym razem jednak bawiła się wyśmienicie.

ROZDZIAŁ 8

ISKRZY! ISKRZY!

Frankie szybkim krokiem pokonała pusty korytarz. Odziane w wełniane rajstopy nogi ocierały się jedna o drugą. Nie biegła, żeby niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi, bardzo jednak chciała znaleźć się w klasie jako pierwsza. Koniecznie musiała usiąść jak najdalej z tyłu, zamierzała pozostawać możliwie najlepiej ukryta przed spojrzeniami innych uczniów, na tyle jednak widoczna, by nauczyciel wpisał jej obecność. W jej przekonaniu plotki o potworach w połączeniu z przypadkowym porażeniem tamtej dziewczyny w kolejce w stołówce mogły oznaczać tylko kłopoty.

Zadzwonił dzwonek. Szkolne korytarze wypełniły się najedzonymi normalsami, szukającymi odpowiednich klas. Frankie kilkoma susami oddaliła się od grupy i wpadła do sali 203, gdzie miała odbyć się jej pierwsza w życiu lekcja geografii. Jak do tej pory życie szkolne nie spełniało jej oczekiwań, ale przynajmniej brała w nim czynny udział.

- O nie! - wyrwało jej się, gdy stanęła w drzwiach klasy. Ławki zostały ustawione na planie koła! Nie było żadnych ciemnych kącików w tylnych rzędach, które mogłyby posłużyć za kryjówkę. Przed światem chroniła ją teraz jedynie cienka warstwa makijażu.

- Nie wierzę, naprawdę nie wierzę... - mamrotała pod nosem, jednocześnie krążąc po pomieszczeniu i próbując zdecydować, która część koła mogłaby dawać choćby niewielkie szanse na ukrycie. Drobne iskierki wystrzeliły z koniuszków palców i z trzaskiem przeleciały po metalowej spirali spinającej jej różowy, oprawiony w materiał zeszyt. Chcąc uniknąć jasnych promieni słońca, zdecydowała się zająć miejsce tyłem do okna.

- Co to za koło? - odezwał się przeciętnie wyglądający chłopak, który właśnie wszedł do klasy. Miał na sobie białą koszulę, dżinsy i buty trekkingowe. Jego krok był jednak zdecydowanie bardziej taneczny niż turystyczny. Nedoróbki stylu nadrabiał gadką.

Stanął w drzwiach i przekrzywił głowę, jakby podziwiał dzieło sztuki, wystawione w paryskim Luwrze. Z tym że jego Mona Lizą była Frankie.

- Może przestawilibyśmy te ławki tak, żeby stały w kształcie serca? - zaproponował. Z regału z pomocami szkolnymi zdjął globus i zakręcił nim jak piłką do koszykówki.

Frankie spuściła wzrok, gorączkowo szukając w głowie równie wystrzałowego tekstu. Może coś w stylu: „Jeśli chcesz, mogę wypalić palcem twoje inicjały na ławce”. Jednak w ten

sposób mogłaby odezwać się prawdziwa Frankie, a nie nieśmiała normalna, siedząca pod oknem, którą zmuszona była grać.

Chłopak ruszył w jej kierunku z ręką w kieszeni. W drugiej dłoni trzymał niewielki notatnik (fajni faceci nie zwykli notować na lekcjach zbyt wiele). Niespiesznym krokiem minął zasłoniętą mapami ścianę oraz tablicę, dając dziewczynie czas na podziwianie swojej boskiej osoby.

- Wolne? - zapytał, jednocześnie poprawiając włosy.

Frankie pokiwała głową. Naprawdę nie mógł sobie znaleźć innego miejsca?

- Jestem D.J. - przedstawił się, siadając niedbale na drewnianym krześle.

- Frankie.

- Miło mi - odparł, wyciągając dłoń na przywitanie. Obawiając się powtórki sytuacji ze stołówki, Frankie kiwnęła tylko głową i uśmiechnęła się przyjaźnie. Niczym niezmiyszany D.J. klepnął ją w ramię, udając, że właśnie o to mu chodziło.

Bzzzt.

- No proszę... - powiedział z uznaniem, pocierając nadgarstek. Był rozbawiony tym, co się stało. - Wystrzałow z ciebie laska. Prawdziwa petarda!

Cholera! - pomyślała Frankie i utkwiała nos w podręczniku do geografii. Z całej siły starała się skupić na tekście, żeby powstrzymać nadchodzący atak paniki. Tymczasem klasa szybko wypełniała się uczniami. Dwie pochłonięte rozmową dziewczyny zajęły miejsce obok Frankie.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć - zaczęła jedna z nich. Miała na sobie różowoczarną mini w paski i zaciskała usta jak ktoś, kto wstydzi się, bo nosi aparat na zęby. - Żeby na stołówce nie można było dostać niczego dla wegan?

Wyjęła dwie tabletki z opakowania podpisanego ZELAZO - SUPLEMENT DIETY i połknęła bez popijania. Jej oczy ginęły w smolście czarnym, gotyckim makijażu.

- Może spróbowałabyś przynajmniej purée z ziemniaków? - zaproponowała koleżanka, blondynka o jasnej cerze, mówiąca z silnie australijskim akcentem. Była ubrana w brązowe, ściągane nad kostką pumpy, obcisłą pomarańczowa koszulkę i długie do łokci rękawiczki w paski. Jej ubiór wyglądał na wybrany zupełnie przypadkowo, jakby zakładała go w kompletnych ciemnościach.

- Zawsze ładują do niego pełno czosnku, a wiesz, jak go nie cierpię - odparła weganka, zakładając nogę na nogę i odsłaniając przy tym parę wysokich, wiązanych, różowych kozaków, które z pewnością zachwyciłyby Lady Gagę.

- Bardziej niż swojego odbicia w lustrze? - zażartowała Australijka, poprawiając splataną sznurkową bransoletkę z koralików i nakładając grubą warstwę kokosowego balsamu na spierzchniętą skórę.

- Lepiej byś mi pomogła - poprosiła weganka, odgarniając z twarzy kruczoczarne włosy, rozjaśnione pojedynczymi różowymi pasemkami.

Australijka zakręciła tubę z balsamem, nachyliła się nad koleżanką i zaczęła kciukiem wycierać jej policzek.

- Nie chce zejść - wyszeptała. - Nałożyłaś szminkę zamiast różu. Wyglądasz, jakbyś oberwała, grając w paintballa.

Obydwie wybuchnęły śmiechem.

Frankie z trudem wróciła do podręcznika. Nie chciała zostać przyłapana na wścibskim gapieniu się, chociaż sprawiało jej to wielką przyjemność. Po przyjacielskim przekomarzaniu się tych dziewczyn widać było, że dobrze się rozumieją. Frankie marzyła o tym, by kiedyś poczuć się tak swobodnie w czyimś towarzystwie.

- Szybciej - wymamrotała weganka. - Nie chcę, żeby zobaczył mnie w takim stanie!

W tej chwili w klasie znajdował się tylko jeden chłopak. Siedział obok Frankie i próbował ją zaczepić:

- Hej, isquierko! - szeptał co chwilę.

Frankie udawała, że niczego nie słyszy i odwróciła wzrok. Zupełnie przypadkiem spojrzała prosto w oczy kolejnemu wchodzącemu do klasy chłopakowi. Wypatrzyła go już wcześniej, w trakcie lunchu w stołówce. Z trudem powstrzymywała się od gapienia się na niego - miał przecież na sobie koszulkę z wizerunkiem jej dziadka, Victora. Albo sam był RADowcem, albo miłośnikiem RADu. Tak czy siak, czuła, że chętnie poznałaby go bliżej.

- Przepraszam cię bardzo, Sheila - odezwała się Australijka, wyrywając Frankie z zamyślenia.

- Mam na imię Frankie - przedstawiła się grzecznie.

Weganka nachyliła się w jej stronę i szepnęła:

- Nie przejmuj się. Kiedy Blue nie zna imienia jakiejś dziewczyny, zwraca się do niej per Sheila. To takie australijskie zboczenie.

- Prawda - przyznała Blue, uśmiechając się słodko. - Tak czy siak, Frankie, zdaje się, że lubisz się malować. Zastanawiałam się, czy może mogłabyś poratować czymś moją koleżankę, Lale?

- Ee, jasne - odparła Frankie, sięgając do swojej torebki z napisem ZIELONY TO CZERŃ TEGO SEZONU i wyciągając jedną ze złotych kasetek kosmetyków Trwały Urok. - Wybierajcie.

- Masz osobne pudełko wyłącznie z konturówkami do oczu? - zdumiała się Lala, zaciskając usta jeszcze mocniej.

Frankie przytaknęła, nie do końca pewna, czy powinna się wstydzić, czy przyjąć to jako komplement.

W tym momencie do klasy wpadła Melody, dziewczyna, którą Frankie lekko poraziła prądem w stołówce. Usiadła dokładnie naprzeciwko Frankie i uśmiechnęła się do niej ciepło. A może tak właśnie normalisi okazywali wrogość?

Frankie naciągnęła golf, bojąc się, że śruby zaraz wystrzelą kolejną porcją iskier.

W sali pojawiła się w końcu nauczycielka, kobieta o krótkich, kręconych, jasnych włosach, ubrana w zapinany sweter. +

- Zaczynamy! - powiedziała, klaszcząc w dłonie. Następnie podeszła do tablicy i narysowała na niej sporych rozmiarów okrąg, po czym postukała kilka razy kredą w jego środek.

- Tak wygląda nasz świat. Jest okrągły, tak jak ustawienie ławek w klasie. Chciałam wam na tym przykładzie pokazać, jak...Przyciskany do tablicy kawałek kredy pękł z trzaskiem, a jego odłamki wystrzeliły w kierunku uczniów.

- Aaaach! - krzyknął potencjalny RADowiec, dramatycznym gestem złapał się za szyję i razem z krzesłem wywrócił się na podłogę. - Dostałem! Umieram!

Klasa wybuchnęła śmiechem. Zatrokana Frankie przyglądała się chłopakowi.

- Wystarczy tych wygłupów, Brett - westchnęła nauczycielka, najwyraźniej niemająca nawal śladowego poczucia humoru, i podniosła nieszczęsny kawałek kredy.

Brett. Brett i Frankie. Brankie. Frett. Frankie B., to takie tajemnicze... Wszelkie możliwe konfiguracje ich imion brzmiały w jej głowie wspaniale.

Chłopak wdrapał się z powrotem na krzesło i podchwycił spojrzenie Frankie. Czowała się coraz bardziej naładowana. Może cały ten popis miał właśnie zwrócić jej uwagę - myślała rozmarzona.

W ciągu następnych czterdziestu pięciu minut lekcji sytuacja stała się zarazem jasna i skomplikowana. Lala wyraźnie podkochiwała się w D.J.u. Z kolei jemu podobała się „wystrzałowa” Frankie. Jednak według niej to Lala powinna zejść się z D.J.em., bo, pomimo że był całkiem atrakcyjny, na Frankie osobiście o wiele silniej działał tajemniczy urok Brett. Z drugiej strony tajemniczy RADar dziewczyny nie pozwalał jej oderwać wzroku od

pierwszego chłopaka, który z kolei ciągle próbował ją zaczepić. Sytuacja wymagała od niej nadludzkiego opanowania. Powstrzymywanie się od wyładowań elektrycznych było dla Frankie tak trudne, jak próba zatrzymania myśli czy chwilowe wstrzymanie oddechu - wykonalne, ale na dłuższą metę piekielnie trudne.

Gdy tylko rozległ się dzwonek, pędem ruszyła w kierunku damskiej toalety. Lala i Blue zawołały za nią, ale czuła, że jeszcze chwila i wystrzeli jak fajerwerki.

Wpadła do łazienki i zamknęła się w pierwszej kabynie. Dziękowała Bogu, że toaleta była pusta. Naładowana widokiem Bretta, zaczepkami D.J.a i spojrzeniami Melody, zgromadziła zaskakująco pokaźny ładunek elektryczny. Z palców wystrzelił strumień iskier, z hukiem przypominającym grzmieć w oddali burzę. By zagłuszyć trzask elektryczności, Frankie kilkakrotnie spuściła wodę.

Uwolniona od męczącego napięcia, nacisnęła klamkę i z westchnieniem ulgi wyszła z kabiny.

- Czyżby w brzuchu Sheili zaszło małe trzęsienie ziemi? - odezwała się Blue z pełnym współczucia uśmiechem. - Dobrze wiem, jak to jest, kochana - dodała, przesuwając ręką po swoim gładkim, jędnym brzuchu.

Lala zachichotała, zakrywając usta dłonią.

- Bingo - odparła Frankie, myjąc ręce. Wołała już, żeby dziewczyny myślały, że dopadło ją wyjątkowo gwałtowne rozwolnienie niż napad czegoś tak niezwykłego, że nie umiałyby nawet tego opisać.

- Zapomniałaś o czymś.

Lala zamachała kasetką Trwałego Uroku.

- Ojej, dziękuję - odparła Frankie, przykładając rękę do miejsca, w którym normalnie powinno bić ludzkie serce. - Nie wiem, co bym bez tego zrobiła.

- Serio? - zdziwiła się Blue, bawiąc się kosmykiem swoich jasnych włosów. - Przecież jesteś taka ładna. Nie potrzebujesz połowy tego makijażu.

Lala przytaknęła przyjaciółce.

- Strasznie mi miło - podziękowała Frankie, a w środku aż podskoczyła z radości. - Wy też świetnie wyglądacie, dziewczyny - odparła, szczerze zachwycona ich wyglądem. - Potrzebuję tych kosmetyków, bo mam naprawdę okropną cerę.

- Skąd ja to znam - Blue odkręciła wodę i zwilżyła sobie kark. - Mam okropnie przesuszoną skórę. - Żałuj, że nie widziałas jej sypialni - parsknęła Lala. - Zgromadziła chyba wszystkie balsamy nawilżające, jakie zostały wyprodukowane na świecie. Czuję się u niej jak w Sephorze.

- Za to twój pokój przypomina wnętrze Kangura z Kaszmiru - stwierdziła Blue, wciąż nachylona nad umywalką.

- A co to takiego? - zapytała Frankie.

- Nie mam pojęcia - zachichotała Lala. - Może nas oświecisz, moja droga?

- Sama nie wiem - Blue parsknęła śmiechem. - Próbowałam wymyślić nazwę dla sklepu sprzedającego kaszmirowe swetry.

- No tak. Blue sugeruje, że jestem wiecznym zmarzniętym - powiedziała Lala, krzyżując ramiona. - W sumie ma rację i faktycznie, najcieplej mi w ciuchach z kaszmiru.

- Ty też tak marzniesz? - spytała Frankie, zwracając się do Blue. - Dlatego nie zdejmujesz rękawiczek?

- Nie, nie - zaprzeczyła Blue. - Mam po prostu strasznie przesuszone dłonie - odpowiedziała i spojrzała na przyjaciółkę. - To jak, idziemy do spa w ten weekend?

- Innymi słowy, pytasz, czy załatwię ci kolejną darmową kartę wstępu? - zapytała figlarnie Lala.

- Hej, przecież wiesz, że nie stać mnie na członkostwo w takim superduper klubie. A jeśli wkrótce porządnie się nie nawilżę, zacznę przypominać kaktusa, zobaczysz!

- Na to też jest rada. Zawsze możesz wyrwać kolce - odparowała Lala.

- Och, niegodnam mądrości płynących z twych ust!

Przysłuchując się ich przekomarzaniu, Frankie nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Hej, może Frankie chciałaby pójść z nami? - zaproponowała Lala.

- Genialna myśl! - wykrzyknęła Blue, drapiąc się w ramię. - Po dniu w krainie piękności na pewno poczujesz się pewna siebie. Może nawet zdobędziesz się na odwagę i zagadasz do Brett... - powiedziała dziewczyna i popatrzyła wymownie na Frankie.

- O czym ty mówisz? - rozemocjonowana Frankie zacisnęła pięści ze wszystkich sił, powstrzymując wybuch iskier.

- Widziałam, jak na niego patrzyłaś - droczyła się Blue, jednocześnie otwierając drzwi toalety.

- Ojej, wydało się - Frankie tylko udawała zażenowaną. Tak naprawdę nie posiadała się z radości, że zaprosiły ją do swojej gry w przyjazne przepychanki.

- To jak, jesteś wolna w sobotę? - spytała Lala, gdy wyszły na korytarz i włączyły się w strumień uczniów.

- Jasne! - przytaknęła z wdzięcznością Frankie. Nie miała zielonego pojęcia, na czym polega korzystanie ze spa, ale skoro normalski robiły to, by zwrócić na siebie uwagę chłopaków takich jak Brett - była gotowa doświadczyć tego na własnej skórze.

ROZDZIAŁ 9

OPERACJA „USTAUSTA”

W piątek Bekka przywitała Melody uroczystym przybiciem piątki.

- Gratuluję przetrwania pierwszego tygodnia w Merston High!

Upstrzone piegami policzki dziewczyny miały ten sam różowy odcień co jej luźny sweterek. Ubrana w ciemne rurki i wysokie, żółte kalosze, Bekka sprawiała, że deszczowe popołudnie wyglądało zdecydowanie mniej ponuro.

- Dzięki - odparła Melody, nakładając swój zgniłozielony, wojskowy plecak. - Minął mi niespodziewanie szybko.

- Wyglądasz, jakbyś była tym zaskoczona - zauważyła Bekka, idąc obok zatłoczonym korytarzem.

Haylee szła z tyłu, próbując nadążyć za dziewczynami i jak zwykle notując szczegóły ich konwersacji. Jej pomarańczowe, wykończone ciepłym misiem, gumowe buty firmy Crocs skrzypiały przy każdym kroku.

- Bo jestem! - odparła Melody. Zapięła bluzę, bo zbliżały się do wyjścia. - Chyba pamiętasz dramatyczne rozpoczęcie tygodnia w stołówce? Wybacz, ale po takim wstępie nie miałam zbyt wielkich nadziei. Mimo to naprawdę nieźle się bawiłam.

Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie walki na jedzenie z Cleo, nocnych maratonów mailowych z Bekką i stania z Candace na, niestety bezowocnych, czatach przed domem Jacksona. Nie udało im się zaobserwować niczego, co mogłoby wzbudzić jakiegokolwiek podejrzenia. Tak naprawdę w ogóle niewiele widziały.

Haylee wyrwała ją z zamyślenia:

- Jeśli chodzi o stołówkowe dramaty, to, ściśle rzecz biorąc, największą ofiarą całego zajścia jest Jackson, a nie ty.

Melody zdążyła już oswoić się nieco ze specyficznym sposobem bycia Haylee. Czasem potrafiła nawet docenić jej namiętność do porządku i dokładności. Jednak nie w tej kwestii.

- O czym ty w ogóle mówisz? - fuknęła możliwie cicho, by nie dać szkole nowych powodów do plotek. Przez cały tydzień od poniedziałkowego melodramatu, jak wspólnie z Bekką ochrzciły zajście (nazwa ta szybko zresztą przekształciła się w poniedziałkowy melodydramat), dziewczyna starała się udawać, że niewiele ją to wszystko obeszło. Jak dotąd

radziła sobie świetnie. Powstrzymała palącą chęć zdzielenia Jacksona atlasem do geografii, kiedy na jej oczach beczelnie podrywał tę całą Frankie. Pohamowała również pragnienie przebicia jego serca miniaturą wieży Eiffla na lekcji francuskiego, kiedy to z kolei ponołTcie całował się z Cleo. Obydwie czynności z pewnością miałyby bardzo oczyszczające działanie. Zamiast zemsty wybrała jednak strategię pozornego opanowania. Czuła się jak jajko: twarda z zewnątrz i zupełnie rozdygotana w środku. Dlatego właśnie stwierdzenie Haylee, że to on jest ofiarą zaistniałej sytuacji, tak bardzo rozjuszyło Melody.

- Melly ma rację - stwierdziła Bekka, zwracając się do Haylee. - To ona sama jest poszkodowaną.

Melody z wdzięcznością popatrzyła na dziewczynę. Nie była pewna, co sprawia jej większą przyjemność: okazane wsparcie czy pieszczotliwe przewisko.

- Melody nie jest ofiarą - upierała się Haylee, poprawiając okulary. - Bo jest nią Jackson - dodała, wymownie wskazując w kierunku drzwi. Przy wyjściu zebrał się mały tłumek uczniów, czekających aż deszcz chociaż odrobinę osłabnie. Grupa wyglądała niezwykle ponuro, jak zgromadzenie przedsiębiorców pogrzebowych. Byli najwyraźniej przybici odwleczeniem momentu opuszczenia szkolnych murów. Tylko dwie postacie w całej grupce zdawały się zupełnie tym nie przejmować. Były nimi Cleo i opalony, dobrze zbudowany chłopak, w ciemnych okularach i narciarskiej czapce w białozielone paski. Deszcz nie robił na nich wrażenia, bo byli całkowicie zajęci własnymi ustami.

- Same oceńcie - podsumowała Haylee.

- Nie wierzę! - oszołomiona Melody zaskakująco przytomnym gestem zakryła usta, które same otworzyły się ze zdziwienia.

- Widzicie? - spytała Haylee pełnym zadowolenia tonem. - Jackson został pocałowany. Teraz poszedł w odstawkę. A więc to on jest ofiarą.

- Faktycznie - przyznała Bekka zawiedzionym głosem.

- Czy mam to zanotować? - zapytała Haylee, kiwając się niecierpliwie i bawiąc się frędzlami swojego mechatego, różowego szalika.

- Nie trzeba - odparła Bekka.

Haylee przestała się kiwać.

- Kto to w ogóle jest? - spytała Melody, zatrzymując się przy dystrybutorze wody pitnej. Udała, że ma zamiar się napić. Jednak w rzeczywistości chciała spokojnie przyjrzeć się przybyszowi.

- Ma na imię Deuce - wyjaśniła Bekka, idąc w ślady Melody. - Każdego lata wyjeżdża do rodziny w Grecji. Dopiero co wrócił. Oczywiście nie dorasta Brettowi do pięt, ale i tak nieźle z niego ciacho.

- Właściwie niemal należy do Cleo - wtrąciła Haylee. - Kiedy tylko przyjeżdża, stają się zupełnie nierozłączni.

- Wygląda na to, że Jackson będzie musiał znaleźć sobie inną partnerkę na imprezę - zauważyła Bekka, zrywając, a następnie zwijając w kulkę i rzucając na posadzkę kawałek taśmy z plakatu Balu Wrześniowego, który wisiał tuż za ich głowami.

- No tak, cóż... ja też muszę kogoś poszukać - skrzywiła się Melody, próbując przebrnąć przez tłum blokujący drzwi. Nie obawiała się deszczu. Przynajmniej ukryje jej łzy przed resztą świata.

- Ej, mam pomysł - rozjaśniła się Bekka. - Powinnaś pójść z nim w ślimaka! Wiesz, żeby odegrać się na Cleo.

- Ho ho! - parsknęła głośno Melody, słysząc tak niedorzeczny pomysł. Wszystkie twarze zwróciły się w jej stronę. Łącznie z Cleo i Deucem. A więc koniec z niezwracaniem na siebie uwagi.

- Dajesz - zachęcała szeptem Bekka.

- Nie ma mowy - wymamrotała Melody. - Czemu sama tego nie zrobisz? Chcesz się na niej zemścić tak samo jak ja.

- Jasne, ale ja jestem w poważnym związku, a ty nie.

- Jakbym sama o tym nie pamiętała - odparła Melody z ironicznym uśmiechem.

- Cześć Melosmarku - powiedziała Cleo, podchodząc do dziewcząt. kąciki jej ust unosiły się z zadowolenia. - Wszędzie was szukałam.

Trzeba przyznać, że Cleo miała styl. W brązowych, błyszczących podkolanówkach, przylegającej minisukience z denimu i złotych butach na koturnach wyglądała równie olśniewająco jak Rihanna. Nieważne gdzie się pojawiła, zawsze zwracała na siebie uwagę całego otoczenia. Nawet Bekka wpatrywała się w swoją nemezis z mieszaniną pogardy, zazdrości i zachwyty. - Dlaczego? - spytała Melody, starając się opanować, choć czuła, że jej skorupka może pęknąć lada moment.

- Chciałam cię o czymś poinformować - Cleo przerwała na moment, by spryskać szyję piżmowymi perfumami, po czym nachyliła się nad dziewczyną i wysyczała jej wprost do ucha - możesz sobie z powrotem wziąć tego swojego dziwaka. Już mi się znudził.

Na dźwięk tych słów Melody poczuła simy skurcz w żołądku.

- O proszę... - Cleo wyprostowała się i spojrzała w dal.

Melody zerknęła jej przez ramię. Zobaczyła Jacksona. Szedł w ich kierunku, trzymając w dłoni naręczę gipsowych kwiatów, które pewnie zrobił na zajęciach plastycznych. Jego oczy były ukryte za okularami, lecz Melody po sposobie, w jaki stawiał kroki, domyśliła się, że był poddenerwowany.

Cleo oblizła błyszczące wargi.

- Znudził mi się - ale najwyraźniej nie może beze mnie żyć - stwierdziła, wydymając usta. - Biedaczek. Tylko spójrz na te żalosne badyle - westchnęła. - Żadna dziewczyna nie polecą na takiego dziwoląga. No, oczywiście oprócz ciebie, bidulko - zaśmiała się złośliwie i protekcyjnym gestem pogłaskała Melody po głowie.

Melody spojrzała Cleo prosto w oczy. Jej serce uderzało jak oszalałe, wybijając wojenne rytmy. Cleo wytrzymała spojrzenie. Kapitulacja nie wchodziła w grę. O co tak naprawdę walczyły? O terytorium? Pozycję w rankingu Potencjalnych Ciach? O winogrona? Melody tłumaczyła sobie, że Cleo to typowa awanturniczka, nieustannie szukająca okazji do umocnienia swojej pozycji, najlepiej kosztem słabszych. Próbowwała też przekonać samą siebie, że powinna być mądrzejsza i ustąpić. Po prostu sobie odpuścić. Bo przemoc to nie rozwiązanie i lepiej nie robić sobie wrogów. Unikać kłopotów. Nie wychylać się. Zachować spokój...

W tym samym momencie Cleo puściła do Jacksona oko. Nie dlatego, że jej się podobał, a dlatego, że wiedziała, jak bardzo zaboli to Melody.

Trzask!

Skorupka trzymająca dotychczas Melody jako tako w całości pękła bez najmniejszego ostrzeżenia. Wrażliwe wnętrze zostało pozbawione osłony, jednak zamiast rozpaść się na kawałki, Melody zebrała się w sobie, odepchnęła Cleo, podeszła do Deuce'a, przyciągnęła go do siebie i...

Gdyby nie poruszenie dookoła, Melody nie byłaby pewna czy wszystko nie działo się tylko w jej wyobraźni. Deuce odwzajemnił pocałunek. Czuła zapach jego skórzanej kurtki. Na krótką chwilę otworzyła zmrużone oczy i w okularach chłopaka ujrzała fragment swojej twarzy, a także odbicie połowy szkoły, przyglądającej się im w osłupieniu.

A więc to jednak działo się naprawdę!

Melody odsunęła się od Deuce'a. Nie myślała o Haylee i Bekce, które niewątpliwie rozpyływały się w zachwycie. Nie dbała też o to, jak bardzo urosła w oczach koleżanek i kolegów z klasy, ani jak głęboko upokorzona musiała czuć się teraz Cleo. Nie zastanawiały jej nawet własne uczucia. W tej chwili obchodziło ją tylko to, co poczuł Jackson.

- Łuuuuhuffuuu! - wykrzyknęły z podziwem Bekka i Haylee. Melody przeszło przez myśl, że oto po raz pierwszy, odkąd przestała śpiewać, ktoś tak euforycznie reagował na jej osobę.

- Wybacz - wymamrotała przepraszająco, patrząc na Deuce'a.

- A stało się coś złego? - odparł, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

- Nieźle, nieźle... - wycodziła Cleo, komentując ich improwizowane przedstawienie, i kilka razy zaklaskała. - Następnym razem popracuj nad twarzą. Wyglądałaś, jakby męczyło cię straszne zatwardzenie.

Cleo wyraźnie starała się udawać niewzruszoną, ale zwilgotniałe oczy zdradzały jej prawdziwe uczucia.

Melody milczała. Zauważyła ze zdziwieniem, że w zaciśniętych z wściekłości dłoniach Cleo nie trzyma wcale gipsowych kwiatów od Jacksona. Po chłopaku nie było śladu.

- Dobrze się czujesz? - Cleo spytała Deuce'a, patrząc na niego z troską, jak gdyby właśnie został zaatakowany przez niedźwiedzia grizzly. Jej mina wyrażała głębokie zmartwienie.

- Sam nie wiem... - wydukał Deuce, udając oszołomionego i pocierając opalone czoło.

- Co właściwie się wydarzyło? - spytał, opierając się o ścianę, jak gdyby zaraz miał stracić przytomność.

Całował świetnie, ale aktorem był beznadziejnym.

- Zróbcie miejsce! - zakomenderowała Cleo, rozbijając zbiegowisko na mniejsze grupki.

Melody popchnęła drzwi i wyszła na zewnątrz. Desperacko potrzebowała świeżego powietrza. Jednakże zamiast orzeźwienia poczuła na twarzy coś niby okład z mokrego ręcznika. Cały parking zasnuty był grubą warstwą mgły. Światło z samochodowych reflektorów odbijało się w mokrym asfalcie, tworząc fascynującą mozaikę ciepłych barw. Niemordowane wycieraczki walczyły ze strugami nieustępliwej ulewy. Melody nie bała się, że zmarznie w przemoczonych ciuchach. Miała wrażenie, że i tak niczego by nie poczuła.

- Zaczekaj chwilę, gwiazdo! - zawołała Bekka, zbiegając z pluskiem po schodach wraz z nieodłączną Haylee.

Melody stanęła jak wryta. Wcale nie dlatego, że zawołała ją przyjaciółka. Zatrzymało ją coś, co ujrzała w kałuży pod swoimi nogami. Trudno się było dziwić, że wywarło to na niej tak wielkie wrażenie.

- Oj... - jęknęła Bekka.

Haylee zaparło dech w piersiach.

Melody stała w milczeniu.

Wszystko, co najważniejsze, było wypisane wąskimi literami na jednym z płatków rozbitego, gipsowego bukietu. DLA MELODY.

ROZDZIAŁ 10

ŚRUBY I CAŁA RESZTA

W sobotę również padał deszcz. Frankie rozpostarła swój gigantyczny, zielony parasol i szybkim krokiem ruszyła przed siebie. Specjalnie nałożyła dziś na swoją skórę podwójną warstwę kosmetyków Trwały Urok - i to tych z linii wodoodpornej - jednak światło wpadające przez parasol i tak barwiło dłonie na niepożądany kolor.

Ha!

Co za złośliwość... Marzyła o tym, by móc podzielić się swoją obserwacją z dziewczynami, czekającymi na nią w czarnym samochodzie terenowym. Niestety, musiała raczej dołożyć wszelkich starań, by wciąż wierzyły w jej normalność. Stojący w drzwiach rodzice odprowadzali ją wzrokiem w wymownym milczeniu.

Odwróciła się i pomachała im na pożegnanie.

- Pa pa!

Viktor i Viveka kiwnęli dłońmi w jej stronę. Choć na twarzach rodziców widniały uśmiechy, w ich oczach wyraźnie czał się niepokój.- Baw się dobrze w bibliotece - zawołała za córką Viveka. Jej głos zlał się z hukiem burzowego grzmotu. Kobieta poprawiła czarny szal, otulający jej szyję.

- Dzięki - odparła Frankie. Z dłoni dziewczyny wystrzeliła ledwie zauważalna wiązka iskier i pobięła w górę po rączce parasola. Nigdy wcześniej nie okłamała rodziców. Czuli się z tym gorzej, niż wcześniej przewidywała. Mrocznie. Ciężko. Samotnie. Nie mogła jednak postąpić inaczej. Gdyby rodzice wiedzieli, że wybiera się z Blue i Lala, naprawdę czadowymi dziewczynami ze szkoły, do pełnego normalsów salonu spa, z pewnością szaleliby ze strachu na myśl o możliwym ujawnianiu prawdziwego koloru skóry ich córki. Zresztą Lala twierdziła, że dzieci nie mówią rodzicom prawdy od zarania dziejów, czemu więc Frankie nie miałyby przynajmniej spróbować skłamać? Przecież w gruncie rzeczy Vik i Viv chcieli, żeby wpasowała się w świat normalsów. A skoro normalskie nastolatki zawsze postępowały w ten sposób...

Blue wyrzała przez okno pasażera. Upięła wysoko swoje jasne loki, które teraz spływały na ramiona niczym płynny karmel, jednocześnie odsłaniając pozbawione makijażu, delikatne rysy twarzy.

- Dzień dobry! - zamachała w stronę rodziców Frankie. Miała na dłoniach skórzane, fioletowe rękawiczki.

- Cześć, Blue! - państwo Stein zawołali z wyraźną ulgą Frankie uśmiechnęła się szeroko. Rodzice znali chyba wszystkich mieszkańców tej okolicy. Już niedługo ona również będzie mogła pochwalić się wieloma znajomościami.

- Jak się czuje wujostwo? Z pewnością cieszy ich ten deszcz? - spytał Viktor, okazując pewną zażyłość z opiekunami Blue.

- O tak, wręcz ubóstwiają taką pogodę - odparła dziewczyna, po czym z otwartymi ustami zadarła głowę w stronę zasnutej chmurami nieba. Frankie zazdrościła jej wolności. Pragnęła na własnej skórze poczuć delikatne pocałunki deszczowych kropeł, jednak jak na razie...

Wsiadła do czekającego samochodu, by dłużej nie narażać makijażu na rozmazanie. Chwilę mocowała się z parasolką, starając się nie pochłapać wyłożonej skórą i pachnącego luksusem wnętrza auta.

- Łał - przyznała z podziwem, jednocześnie odstawiając swoją nową torbę na podłogę.
- To naprawdę niezłe cacko.

- Dzięki - uśmiechnęła się Lala, jak zwykle nie odsłaniając zębów.

- Twoi rodzice na pewno kupili go od jakiejś gwiazdy z Hollywood - zażartowała Blue.

- No, przyznaj się, kto jeździł nim wcześniej? - spytała siedząca z tyłu ciemnowłosa dziewczyna, której Frankie nie знаła.

- Na pewno Orlando Bloom! - stwierdziła inna nieznajoma, zajmująca miejsce przy oknie po drugiej stronie.

Wszystkie trzy zaśmiały się wesoło.

- Jestem Frankie - przedstawiła im się dziewczyna, powstrzymując się od podania ręki na przywitanie.

- Cleo - odparła ta siedząca tuż za nią. Miała na sobie fioletowoniebieską bluzkę, luźno opadającą na ramię, która podkreślała intensywny błękit jej oczu. Wśród ciemnych włosów połyskiwały najbardziej czadowe, złote pasemka, jakie Frankie widziała w swoim krótkim życiu. Dziewczyna zastanawiała się, z jakiego powodu tak piękną, egzotyczną twarz wykrzywia grymas niezadowolenia. Co może trapić tak wspaniale wyglądającą osobę? Może uciskały ją legginsy w tygrysie prążki, które miała na sobie?

- Nie wiedziałam, że państwo Stein mają córkę - powiedziała Cleo. Dziewczyna siedząca obok zachichotała.

- Masz na myśli mnie? - Frankie nerwowo zaczęła wiercić się na siedzeniu.

Cleo uniosła brew i patrząc jej w oczy, powoli pokiwała głową, wyraźnie dając do zrozumienia, że zwraca się właśnie do niej.

- No tak. Nie wychodziłam zbyt często. Całe życie rodzice uczyli mnie w domu i...

- Hej, Frankie - przerwała jej Blue - poznałeś już Claudine?

Claudine odwróciła się od okna.

- Cześć - powiedziała, rozrywając torebkę z kabanosami.

Jej piwne oczy, masa rudawych loków i pomalowane na brązowo paznokcie sprawiały, że wyglądała równie powalająco, jak Cleo. Uroda Claudine sprawiała wrażenie zupełnie nieujarzmionej, choć dziewczyna ubrana była całkiem zwyczajnie. Miała na sobie raczej typowy zestaw: czarny, dopasowany sweterek, liliową bluzę z kapturem, ciemne rurki i pęk białych, plastikowych bransoletek. Całość przełamywał jeden dodatek, rodem prosto ze starych, hollywoodzkich filmów: spod bluzy wystawał skrawek grubej, futrzanej etoli. Frankie poczuła, że się poci na sam jej widok. W samochodzie Lali było gorąco jak w piecu.

- Miło mi was poznać - powiedziała, uśmiechając się radośnie i jednocześnie próbując zasłonić ramionami jak największy fragment swojej obciachowej, brzoskwiniowej sukienki z dzianiny. Ohydny kolor miał za zadanie maskować potencjalne smugi makijażu, a nieciekawy krój powinien był zakrywać jak największą powierzchnię skóry. Natomiast czarne legginsy i wysokie botki były prywatnym zwycięstwem Frankie, efektem ponadgodzinnej kłótni z Viveką. Jak mama w ogóle mogła pomyśleć, że brzoskwiniowe rajstopy to świetne wykończenie tego stroju? Z pewnością sprawdziłyby się, gdyby dziewczyna miała grać kurczaczka w przedszkolnym przedstawieniu z okazji Wielkanocy, jednak Frankie chciała przede wszystkim dobrze wypaść przed nowymi koleżankami - w wieku licealnym.- Gotowe?
- spytała Lala, podkreślając radio. Z głośników popłynęła piosenka zespołu The Black Eyed Peas.

„I gotta feeling that tonight’s gonna be a good night...”

- Gotowe! - zawołały w odpowiedzi dziewczyny.

Lala przycisnęła pedał gazu i z piskiem opon wykręciła sprzed domu Frankie, podrywając pasażerki z miejsc.

„I gotta feeling that tonight’s gonna be a good, good night...”

Koleżanki opadły na siedzenia, wybuchając śmiechem.

- Teraz to twoi rodzice na pewno są zachwyceni - parsknęła Blue, kiwając głową w rytmie muzyki.

- Średnio mnie to obchodzi - Frankie wzruszyła ramionami. W tej chwili nie miała ochoty myśleć o rodzicach. Chciała choć na chwilę zapomnieć o zielonej skórze, o świecie normalsów i RADowców, o śrubach łaskoczących po porannym doładowaniu. Pragnęła po prostu spędzić trochę czasu w spa z nowymi koleżankami, uczestniczyć w tym naprawdę, a nie odtwarzając sztucznie wprowadzone do umysłu wspomnienia. Chciała poczuć wszystko na własnej skórze. Przeżyć ten dzień całą sobą. Wchłonąć go przez skórę. I zapamiętać na zawsze.

- Ej, La - zaczęła Claudine, nachylając się do kierowcy. - Możesz trochę skrócić ogrzewanie? Zaraz się rozpułnę.

Było naprawdę duszno. Frankie uśmiechnęła się do siebie, po czym odważnie zaproponowała:

- Może byłoby ci chłodniej, gdybyś zdjęła ten kołnierz?

- Ohohoho - wykrzyknęła Blue. - Nie wierzę, że to powiedziała!

Wszystkie wybuchnęły śmiechem - oprócz Claudine. Dziewczyna groźnie spojrzała na Frankie swoimi żółtymi oczami i zdawało się, że cicho warknęła: „Nie wychylaj się, nowa”. - Przepraszam - wymamrotała Frankie, żałując, że w ogóle się odezwała. Nie zdawała sobie sprawy, że może urazić Claudine. - Chciałam tylko pomóc - dodała, niespokojnie skubiąc wełniane nitki, wystające tu i ówdzie z workowatej sukienki. - Sama umieram z gorąca, więc pomyślałam, że może...

W tym momencie Cleo wymierzyła celnego kopniaka w łydkę Frankie.

- Ałć! - pisnęła dziewczyna, mimowolnie wypuszczając parę iskier.

Cleo i Claudine spojrzały na siebie porozumiewawczo. Frankie usiadła na dłoniach, żeby koleżanki w niczym się nie zorientowały.

- Czemu mnie kopiesz? - spytała.

- Chciałam powstrzymać cię od całkowitej kompromitacji - wyjaśniła Cleo.

- O co ci chodzi? - zdziwiła się Frankie, pocierając pulsującą z bólu nogę.

- Lepiej nie słuchaj Cleo - poradziła Lala i wyłączyła muzykę.

- Co to niby ma znaczyć?

- Nic takiego, Cleo. Po prostu rady tego typu, płynące z ust mistrzyni kompromitacji, nie wydają mi się specjalnie przekonujące...

Dziewczyna zatrzymała samochód na światłach. Ciszę, która zapadła w aucie, przerywał jedynie miarowy odgłos pracy wycieraczek.

- Może mnie oświecisz? - spytała Cleo. Coś w jej głosie zdradzało jednak, że dobrze wie, co przyjaciółka miała na myśli.

Lala spojrzała w lusterko i popatrzyła Cleo prosto w oczy.

- Przez cały zeszły tydzień obściskiwałaś się z chłopakiem, który mi się podoba.

Frankie umierała z ciekawości, ale stwierdziła, że tym razem lepiej trzymać język za zębami. Nie miała pewności, czy przypadkiem kolejnym pytaniem znowu kogoś nie urazi.

- Naprawdę podejrzewasz, że robiłam to dla własnej przyjemności? - spytała zranionym głosem Cleo.

- A nie?! - odparowała Lala.

Zapaliło się zielone światło.

- Jedźmy już - zasugerowała Blue.

Lala ruszyła ostrożnie przez złane deszczem skrzyżowanie. Zatrzepotała kilka razy ciemnymi rzęsami, próbując osuszyć łzy napływające do oczu.

- La, tak naprawdę to wyświadczyłam ci przysługę - powiedziała Cleo, kładąc dłoń na ramieniu przyjaciółki. - Podejrzanie dużo czasu spędzał z tą nową dziewczyną, Melosmarkiem, i nie da się ukryć, że...

- Ze co? - pociągnęła nosem Lala. - Ze jest ode mnie ładniejsza, tak?

- Nie! - zawołały zgodnie Blue, Claudine i Cleo, choć większość ludzi prawdopodobnie uznałaby Melody za bardziej atrakcyjną. W bezpośrednim starciu jej klasyczna uroda zdecydowanie przebijała przesadzony i jaskrawy styl Lali. Za to od tej drugiej biła niezachwiana pewność siebie. Obrysowane grubą, czarną kreską oczy dziewczyny patrzyły na świat z zaskakującą jak na jej wiek dojrzałością... A jednocześnie to spojrzenie pełne było młodzieńczego uroku. Takie niecodzienne połączenie dawało Frankie dużo do myślenia na temat zaskakującej, pełnej sprzeczności natury ludzkiej.

- La, jesteś tysiąc razy bardziej interesująca od Melosmarka - stwierdziła Cleo.

- Święte słowa - potwierdziła Claudine, żując kolejny kawałek kabanosa.

- Ale ona niebezpiecznie się do niego zbliżyła - ciągnęła Cleo - i gdybym w porę nie zareagowała, straciłabyś go po raz drugi.

Frankie spojrzała na Cleo z podziwem. Jej uroda, lojalność i bezinteresowne poświęcenie ukazywały normalni w bardzo pozytywnym świetle.

- D.J. dobrze wie, że jestem z Deuce'em - kontynuowała Cleo. - Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że ten pocałunek nic dla mnie nie znaczył. Natomiast Melosmark niekoniecznie. Poza tym jest...

- Ładniejsza ode mnie - jęknęła smutno Lala.

- Wcale nie! - ponownie zaprzeczyły dziewczęta.

- Zastanawiałaś się w ogóle, jak ja się czuję? - westchnęła Cleo. - Melosmark z zemsty pocałowała Deuce'a na oczach całej szkoły i... - jej głos zadrżał.

- Nie przejmuj się, Deuce'owi nie mogło się to podobać - szybko wtrąciła Claudine. - Wzięła go z zaskoczenia, i tyle.

- Tak, wiem - Cleo otarła kącik oka skrajem koszulki, pociągnęła nosem i nie powiedziała już nic więcej na ten temat.

- No dobra, wygrałaś, wierzę ci - poddała się Lala. - Zresztą, to już niewiele znaczy. Przestał mnie interesować. Spocił się jak Świnia przy tym pocałunku! Mogłabym przejrzeć się w jego czole.

- Taa, i co jeszcze - zażartowała Blue.

Dziewczyny wybuchnęły śmiechem.

Frankie poczuła się wyłączona z rozmowy, wyjrzała więc przez zlaną strugami deszczu szybę. Nawiązała kontakt wzrokowy z jadącym równoległe do nich wychudzonym kierowcą białej kii. Mężczyzna pracowicie usiłował wydłubać coś z nosa. Na szczęście skręciły w lewo, nim Frankie dowiedziała się, cóż to za uparty sekret krył się w nozdrzach nieznajomego.

- Jesteśmy na miejscu! - pogodnym głosem oznajmiła Lala. Zaparkowała samochód pod białą markizą i wręczyła kluczyki parkingowemu.- Pamiętaj, nigdy nie zrobiłabym niczego, co mogłoby cię zranić. Musimy trzymać się razem - powiedziała Cleo i mocno przytuliła przyjaciółkę.

- Wiem - odparła Lala i odwzajemniła uścisk. - Przepraszam, że cię o to posadziłam.

Frankie aż pojaśniała z radości. Czowała się wyróżniona zaproszeniem do tak zżytej grupy i w duchu przyrzekła sobie, że nigdy tych dziewczyn nie zawiedzie.

Za szklanymi, obrotowymi drzwiami znajdowało się zaciszne pomieszczenie recepcji. Była to przytulna świątynia spokoju, królestwo przygaszonych świateł, ściszonych głosów i przelewającej się cicho wody.

- Dzień dobry, Szafiro - półgłosem przywitała się Lala, podając swoją kartę członkowską rozpromienionej brunetce, która stała za kontuarem, zastawionym świecami zapachowymi.

- Witam - odparła recepcjonistka, przesuwając kartę w czytniku i oddając ją dziewczynie. - Z jakich usług będą dziś panie korzystać?

Lala otworzyła segregator z przepustkami dla gości i wydarła cztery zielone kartoniki.

- Blue potrzebuje nawilżenia w wodzie morskiej, dla Cleo chciałabym zamówić zestaw Rozkosze Raju, Claudine przydałaby się porządna depilacja woskiem...

Dziewczęta zachichotały.

- Starczy! - warknęła Claudine.

- A dla Frankie - powiedziała Lala - sesja w solarium.

Frankie uśmiechnęła się szeroko, przyglądając się uważnie słoikom i tubkom zamkniętym w gablotce stojącej za recepcjonistką. Sięgnęła po portfel.

- Czy ten krem jest naprawdę skuteczny? - zapytała, wskazując na pojemnik z napisem Bez Blizn.

- Owszem, gwarantuje redukcję blizn i znamion w ciągu zaledwie stu dni od rozpoczęcia stosowania - odparłaz dumą Szafira. - Choć ciężko w to uwierzyć, najważniejszym składnikiem są wąsy gryzoni.

- Ile kosztuje? - spytała dziewczyna, przesuwając palcami po wypukłych cyfrach na trzymanej w dłoni karcie kredytowej ojca.

- Tysiąc sto dla członków naszego spa, tysiąc trzysta dla pozostałych gości.

- Och - westchnęła Frankie i wrzuciła kartę z powrotem do torby. Może błyszczury jakoś mnie poratują - przeszło jej przez myśl.

- Nie martw się - powiedziała Lala na pocieszenie. - Solarium na pewno ci pomoże.

- W porządku - przytaknęła Frankie, choć nie do końca wierzyła w powodzenie tego planu.

Recepcjonistka wprowadziła dane dziewczyn do komputera i wręczyła odpowiednio zakodowane kluczyki do szafek. - Namaste - pozdrowiła je na indyjską modłę, kłaniając się ze złożonymi dłońmi.

W damskiej szatni po miękkim, kremowym dywaniku przechadzały się kobiety ubrane wyłącznie w bezpłatne, pluszowe szlafroki, zapewniane przez spa. Bił od nich blask pełnego odprężenia. Część suszyła włosy, inne plotkowały o tym, że instruktorka pilatesu zaskakująco przybrała na wadze. Większość jednak po prostu cieszyła się możliwością nieskrępowanego spacerowania w tę i we w tę.

Frankie z nfrwów poczuła, że zaraz zaiskrzy.

- Jak to, mamy chodzić... nago?!

Dziewczyny zachichotały, rozbawione jej zażenowaniem.

- To twój pierwszy raz w spa? - spytała Cleo. Z jej oczu dawno zniknęły resztki smutku. Zerknęła na Frankie podejrzliwie, jak gdyby próbowała przeświecić ją na wylot.

- Tak - przyznała dziewczyna.

Cleo uniosła brwi ze zdziwienia. Frankie postanowiła to zignorować.

- Proszę, to wasze klucze - powiedziała Lala. W każdej z szafek znajdowały się pluszowy szlafrok i mięciutkie kapcie, które goście mieli wkładać w trakcie i pomiędzy zabiegami.

- Ale czad! - zawołała z ulgą Frankie.

Jej początkowy zachwyt szybko zamienił się jednak w panikę, gdy tylko przyjrzała się bliżej nowej garderobie. Zapewniana przez spa narzutka kończyła się tuż przed kdfanem i miała zwykły, wykładany kołnierz. Nie zakrywała ani śrub, ani szwów. Nawet kosmetyki Trwały Urok były w tej sytuacji bezradne.

Cleo i Lala zaczęły się przebierać. Rozmawiały o zbliżającym się Balu Wrześniowym.

- Oczywiście pójdę z Deuce'em - stwierdziła pewnym głosem Cleo, zapominając o zajściu z Melody.

- Ja muszę szybko znaleźć nowy obiekt - powiedziała Lala, otulając się ciasno szlafrokiem i pocierając zmarznięte ramiona. Nikt poza nią nie zdawał się odczuwać zimna. - A ty z kim chciałabyś iść? - to pytanie skierowała do Claudine.

- Chyba żartujesz, że mogłabym pójść z kimkolwiek - Claudine chwyciła narzutkę i ruszyła w kierunku kabin w łazience. - Już to widzę, jak moi bracia pozwoliliby jakiemuś obcemu facetowi zabrać mnie na taką imprezę.

- Przesadzają z tą opiekuńczością - stwierdziła Blue, rozpylając wewnątrz swoich kaloszy darmową mgiełkę do twarzy Evian. - Ja na pewno nikogo nie znajdę, więc pójdziemy razem - dodała, wzruszając obojętnie ramionami.

- A ty, Frankie?

- Nie mam pojęcia - odparła dziewczyna, siadając na ławce i ściskając zwinięty szlafrok niczym poduszkę. - Podoba mi się Brett...- Powodzenia w odciąganiu go od Bekki - mówiąc to, Cleo zebrała swoje jedwabiste włosy w wysoki kucyk i wklepała w usta różany balsam pielęgnujący. - Nie chce go puścić, jest jak przyklejona poxipolem.

- Przylega lepiej niż folia spożywcza - dodała Lala.

- Trzyma mocniej niż lakier do włosów - zachichotała Cleo.

- Jest bardziej nawiedzona niż Egzorcysta - ciągnęła zabawę Lala.

- Złapała chłopaka w kleszcze - wtrąciła Blue.

- Czepiła się jak rzep psiego ogona - Frankie zamachała pupą, naśladując merdającego czworonoga.

Koleżanki wybuchnęły gromkim śmiechem.

- Dobra robota! - pochwaliła Blue i przybiła Frankie piątkę. Dziewczynie udało się powstrzymać iskry.

- Nie chcę ci psuć nastroju... - Claudine wróciła do przerwane go wątku. Choć miała już na sobie szlafrok i papcie, z jakiegoś powodu ciągle jeszcze nie zdjęła futrzanej etoli. Frankie wołała jednak nie poruszać ponownie tego tematu. - Ale ta dziewczyna nie da ci żyć, jeśli przyłapie cię sam na sam z Brettem.

- Jakoś się tym nie przejmuję - odparła Frankie, układając włosy. - W każdym filmie dla nastolatków, jaki widziałam, pozytywne bohaterki zawsze na końcu całują się ze swoimi wymarzonymi chłopakami.

- Jasne, ale to nie film, tylko prawdziwe życie - stwierdziła Cleo, wzdumie niem masując policzek. - Bekka nie przebiera w środkach. Nieźle mi przyłożyła, kiedy pocałowałam Bretta w trakcie gry w butelkę.

- Serio? Przecież o to w tej grze chodzi - zdziwiła się Frankie, po cichu zastanawiając się, jak by to było złączyć swoje wargi z ustami Bretta. Wydawał się przecież wielkim fanem RADu...

- Pewnie, ale butelka nie wskazywała dokładnie na Cleo - wyjaśniła Lala, lekko się uśmiechając. - Poza tym Deuce był wtedy w Grecji... - Cleo zakręciło się w głowie na samo wspomnienie. - Tak czy siak... nie musiała uderzać z całej siły!

- Ach! - jęknęła Blue, czochrając się po nogach. - Muszę wejść do wody, bo zaraz dodrapię się do kości.

Zawiązała szlafrok paskiem i pchnęła matowe, szklane drzwi z napisem KĄPIELE SOLNE. Nie zdjęła ani rękawiczek, ani kaloszy.+

Do szatni weszły dwie pracowniczki spa w różowych strojach. Każda trzymała w dłoni sporej wielkości notes.

- Pani Wolf? - odezwała się starsza z nich, uśmiechnięta blondynka. - Jestem Theresa. Dziś wyjątkowo to ja będę przeprowadzała pani zabieg depilacyjny.

- Jak to? A gdzie Anya? - spytała Claudine z paniką w żółtych oczach.

- Wyjechała na szkolenie - oznajmiła kobieta i wskazała w stronę korytarza. - Zapraszam za mną.

Claudine przez moment wyraźnie się wahała. W końcu owinęła się szczelniej narzutką i ruszyła za kosmetyczką. Na odchodnym wymownie spojrzała na dziewczęta, dając im do zrozumienia, że jest zdecydowanie niezadowolona z zaistniałej zamiany.

- Cleo, jesteś gotowa? - zapytała druga z przybyłych asystentek, przekrzykując szum suszarek i podając dziewczynie miskę czerwonych winogron.

- Dzięki, Blythe.

Cleo wzięła owoce i kiwnęła przyjaciółkom na odchodnym.

- Solarium znajduje się w sali numer trzynastie - wyjaśniła Lala, szczękając zębami z zimna. - Zanim się rozbierzesz, przeczytaj instrukcję obsługi, żebyś nie zmarzła. No nic, leć do sauny!

- Dzięki za radę - uśmiechnęła się Frankie, szczęśliwa, że nie będzie musiała zdejmować ubrań w obecności dziewcząt.

W sali numer 13 unosił się zapach potu i słońca. W środku było piekielnie gorąco. Może Lala ma problemy z krążeniem - zastanawiała się Frankie, zamykając drzwi. Dodatkowo zabezpieczyła je, podstawiając pod klamkę krzesło. Na widok czekającego na nią zamykanego łóżka do opalania pomyślała, że tak właśnie mógłby wyglądać owoc szalonego romansu samochodu terenowego z sarkofagiem. Na zdezynfekowanej szklanej powierzchni leżały mała poduszczyk w winylowej poszewce i złożony w kostkę ręcznik.

Po zapoznaniu się z instrukcją obawy Frankie potwierdziły się. Kwadrans w solarium nie mógł rozwiązać jej problemów: sprawić, że Brett się w niej zakocha. Wiedziała też, że zmiana koloru jej skóry nie jest w ten sposób możliwa. Nie było na to rady. Dziewczyna miała jednak nadzieję, że chociaż przez chwilę poczuje ten elektryzujący wstrząs, którego doznała, wystawiając twarz na działanie promieni słońca przed budynkiem szkoły Mount Hood High. Tamto doładowanie było o wiele silniejsze od mocy, jaką zapewniała Carmen Electra. Miała wtedy wrażenie, że ciepło rozlewało się po całym jej ciele, od czubka głowy aż po szwy na kostkach. Nawet jeśli łóżko do opalania nie dostarczyłoby tak silnych wrażeń, zawsze byłoby to nowe przeżycie, które mogłaby dodać do swojej kolekcji rzeczywistych doświadczeń.

W stanie silnego podniecenia, korzystając z upragnionej prywatności, Frankie zdjęła ubranie i odrzuciła je w kąt. Chwilę później leżała już na łóżku, mając na sobie wyłącznie śruby, szwy, grubą warstwę Trwałego Uroku oraz srebrne ochronne naklejki na powieki.

Szukając po omacku, znalazła w końcu włącznik. Pstryk! - i rzędy fluorescencyjnych żarówek zaczęły się rozjaśniać. Opuściła wieko i ułożyła się wygodnie.

Achhhhhh. Właśnie tak... poznaję to drżenie - myślała.

W trakcie domowego ładowania prąd płynął do jej ciała jedynie przez śruby w szyi, tu zaś czuła, że wchłania energię każdym centymetrem kwadratowym skóry. Doznania te różniły się od siebie jak picie wody z butelki i kąpiel w jeziorze. Czuła się absolutnie wspaniale.

Rozluźniona Frankie dała się ponieść wyobraźni... W marzeniach widziała siebie w skąpym bikini, przekomarzającą się z Brettem, gdzieś na jakiejś dzikiej plaży. Jej nagrzane naturalnym światłem śnoidy, szwy i jędrne, zielone ciało obudziłyby w chłopaku ukrytego dotąd poetę. Zaczęłyby pisać wiersze na jej cześć. Drobnutki piasek ogrzewałby przestrzenie

między palcami stóp dziewczyny. Wieczorem rozpaliliby ognisko. Płomienie strzelałyby wysoko w górę, a iskry rozjaśniałyby ciemności wokół. Wtuleni jedno w drugie, zwierzaliby się sobie z najmroczniejszych tajemnic, szukając zrozumienia i otuchy.

Achhhhhh...

Frankie pogrążała się coraz głębiej w marzeniach. Wizje zdawały się tak prawdziwe, że niemal namacalne. Czuła przypalające się jedzenie, które zapomnieli z Brettem zdjąć z ognia, zbyt zajęci swoimi ustami... woń unoszącego się wokół nich dymu z ogniska, przypominającą zapach palonego kartonu, smród palonych włosów... AAAAAAAAAAAAA!

- O nie!

Frankie zerwała się jak oparzona, uderzając czołem w szklane wieko łóżka. Zdarła z powiek ochronne naklejki i ujrzała strużki dymu wydobywające się ze szwów na kostkach. Śruby na szyi skrzyły się niczym zimne ognie.

O nie nie nie nieeeeeeeeeeee! Rozdygotana i roztrzęsiona, chciała jak najszybciej wyłączyć maszynę. Przycisnęła żółty przycisk, który znalazła na ścianie, ale w ten sposób przedłużyła sesję o kolejne dziesięć minut.

- Stój! Przestań! W panice próbowała ugasić tłące się szwy, ale jej działania dały efekt wręcz odwrotny - zaczęła iskrzyć jeszcze bardziej!

Frankie chwyciła za czarny kabel, który kończył się w ścianie i mocno szarpnęła. Spróbowała jeszcze raz, i jeszcze raz...

Iskry tryskały na wszystkie strony. Nagle z głowy Frankie wystrzeliła miniaturowa błyskawica, popęzła wzdłuż kabla i zniknęła w dziurce kontaktu.

Bzzzt!

W pomieszczeniu zapadła całkowita ciemność.

- Gdzie jest światło?! - zawołał z przerażeniem ktoś w pomieszczeniu obok. Frankie rozpoznała głos Cleo.

Głosy pozostałych klientów spa - część rozbawiona, pozostałe zaniepokojone - zlały się w jeden donośny, podekscytowany gwar. Przez szparę między drzwiami a podłogą Frankie dostrzegła migoczące światła świec. Usłyszała tupot stóp za drzwiami pokoju numer trzynastie.

- Czy coś się pali? - zapytała jakaś zaniepokojona kobieta.

Nie zważając na swąd przypalonych szwów, Frankie błyskawicznie ubrała się i chyłkiem przemknęła do ciemnego korytarza. W końcu odnalazła drzwi, oznaczone czerwonym, awaryjnym neonem WYJŚCIE. Nacisnęła klamkę i wypadła z budynku prosto na ulewny deszcz, nie żegnając się z nikim.

Krople z sffeiem gasiły rozżarzone szwy. Wokół nóg snuła się mgiełka, przypominająca kiepski efekt specjalny z niskobudżetowego horroru. Frankie powstrzymała łzy. Mimo wszystko na własnej - i to dosłownie - skórze przeżyła pierwszą wizytę w spa. Teraz już wiedziała, co to jest. Co więcej, z pewnością nie zapomni dzisiejszych wydarzeń do końca życia. Nie była tylko pewna, czy to dobrze czy źle.

Zadzwonił jej telefon. Blue, Lala, Blue i znowu Lala. Wszystkie połączenia przekierowała na pocztę głosową.

Po prawie dziesięciokilometrowej wędrówce w strumieniach deszczu w końcu dotarła do RadclifTe Way. Ledwie powłóczyła nogami, idąc na granicy wyczerpania akumulatora. Wciąż nie uroniła ani jednej łzy. Musiała się trzymać. Niewątpliwie czekało ją jeszcze kazanie rodziców. Gdzie byłaś? Co zrobiłaś z siecią elektryczną normalsów? Co jeśli ktoś by cię zobaczył? Jak mogłaś ruszyć w tak długą drogę tak słabo naładowana? Zdajesz sobie sprawę, jakie to niebezpieczne? Nie tylko dla ciebie, ale dla wszystkich RADowców! Frankie, ile razy mamy ci...

W tym momencie minęło ją zielone, półterenowe bmw, rozbryzgując głęboką kałużę, która wyglądała niczym rozstępujące się Morze Czerwone. Pierwsza fala ochlapała samochód od strony pasażera. Druga oblała Frankie od stóp do głów.

Tym razem łzy popłynęły same.

ROZDZIAŁ 11

O FACETA TRZEBA WALCZYĆ DO KOŃCA

- Jesteś pewna, że nie chcesz spać dziś z nami w namiocie? - zawołała Glory, starając się przekrzyczeć ogłuszający szum elektrycznej pompki do materaca. - W końcu przestało padać. Poza tym świeże powietrze dobrze zrobi twoim płucem.

Siedziały w częściowo urządzonym salonie, przez oszklone drzwi obserwując zmagania Beau z brudnozielonym giganamiotem.

- Na sto procent - odparła Melody, wzdrygając się na samą myśl o skorzystaniu z tego zaproszenia. Rodzice mieli dość «Oryginalne podejście do biwakowania. Na liście rzeczy do zabrania umieścili: kaszmirowe piżamy, namiot, czy raczej ogromną kopułę mogącą pomieścić osiem osób, luksusowe komplety pościeli, gruby, dmuchany materac, szaszłyki kupione na wynos w koreańskich delikatesach, termos wypełniony mojito i miniprojektor filmowy z nagraniem pierwszej serii serialu Zagubieni. Równie dobrze Melody mogłaby wdychać spaliny autobusów w Los Angeles i twierdzić, że to doskonała inhalacja.

Poza tym miała już inne plany. Gdy tylko Candace wyjdzie na trzecią w tym tygodniu randkę, Melody wśliznie się do jej pokoju z torebką popcornu, usadowi wygodnie i zacznie oglądać swój nowy ulubiony serial: Chłopak, który stracił tak wiele. Nie został ujęty w programie telewizyjnym i o dziwo nie przedstawiał perypetii nastolatków walczących z nadwagą. Fabuła była zupełnie inna. Serial opowiadał o dziewczynie imieniem Melody, która przez beznadziejne zauroczenie głupim urodziwakiem sobotni wieczór, a ściślej mówiąc trzeci wieczór z rzędu, spędza samotnie, gapiąc się w jego okno.

- Wychodzę! - oznajmiła starsza siostra, pojawiając się ni stąd ni zowąd w mocno prześwitującej, opadającej luźno na jedno ramię, króciutkiej sukience w fioletowo-niebiesko-biały wzór. Całości jej stroju dopełniały sięgające kostki srebrne botki, które dodatkowo podkreślały, że ich właścicielka zdecydowanie nie pochodzi z tych stron.

- Jak moja fryzura? - spytała, ostrożnie poprawiając rozjaśnione słońcem loki. - Może zbyt seksowna?

- Jezu, czy ty w ogóle czasem siebie słyszysz? - odparła Melody, parszkając śmiechem.

- Idę na randkę z Jasonem. To druga liga - wyjaśniła Candace, nakładając na usta nową warstwę błyszczyka. - Nie chcę, żeby robił sobie zbyt wielkie nadzieje, za to zależy mi na tym, żeby Leo poczuł się zazdrosny.

- Ta sukienka zdecydowanie da mu nadzieję - skomentował Beau, który właśnie wszedł do salonu. Jego stalowoszara, robocza bluza - od Prądy - nakrapiana była ścinkami trawy. - Fryzura nie ma tu nic do rzeczy. A teraz wracaj na górę i dokończ się ubierać.

- Ale tato! - wykrzyknęła Candace, tupiąc srebrnym bucikiem. - Jesteś pewien, że mieszkamy pod jednym dachem? Gorąco tu jak w tropikach! Jeszcze jedna warstwa i przysięgam, dostanę udaru i padnę. Nie musiałam nawet używać lokówki przy kręceniu włosów.

Demonstracyjnie pociągnęła za jeden lok.

- Sam zobacz!

Puszczony kosmyk wrócił na miejsce niczym sprężyna.

- Facet od ogrzewania ma przyjść w środę - odparł Beau, ocierając opalone czoło. - A teraz idź się przebrać, bo inaczej własnymi rękami ubiorę cię w nasz giganamiot. Zobaczymy, czy podziła na Jasona.

- Na Leo! - poprawiła Candace.

- Może przymierzylabyś moją szmaragdową tunikę? Pasowałaby do twoich pump - zaproponowała Glory, sprawdzając stopą sprężystość dmuchanego materaca. - Jest w garderobie, w pudle z napisem YSL.

- Nie wiem, może - westchnęła zrezygnowana Candace. - Pasowałyby do tego czarne, skórzane botki, ale ja takich nie mam.

- Możesz pożyczyć moje Miu Miu.

Glory zdmuchnęła rudawy kosmyk, który zasłaniał jej zielone oczy.

- Genialnie! - ucieszyła się Candace, udając zaskoczenie. Mrugnęła porozumiewawczo do Melody. Dobrze to zaplanowała. Razem poszły do jej sypialni.

- Ależ z ciebie lisica - przyznała młodsza siostra, kładąc się na metalowe, rzeźbione łoże z baldachimem. Surowość ramy kontrastowała z plisowaną pościelą i białą, satynową narzutą. Całość była dokładnym przeciwieństwem czarnego, piętrowego łóżka Melody, połączonego z biurkiem - dla oszczędzenia miejsca.

- W życiu trzeba stawiać sobie cele i ze wszystkich sił starać się je osiągać, Melly - objaśniała Candace, wciskając na nogę sztywny, skórzany but. - Nigdy nie wolno spuszczać z oczu obiektu pożądania. Zwłaszcza jeśli chodzi o faceta - dodała, wymownie kiwając głową w stronę okna sypialni Jacksona. W środku paliło się słabe światło.

- Nie mam zamiaru zrobić najmniejszego kroku w jego kierunku - odparła Melody, czując w żołądku nieprzyjemny skurcz na dźwięk własnych słów. Dlaczego na głos wszystko brzmi gorzej?

- A co z tym bukietem kwiatów?

- Przez cały tydzień świetnie bawił się z Cleo. Pewnie chciał tylko wzbudzić w niej zazdrość, skoro na scenę wrócił Deuce - mówiąc to, dziewczyna przewróciła się na bok. - To wyrachowany gracz, Candi, a ja mam dosyć tych gier.

- Zbyt szybko się poddajesz. Zawsze tak było - stwierdziła siostra, wygładzając zbluzowany rąłkę zielonej tuniki. Przekrzywiła głowę, patrząc na swoje odbicie w lustrze. - Ujdzie - oceniła.

Na drewnianych ścianach pokoju zatańczyły światła rzucane przez samochodowe reflektory.

- A oto i mój drugoligowy książę w drugoligowej karocy!

- Tylko nie przesadz z seksapilem - żartobliwie rzuciła Melody.

- Dobra, a ty nie przeginaj w drugą stronę... - odbiła piłeczkę Candace, wskazując z dezaprobatą na wyciągnięte, szare dresy, które miała na sobie młodsza siostra. - To powinno być zabronione.

- Hej, kupiłam je w butik Victoria's Secret!

- Jasne - odparła Candace, spryskując się najnowszym zapachem Toma Forda. - W butik czy na śmietniku? - zażartowała i poczochnęła młodszą siostrę po głowie. - Powinnas stąd wyjść, chociaż na chwilę. Jeśli nie zabije cię nuda, to ten upał z pewnością cię wykończy. No nic, ja lecę! - rzuciła i już jej nie było. W miejscu, w którym stała, jeszcze przez chwilę unosił się duszący obłok perfum Black Orchid.

Wciąż leżąc na łóżku, Melody zaczęła bezmyślnie podrzucać i łapać białą, satynową poduszkę. Czy naprawdę chciała, żeby tak wyglądało jej nowe życie?

Poczekala, aż stukot botków na drewnianej podłodze ucichnie, i wsunęła się w delikatną, farbowaną sukienkę, którą jej siostra rzuciła jak niepotrzebną szmatkę w pobliżu swojego kącika próżności. Drżąc niczym Kopciuszek, który bezprawnie wkradł się do cudzej garderoby, założyła srebrne buciki i chwiejąc się, podeszła do lustra. Botki miażdżyły palce, ale czyniły z nogami prawdziwe cuda: wydłużały je i wysmuklały, sprawiając, że cała sylwetka zdawała się równie delikatna jak zwiewna tkanina sukienki. Niebieskofioletowe połączenie kolorów znakomicie pasowało do szarych oczu Melody, które błyszczały z przejścia niczym choinkowe lampki. Ku swojemu zaskoczeniu stwierdziła, że patrzenie na siebie sprawia jej przyjemność. Zaczęła wyobrażać sobie, jak stoi na scenie w tej sukience i zaczyna śpiewać. Może uroda wcale nie była taka...

Wrrrrrrrr!

Gdyby nie vibracje iPhone'a, Melody być może nigdy nie odkleiłaby się od swojego odbicia w lustrze.

Przejechała kciukiem po ekranie. Dzwonek - odgłos silnika motocyklowego - natychmiast ucichł.

- Halo - odebrała, przesuwając jednocześnie białe krzesło na kółkach w stronę okna.

- Co porabiasz? - zapytała Bekka. W tle leciała któraś z piosenek Estelle.

- Nic specjalnego.

Melody spojrzała na dom po drugiej stronie ulicy. Na okalających go murkach ustawiono drewniane skrzynki, wypełnione po brzegi różnymi gatunkami kwiatów ogrodowych. Gałęzie rosnącego klonu, stojącego na środku ogródka, obwieszane były karmnikami dla ptaków. Osobliwy budynek sprawiał wrażenie uroczego gniazdka, a nie pieczary bezdusznego łamacza serc.

- A co u ciebie? - spytała Melody. - Myślałam, że byłaś dziś umówiona z Brettem. Nie mieliście iść do kina na najnowszą część Piły?

Muzykę zastąpiło nerwowe stukanie na klawiaturze. Klikklikklikklik...- Rodzice chcieli, żebym została w domu ze względu na całą tę aferę z potworami - odparła podirytowana przyjaciółka. W słuchawce rozległ się dźwięk głośnego uderzenia. - To takie niesprawiedliwe. Cały tydzień czekałam, aż będziemy mieć dla siebie trochę czasu, a teraz... ŁUPS! - Bekka ponownie uderzyła w coś twardego. - Chcieliśmy tylko iść do kina. Co oni sobie wyobrażają? Że porwie nas filmowy wilkołak? Że to noc żywych trupów? A może, że w rzece pływają krwiożercze piranie?

Klikklikklikklik...

- Czemu nie zaprosiłaś Bretta do siebie? - zapytała Melody, mrużąc jednocześnie oczy i próbując ocenić, czy światło w pokoju Jacksona zamigotało naprawdę, czy tylko jej się tak wydawało.

- Zrobiłam to. Odmówił - Bekka nie była już zła. W jej głosie pobrzmiwało raczej ogromne rozczarowanie. - Powiedział, że koniecznie musi to obejrzeć w tygodniu premiery. Więc poszedł do kina z Heathem... przynajmniej tak twierdzi.

Klikklikklikklik...

W sypialni Jacksona zgasło światło. Ulubiony serial Melody dobiegł końca.

- Wyjaśnij mi wreszcie, o co chodzi z tymi potworami - poprosiła, dopiero teraz rzeczywiście angażując się w rozmowę. W szkole wszyscy rozmawiali o jakimś tajemniczym zajściu w Mount Hood High, ale do tej pory nie przywiązywała do tych plotek zbyt wielkiej wagi. Przecież chodziło o potwory, a z jej doświadczenia wynikało, że niewiele istot może

być bardziej przerażających niż słodkie lalunie z dawnej szkoły w Beverly Hills, więc po co to całe zamieszanie? Jednak fakt, że rodzice przyjaciółki z tego powodu nie pozwalają jej wychodzić z domu po zmroku, nadawał pogłoskom... podejrzenie prawdopodobny charakter. - To nie jakaś ścierna?

- Najwyraźniej moi rodzice uważają, że nie - jęknęła Bekka.

- Moi tak samo - odezwał się znajomy głos.

- Haylee?

- Cześć, Melody.

- Od kiedy jesteś na linii? - spytała dziewczyna, zastanawiając się, czy przeoczyła ten szczegół, gdy próbowała przeświecić wzrokiem zasłonięte okno pokoju Jacksona.

- Haylee przysłuchuje się wszystkim moim rozmowom - wyjaśniła Bekka. - Spisuje je na potrzeby książki.

- No tak - Melody przygryzła palec, pojmując w końcu, skąd ten nieustanny stukot klawiszy w tle. Nie była pewna, jak się czuje, mając świadomość notorycznego podsłuchu. - Na czym to skończyłyśmy?

Klikklikklikklik...

- Potwory - przypomniała Haylee.

- Racja, dzięki - Bekka nabrała powietrza. - Słyszałam już różne wersje tej historii, aleja będę trzymała się wersji Bretta, bo jest mocno wkręcony w te klimaty.

Klikklikklikklik...

- Twierdzi, że jakieś trzysta kilometrów stąd, w Piekielnym Kanionie, mieszkają całe rodziny potworów. Podobno piją wodę z rzeki Snake, która płynie w górach Seven Devils. Kąpią się w niej również. Latem temperatura w kanionie jest nie do wytrzymania, więc migrują na zachód, w kierunku oceanu. Podróżują tylko w wyjątkowo mgliste poranki.

Nagle Jackson przeszedł tuż za swoim oknem. Zaskoczona Melody poczuła dreszcz podniecenia. Tak naprawdę nigdy jeszcze nie wypatrzyła chłopaka w jego pokoju. Wyłączyła światło w sypialni Candace, żeby ukryć się przed wzrokiem Jacksona i jak gdyby nic dalej udawała, że interesują ją lokalne bajeczki opowiadane przez Bekkę.

- Naprawdę?Klikklikklikklik...

- Przynajmniej tak uważa Brett - odparła Bekka. - Jesienią, kiedy temperatury spadają, potwory wracają do siebie. Więc faktycznie, jeśli ktokolwiek chciałby cokolwiek zobaczyć, to właśnie teraz miałby na to największe szanse. To szczytowy okres migracji.

- Nie powinnam była całować się z Deuce'em - zaburczała Melody, znudzona mdłą historyjką o potworach. - Wszystko się posypało.

- Czyli co takiego? - spytała Bekka. - Nie byliście nawet parą.

- Ostro - zaśmiała się Melody. Jej nowa przyjaciółka miała rację. Jednoczesne podglądanie i rozmawianie zaczynało ją irytować. Nie tak wyobrażała sobie swój start w tym miejscu.

- Ale to prawda - zawtórowała swojej mentorce Haylee.

- Nie mówię, że nie - Melody przytknęła czoło do chłodnej szyby. Wolałaby obmyć twarz zimną wodą, ale w tej chwili musiało jej wystarczyć tylko takie orzeźwienie. - Kompletnie poleciałam na tę jego artystyczną duszę, a między nami mówiąc, przecież wcale nie jest taki atrakcyjny.

Klikklikklikklik...

- Dzięki za podsumowanie - rozległ się niespodziewanie czyjś głos.

Melody wrzasnęła, podskoczyła jak oparzona i obróciła się w miejscu. Ujrzała szczupłą męską sylwetkę, stojącą w drzwiach. Miała wrażenie, że w jej żyłach pulsuje czysta adrenalina.

- Melody, wszystko w porządku? Powiedz coś! - zawołała Bekka w słuchawce. - Czy to potwór?

Klikklikklikklik...

- Nic mi nie jest - Melody przyłożyła rękę do serca, które biło jak oszalałe. - To tylko Jackson. Oddzwonię później.

Klikkl...Rozłączyła się i rzuciła telefon na łóżko.

- Kto dzwonił? Czyżby Deuce? - spytał.

Melody postanowiła nie wyprowadzać chłopaka z błędu, rozkoszując się jego podejrzliwością.

- Nieważne. Jak się tu znalazłeś?

- Wpuściła mnie para bezdomnych, która rozbiła biwak na tyłach waszego domu - odparł, robiąc krok w jej kierunku.

Dziewczyna spojrzała na niego z ukosa.

- Przyznaj się, podsłuchiwałeś.

- O, czy to mój pokój? - spytał, podchodząc do okna.

- Niby skąd miałabym wiedzieć? - broniła się bardziej gwałtownie, niż sobie tego życzyła. Odstawiła krzesło za biurko i włączyła światło.

Orzechowe oczy Jacksona pojaśniały na jej widok. Z kolei policzki Melody pokryły się rumieńcem. Kompletnie zapomniała, że wciąż ma na sobie króciutką sukienkę Candace. Poczula okropne zażenowanie i to nie dlatego, że jej nogi w całej swojej krasie były

wystawione na widok. Wstydziła się, bo z pewnością domyślił się, że sprawdzała, w których strojach wygląda najbardziej pociągająco.

- Ee, no więc, ee... - zaciął się Jackson. Otarł mokre od potu czoło. - Przyszedłem tu, bo chciałem ci powiedzieć, żebyś trzymała się z dala od Deuce'a.

- A to dlaczego? - Melody uśmiechnęła się złośliwie. - Czyżbyś był zaaproszony?

- Nie - odparł chłopak, po czym zdjął okulary i przetarł oczy. - On jest niebezpieczny.

- Zazdrośnik, zazdrośnik, zazdrośnik - zaśpiewała Melody, niczym przezywająca kogoś dziewczynka na placu zabaw. Zdziwiła się, bo jej głos zdawał się brzmieć odrobinę mocniej niż zwykle.

- Daj spokój, nie o to chodzi. Po prostu się martwię o znajomą - pod nosem Jacksona pojawiły się kropelki potu. - Zawsze tu tak gorąco? - wysapał. - Niestety - odparła Melody, próbując nie dać po sobie poznać, jak mocno dotknęło ją, że nie był o nią zazdrosny.

- W moim pokoju jest wentylator... - zaczęła, ale szybko zmieniła ton. - Tyle że ty przyszedłeś tu przecież tylko po to, by mnie ostrzec, więc...

Z wdziękiem żyrafy na wrotkach do drzwi i otworzyła je szeroko.

- Życzę miłego wieczoru i jeszcze raz dziękuję za odwiedziny - zakończyła.

Jackson wyszedł z pokoju, pozostawiając Melody z uczuciem opadania w bezdenną przepaść. Zakołysała się niepewnie i podparła głowę rękami.

- Faktycznie lepiej! - zawołał chłopak.

Był w jej pokoju. Zapalił światło i uruchomił wentylator. Bezdenna przepaść zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Jackson wyglądał na całkiem zadomowionego. Usadowił się z podciągniętymi nogami na drewnianej podłodze przy piętrowym łóżku i pozwalał podmuchom chłodnego powietrza owiewać swoją twarz. Miał na sobie ciemnogrnatową koszulę z krótkimi rękawami, sprane dżinsy i czarne converse (takie same jak jej!). Pozornie niedbała powierzchowność Jacksona znów wydała się Melody niebezpiecznie pociągająca.

- Ciekawie mieszkasz - stwierdził, zerkając na sterty nierozpakowanych kartonów.

- Nie jest tak strasznie, jakby mogło się wydawać - odparła, siadając obok i naturalnie skupiając całą uwagę na nim, a nie na zagraconym pokoju.

Zapadła niezręczna cisza.

- Może wytłumaczysz mi w końcu, co cię łączy z Cleo?

- wyrzuciła z siebie Melody, nie potrafiąc już dłużej wytrzymać.

- Co masz na myśli?

Chłopak przymknął oczy i przysunął się do wentylatora.

- Żartujesz sobie? - serce Melody ponownie weszło na wyższe obroty. - Słuchaj, rozumiem, że uprawiasz swoje gierki. W porządku. Więc skoro wszystko, na co mogę liczyć, to jedynie sąsiedzki pakt o nieagresji, to równie dobrze możesz powiedzieć mi prawdę.

- Gierki? - Jackson roześmiał jej się prosto w twarz. - To ty rzuciłaś się na Deuce'a na samym środku korytarza.

Melody zerwała się z podłogi. Jak on śmiał obracać wszystko przeciwko niej?

- Wystarczy! - powiedziała stanowczo.

- O co chodzi? Co ja takiego zrobiłem?

- Jackson, nie jestem głupia!

Szalejący w dziewczynie tajfun sprzecznych emocji wyrwał się w końcu spod resztek kontroli, wylewając się potokiem łez na policzki. Nie pierwszy raz wypowiadała to zdanie. Zmieniały się tylko imiona.

- W takim razie to ja jestem głupi - stwierdził Jackson, po czym ujął dłoń dziewczyny. Melody poczuła słodką błogość, którą można by porównać jedynie z przyjemnością wgryzania się w pierwsze bożonarodzeniowe pierniczki. - Wy tłumacz mi - ścisnął jej rękę. - Co się właściwie stało?

Melody uważnie spojrzała w oczy chłopaka. Wpatrywał się w nią usilnie, pełen nadziei.

- Proszę, wytłumacz mi - powtórzył.

Dziewczyna czuła się absolutnie zbита z tropu. Żałowała, że nie ma przy sobie monety, która zdjęłaby z niej ciężar podejmowania decyzji. Czy Jackson testował właśnie jakąś nową metodę tortur czy naprawdę nie miał pojęcia, o co chodzi?

- Cleo - zaczęła beznamiętnie, wciąż badawczo przyglądając się jego twarzy, w poszukiwaniu jakiegokolwiek znaku, który mógłby go zdradzić. Bezskutecznie. Nie zaciskał szczęk. Nie mrugał nerwowo. Nie oblizywał niespokojnie ust. Po prostu wpatrywał się w nią ufnie, niczym niewinne dziecko w oczekiwaniu na bajkę na dobranoc. - Pocałowałaś ją - ciągnęła Melody. - I to nie raz.

Jackson pochylił głowę.

- Ha! Czyli jednak pamiętasz! - zawołała triumfująco.

Zdecydowanie zaprzeczył:

- Właśnie że nie. Ani trochę. W tym cały problem.

- Co? - zapytała z niedowierzaniem Melody. Ponownie usiadła na podłodze i zdjęła srebrne botki. Sama rozmowa była już wystarczająco niewygodna.

- Zdarzają mi się chwilowe utraty pamięci - przyznał w końcu, odrywając kawałek gumy do żucia od podeszwy trampka. - Mama uważa, że wywołują je trudne sytuacje, ale nie ma pewności.

- Co na to lekarze?

- Żaden nie potrafił postawić jednoznacznej diagnozy.

- Chwileczkę, coś mi tu nie gra.

Melody chciała usiąść naprzeciwko chłopaka, ale w tak krótkiej sukience byłoby to co najmniej krępujące.

- Sekundkę - rzuciła i sięgnęła do pudła z napisem WYGODNE. Na chybił trafił wyjęła ze środka parę wymiętych, prążkowanych spodni od piżamy i ubrała je pod sukienkę. - Od razu lepiej - uśmiechnęła się z ulgą. - No więc, jak to możliwe, że całujesz się z kimś i po prostu tego nie pamiętasz?

- Sam chciałbym to wiedzieć - westchnął i przejechał ręką po zmierzwionych włosach.

- Mam tylko nadzieję, że mi się nie pogarsza.

- Nie martw się - Melody ostrożnie położyła dłoń na jego kolanie. - Jest mnóstwo specjalistów, którzy mogą ci pomóc.

- Bardziej przejmuję się moją mamą - odparł. - Mamy tylko siebie nawzajem.

Melody, wzruszona troską chłopaka, przysunęła się odrobinę bliżej. Powiew z wentylatora sprawił, że kosmyki czarnych włosów zaczęły w zwolnionym tempie tańczyć wokół jej twarzy jak w jakimś kiczowatym, romantycznym filmie.

- Nie bój się - pocieszyła Jacksona, po czym nagle chwyciła jego nadgarstek w udawanym, dramatycznym geście. - Nie pozwolimy ci tak łatwo odejść! Mieszkańcy Salem bardzo cię potrzebują!

- A więc będę walczył! - wykrzyknął z całą mocą, podejmując grę bez zająknięcia.

Wybuchnęli gromkim śmiechem, puszczając w niepamięć wszelkie niesnaski. Z nadzieją witali słodką niepewność dalszych losów ich znajomości.

- Wiesz, że pocałowałam Deuce'a tylko po to, żeby wzbudzić w tobie zazdrość? - spytała Melody.

- Nie miałem pojęcia, ale podziałało.

- Jupi - pisnęła, przyjmując jego deklarację z uczuciem ulgi.

Chłopak badał wzrokiem jej twarz, uśmiechając się przy tym, jakby usłyszał właśnie jakiś wyjątkowo zabawny dowcip.

- O co chodzi?

- O twoje imię - odparł Jackson. - Naprawdę do ciebie pasuje.

- Serio? - zdziwiła się dziewczyna. Owszem, lubiła śpiewać, ale mimo to zawsze miała wrażenie, że bardziej swojsko czułaby się z jakimś mniej wesołym imieniem, takim jak Meredith czy Helena. - Melody brzmi tak... figlarnie, a ja zupełnie się taka nie czuję.

- W porządku, ale zastanów się nad jego znaczeniem - Jackson usiadł po turecku i przysunął się tak, że zetknęli się kolanami. - Melodia to sekwencja pojedynczych nut, których połączenie potrafi być bardzo zaskakujące. Całkiem jak ty.

Dziewczyna zaśmiała się nerwowo i spojrzała na zrogowaciały naskórek na swoich bosych piętach. Candacemiała rację. Pedicure od czasu do czasu z pewnością by jej nie zaszkodził.

- Miło mi to słyszeć - odparła, zaskoczona swoim zakłopotaniem. - Chyba nigdy nikt nie poddał mojego imienia tak drobiazgowej analizie - przyznała. - Nawet rodzice. Tak naprawdę miałam nazywać się Melanie, ale podobno mama dostała ciężkiego zacienienia zatok na kilka dni przed porodem, więc kiedy położna spytała ją o imię, jakie wybrała dla dziecka, Melanie zabrzmiało jak Melody. Dopiero trzy miesiące później zorientowali się w sytuacji. Spodobało im się i tak już zostało.

- Naprawdę idealnie do ciebie pasuje. Jest bardzo ładne.

Jackson przełknął głośno ślinę.

No nie... Błagam, nie mów tego, bardzo, bardzo, bardzo cię proszę - zaklinała go w myślach Melody.

- Zupełnie jak ty - zakończył.

- Cholera. Bałam się, że to powiesz.

Melody wstała, przygotowując się na nieuniknioną chwilę prawdy.

- Dlaczego? - zapytał Jackson. Podniósł się z podłogi i razem z dziewczyną stanął przed pudłem z napisem BEVERLY HILLS.

Melody wyjęła coś ze środka.

- Dlatego - mówiąc to, zamachała mu przed nosem swoim starym identyfikatorem.

Chłopak poprawił okulary i przyjrzał się legitymacji.

- No i?

- Naprawdę nie widzisz, jaka byłam brzydka, zanim mój wspañiały ojczulek poprawił mi twarz?! - wykrzyknęła, jak gdyby to Jackson był sprawcą jej rozgoryczenia. Właściwie to w tej chwili właśnie tak było. To on nazwał ją ładną. To jego вина. Teraz musiała jak najszybciej zakończyć całą sprawę, nim chłopak zacznie przeglądać Internet w poszukiwaniu jej zdjęć „sprzed” i „po” zabiegu.- Nie byłaś brzydka - upierał się Jackson. - Jak dla mnie wyglądasz dokładnie tak samo.

- Nie przyjrzałeś się wystarczająco dokładnie - nalegała Melody, wciąż trzymając identyfikator w wyciągniętej ręce.

- Mylisz się.

Chwycił jej zdjęcie i spojrzał na nie jeszcze raz.

- Doskonale widzę wszystkie szczegóły. Każda część twojej twarzy jest idealna. Lał.

Wewnątrz Melody tajfun na nowo rósł w siłę. Wędrował z gardła w dół, prosto do żołądka. Temperatura panująca w domu wzmagала gorączkę, która nagle ogarnęła jej ciało. Czuła magiczną siłą, która przyciągała ją do tego chłopaka.

- Wygląda na to, że zaraz się pocałujemy - wyrwało jej się niezdolnie.

- Zgadza się - odparł Jackson, przybliżając się. Melody czuła słodkosłoną woń jego skóry.

Znajdowali się coraz bliżej... i bliżej... i...

- ODSUŃ SIĘ! - rozległ się przerażony kobiecy krzyk.

Jackson odskoczył jak oparzony.

- Kto się tak wydziera?

- Moja bezdomna mama.

- Widzi nas? - zapytał i ponownie stanął przy wentylatorze.

- Wątpię - Stwierdziła Melody i wyszła na schody. - Mamo, wszystko w porządku?

- To zależy. Jeśli, podobnie jak twój ojciec, uważasz, że napad dzikiego wilka na spokojnie biwakujących ludzi to zupełnie normalna sytuacja, to jasne, wszystko jest w jak najlepszym porządku - zawołała Glory w odpowiedzi.

- Kochanie, tłumaczę ci po raz kolejny: to nie mógł być wilk - próbował uspokoić ją Beau.

Melody i Jackson parsknęli śmiechem.

- A tak zupełnie z innej beczki... Może chciałabyś pójść ze mną na Bal Wrześniowy? - zapytał chłopak.

- Z największą przyjemnością - odparła z uśmiechem. - Ale tylko jeśli będę mogła włożyć na siebie to... - dodała, wyginając się w swoim oryginalnym, piżamo-sukienkowym zestawie.

- Jak dla mnie - bomba - zaśmiał się Jackson.

Melody zrobiła krok w jego stronę... Chłopak przybliżył się odrobinę... i...

- TAM JEST! - krzyknęła ponownie Glory.

- No gdzie? - Beau dławił się ze śmiechu. - Nic nie widzę.

- Melody! Natychmiast zejdz na dół i powiedz mi, czy coś widzisz! - zawołała mama.

- Już idę.

Dziewczyna przewróciła oczami z rezygnacją.

Obydwoje zeszli na dół i pożegnali się naprędce, po czym Jackson cichcem wymknął się drzwiami wejściowymi, a Melody przeszła do tylnej części domu.

- Popatrz tam - ręka Glory wskazywała bliżej nieokreślone miejsce, gdzieś w ogrodzie, za przesuwными, szklanymi drzwiami. - Za namiotem, tuż obok czajnika z herbatą. Widzisz?

Jednak jedyną rzeczą, na której Melody mogła skupić w tej chwili uwagę, był widok jej własnego odbicia w szybie. Przyglądała się czarnowłosej postaci o zaniedbanych stopach, mającej na sobie prążkowane spodnie od pizamy i zwiewną, kolorową sukienkę.

- I jak? - naciskała Glory. - Widzisz coś czy nie?

- Nie - skłamała Melody, wciąż wpatrzona w szklane drzwi. Po raz pierwszy w życiu ani trochę nie obawiała się swojego odbicia. Po raz pierwszy w życiu wydało jej się piękne.

ROZDZIAŁ 12

RIP

Frankie spała jak zabita... a przynajmniej tak mogłoby się wydawać. Jej umysł i ciało zdawały się pracować na zupełnie innych częstotliwościach. Po pięciu nużących godzinach zmieniania szwów, podczas których Viktor nie odwracał wzroku od lokalnych wiadomości, dziewczyna leżała spokojnie, otulona kilkoma elektrycznymi kocami, a ciepły strumień prądu wpływał do jej wnętrza przez podłączone do śrub przewody. Jednak pomimo pozornego spokoju w głowie Frankie panował chaos.

Kłamstwa, którymi po powrocie do domu uraczyła Viv i Vika, dręczyły ją bezustannie, niczym zapętlona, upiorna melodyjka pozytywki.

Viveka: Viktor! Coś się stało Frankie!

Viktor: Co takiego? Jesteś ranna? (do Viveki) Czy coś ją boli? (do Frankie) Wszystko w porządku? Gdzie twój parasol?

Frankie: Nic mi nie jest, zmokłam tylko i jestem zmęczona. (Pauza) Tato, wiedziałeś, że wasy gryzoni usuwają blizny?

Viktor: Co? (do Viveki) Czy ona ma halucynacje? (do Frankie) Frankie, rozumiesz, co do ciebie mówię? Wiesz, gdzie jesteś?

Frankie: Tak, tato.

Viktor: Gdzie są pozostałe dziewczyny? (Ojciec bierze ją na ręce i zanosz do łóżka).

Frankie: Po wizycie w bibliotece chciały iść do kina, a ja wam przecież obiecałam, że wrócę na czas. Więc poszłam do domu.

Viveka: I nie podrzuciły cię? (Mama zapala jasne, górne światło i staje nad córką, jakby ją przesłuchiwała).

Frankie: Ee... zaproponowały mi podwiezienie, ale nie chciałam, żeby spóźniły się na seans.

Viktor: Powinnaś była zadzwonić. Pozwolilibyśmy ci iść razem z nimi, szczególnie gdybyś wiedzieli, że wpadniesz na ten genialny pomysł samotnego powrotu w deszczu.

Frankie: Nie było wcale tak strasznie. Po prostu jestem zmęczona. Nie obrażacie się, jeśli się położę?

Viktor: (Przytyka coś mokrego i chłodnego do jej szwów.) Oczywiście, że nie. Nie przeszkadzaj sobie. (Mamrocze coś do Viveki). Wyglądają na przypalone.

Viveka: (też mamrocząc) Pewnie wystrzępiły się na wietrze.

Podczas gdy przejęci przygodą córki rodzice wymieniali jej szwy i otulali ciepłymi kocami, jednocześnie oglądając lokalną stację telewizyjną, Frankie usilnie próbowała wrócić myślami na wymagowaną plażę, po której bez żadnych ograniczeń przechadzała się z Brettern. W końcu - udało się! Niestety, nawet tam lało jak z cebra.

W którymś momencie dziewczyna musiała zasnąć, bo później nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy rodzice wyszli z jej pokoju i zgasili światło. Teraz, rozbudzona, leżała w ciemnościach, wsłuchując się w odgłosy ryjących w trocinach błyszczurów. Zastanawiała się, jak wytłumaczy swoje zniknięcie nowym koleżankom. Okłamanie rodziców to pestka w porównaniu z wymyśleniem przekonującej bajeczki dla grupy rówieśniczek.

HuHuuu!

Frankie wyłączyła Carmen Electrę i uniosła głowę.

HuHuuu!

Albo w ich domu zagnieździła się sowa, albo rodzice eksperymentowali z nowym dzwonkiem w telefonie.

Rzuciła spojrzenie na akwarium błyszczurów, przekonana, że wyczuwając obecność skrzydlatego drapieznika, gryzonie powinny szaleńczo próbować wydostać się z klatki. Szczury spały jednak spokojnie, zwinięte w nieruchome kłębki, połyskując niczym miniaturowe kule dyskotekowe.

HuHuuu!

- Halo? - odezwała się Viveka. W jej głosie, dochodzącym zza ściany, pobrzmiwała troska. - Rozumiem... Będziemy tak szybko, jak to tylko możliwe.

Chwilę później dom wypełniło tupanie bosych stóp na wypolerowanej posadzce, odgłosy przesuwanych drzwi do szafy i plusk wody spuszczonej w toalecie.

W filmach telefony o tak późnej porze zwykle zawiadamiały o czyjejś śmierci. Albo o pożarze, który wybuchł w fabryce. Ewentualnie o przybyszach z kosmosu, którzy znów ułożyli dziwne wzory na kolejnym polu pełnym zboża. To jednak lapło prawdziwe życie. Frankie nie miała pojęcia, co takiego mogło się stać.

Wtem drzwi do pokoju delikatnie uchyliły się. Wąska strużka światła, wpadająca z korytarza, ułożyła się na podłodze niczym japoński wachlarz.

- Frankie? - wyszeptała Viveka, ubrana jak do wyjścia i umalowana.

- Tak?

Dziewczyna zmrużyła w świetle oczy.- Ubierz się. Musimy pojechać w pewne miejsce.

- Teraz? - Frankie rzuciła okiem na telefon. - Jest czwarta rano!

Viveka zapięła czarną bluzę z kapturem, na krótką chwilę odsłaniając niewielkie śruby w szyi.

- Wychodzimy za trzy minuty.

W głębi domu Frankie dostrzegła Viktora, który nalewał kawę do dwóch kubków podróżnych.

Wyskoczyła z łóżka. Podłoga była nieprzyjemnie zimna. Nowe szwy trzymały mocno.

- Potrzebuję przynajmniej pół godziny, żeby nałożyć makijaż i żeby...

- Nie przejmuj się tym - powiedziała Viveka. - Załóż tylko coś z długim rękawem i kapturem.

- Gdzie jedziemy? - spytała Frankie, z jednej strony podekscytowana, z drugiej jednak pełna obaw.

- Wyjaśnię ci wszystko po drodze.

Viveka wyszła z sypialni, zostawiając lekko uchylone drzwi.

Nie padało już, ale wiatr wciąż wiał dość mocno. W błyszczącym od deszczu asfalcie odbijało się srebrne światło księżyca - Frankie pomyślała, że przypomina wielką miskę, pełną mleka. Tańczące po ulicy liście mogłyby zaś udawać płatki śniadaniowe.

- Powiesz mi, gdzie się wybieramy? - zagadnęła Viktora.

Odpowiedział głośnym ziewnięciem. Potem wyprowadził volvo z garażu.

- Jedziemy na... zjazd - odparła Viveka, wciąż dziwnie niespokojna.

- Taki na uniwersytecie?

- Nie, to innego rodzaju spotkanie - odparł Viktor, nie odrywając oczu od tylnych świateł jadącego przed nimi priusa. Zważywszy na wczesną godzinę, ruch uliczny na Radcliffe Way był zaskakująco duży.- Ej, nie urodziłam się wczoraj, tak? Dobrze widzę, że coś jest nie w porządku - wypaliła Frankie.

- Córeczko... - Viveka odwróciła się w jej stronę. Powietrze w samochodzie wypełniło się znajomym zapachem olejku do ciała z gardenii. - Pamiętasz, jak opowiadaliśmy ci, że w Salem mieszkają inni ludzie, podobni do nas?

- Inni RADowcy?

- Dokładnie. Kiedy w naszej społeczności coś się dzieje, spotykamy się, by to przedyskutować.

- Czyli coś się stało? - spytała Frankie, opuszczając szybę i z lubością wdychając chłodne, nocne powietrze.

Viveka przytaknęła.

- Czy to moja wina?

Viveka ponownie pokiwała głową.

Frankie wypuściła kilka iskier.

- Co oni ze mną zrobią?

- Nic ci się nie stanie - zapewniła Viveka. - Nikt nie ma pojęcia, że to ciebie widziano pod tamtą szkołą.

- I co ważniejsze, nikt się nigdy o tym nie dowie - stanowczo dodał Viktor.

- Powinny ci się spodobać nasze małe zebrania - kontynuowała Viveka. - Kiedy dorośli dyskutują, dzieciaki mają okazję, żeby się poznać i spędzić ze sobą trochę czasu.

Frankie poczuła przyjemne mrowienie w okolicy serca.

- Jak to, poznam innych RADowców w moim wieku?

Brett! Brett! Brett! Brett! Brett!

- Tak jest. odparła z uśmiechem Viveka i odwróciła się. - Pani J. jest naprawdę fantastycznym doradcą dla młodzieży. Często prowadzi dyskusje na temat różnych problemów, z którymi się borykacie, i...

- Pani J.? Nauczycielka chemii i biologii? - zapytała Frankie.

- Ciszej, proszę, i zamknijcie okna - szeptem przerwał im Viktor, skręcając jednocześnie w ulicę Front Street. Zaparkował na wolnym miejscu, przy krawężniku, naprzeciw wjazdu na parking i wyłączył silnik. - Ciiiiii - syknął, przykładając palec do ust.

Dokładnie po drugiej stronie ulicy znajdowała się karuzela na nabrzeżu. Malowane figury koni stały uśpione tak jak i reszta Salem. Światła sygnalizacji ulicznej zmieniały kolory dla niewidzialnej widowni. Nawet wiatr przestał wiać.

Na co czekamy? - zastanawiała się dziewczyna.

Z trudem powstrzymywała chęć zaiskrzenia. Nagle do samochodu wpadło migoczące światło latarki.

- Chodźmy - zaordynował Viktor i wysiadł z auta. Viveka i Frankie także wyszły na zewnątrz. Ubrany na czarno mężczyzna, nie odzywając się słowem, wziął od Viktora kluczyki, wsiadł do ich samochodu i odjechał.

Dziewczyna była zbyt przerażona, żeby się odezwać. Spojrzała tylko błagalnie w stronę rodziców stojących na opustoszałym chodniku.

- Nie bój się, on tylko pojechał zaparkować samochód - wyszeptał Viktor. - Chodźcie za mną.

Chwycił je pod ręce i pociągnął w zarośla. Rozejrzał się wokół, nachylił i kilkakrotnie uderzył dłonią w mokrą trawę.

- Znalazłem - powiedział, szarpiąc za coś, co przypominało zardzewiałą kołatkę. Uniósł ukrytą klapę i ponaglącym ruchem nakazał Frankie i Vivece wejść do środka.

- Co to takiego? - spytała dziewczyna, z otwartymi ustami przyglądając się wejściu do podziemnego, brukowanego tunelu, w którego ścianach tkwiły latarnie. Całość pachniała wilgotną ziemią i... niebezpieczeństwem.

- To droga, która prowadzi do RIPu - głos Viktora odbijał się echem. - Czyli na RADowców Imprezę Prywatną.

Frankie wyjaśniała.

- A więc to impreza? - spytała.

- Cóż, czasem bywa... rozrywkowo - odparł Viktor, puszczając oko do żony.

Viveka zachichotała.

Cichy warkot pojedynczych samochodów przejeżdżających nad tunelem wprawiał ściany w wibracje. Frankie nie uroniła jednak ani jednej iskierki. Pełna nadziei na ujście Bretta, grzecznie podążała za rodzicami po wyłożonej kamieniami podłodze, od czasu do czasu podskakując radośnie, jak dziecko, które po raz pierwszy ma zobaczyć Disneyland.

Na końcu krótkiego korytarza napotkali stare, drewniane drzwi, zamocowane na potężnych, żelaznych zawiasach.

- Jesteśmy na miejscu - wyszeptał Viktor.

- Mmm, pachnie frytkami - stwierdziła Frankie i pomasaowała burczący z głodu brzuch.

- To dlatego, że jesteśmy teraz pod budką z fast foodem - wyjaśniła Viveka, podczas gdy Viktor szukał po kieszeniach klucza. - Za chwilę znajdziemy się dokładnie pod karuzelą.

- Ale czad!

Frankie spojrzała do góry, ale zobaczyła jedynie ubłocony sufit, z którego sterczało kilka uszkodzonych haków na latarnie.

- Nie jestem pewna, czy wiesz, ale karuzela została skonstruowana przez RADowców - oznajmiła Viveka, nie kryjąc dumy. - A konkretnie przez bardzo sympatycznych państwa Gorgonów. Pochodzą z Grecji i niegdyś hodowali w okolicy konie. Wydaje mi się, że Deuce, ich syn, chodzi z tobą do szkoły, do równoległej klasy.

Co, chłopak Cleo?! Czy ona wie, z kim ma do czynienia? - zastanawiała się Frankie.

- Gorgonowie zamieniają w kamień wszystko, na co spojrzą - kontynuowała opowieść Viveka. - Pewnego dnia Maddy Gorgon usłyszała zamieszanie w stajni. Okazało się, że

dzieciaki stajennego rzucały kamieniami w gniazdodzikich pszczoł i strąciły je z drzewa. Maddy wbiegła do stajni i z miejsca została zaatakowana przez wściekły rój. Próbuąc odgonić je od twarzy, niechcący strąciła z nosa ochronne okulary. Jej wzrok trafił na konie i razdwa... - Viveka pstryknęła palcami - zwierzęta skamieniały.

- Przez następne pięć lat Gorgonowie pokrywali farbą powstałe w ten sposób końskie figury - Viveka westchnęła na samą myśl o rozmiarach tego przedsięwzięcia. - W końcu, w 1991 roku, pani Gorgon podarowała je miastu - dokończyła. - Och, powinnaś koniecznie poprosić, żeby sama ci o tym opowiedziała! To naprawdę zabawna historia.

- Wierzę - odparła grzecznie Frankie, choć tak naprawdę w tej chwili interesowało ją jedynie to, co znajduje się za drzwiami, przed którymi stali, a nie to, co było nad jej głową.

Klik!

Ze szcękciem otworzyły się wrota do nowego świata.

- Pamiętaj o jednym - zaczął Viktor ostrzegawczym tonem. - Tutaj wszyscy jesteśmy jedną wielką rodziną, ale na górze... - wskazał na miejsce, gdzie powinna znajdować się karuzela. - Nie wolno ci pisać nawet słówkiem na temat RIPu i jego uczestników. Nawet w rozmowie z innymi RADowcami, ani w mailach, esemesach czy na blogu.

- Okej, zrozumiałam.

Frankie przepchnęła się obok ojca i weszła do okrągłego pomieszczenia, rozglądając się za Brettern.

Ubranie w piżamy dzieciaki i młodzi ludzie w różnym wieku pokładali się na kanapach. Najwyraźniej czuli się tu równie swobodnie jak w domu, choć chłodny, kamienny wystrój wnętrza raczej nie wprowadzał przytulnej atmosfery. Wyglądało to na kolejną sprawkę pani Gorgon.

- Czadzior! - krzyknęła Frankie w zachwycie. - Patrzcie, ile tu ludzi!

- Viktor, Viv! - zawołała kobieta w ogromnych okularach przeciwsłonecznych od Diora i otworzyła ramionaw powitalnym geście. Miała na sobie białe lniane spodnie, a włosy upięła wysoko i omotała zielonkawą, morską chustą. Wyglądała zaskakująco szykownie, choć jej strój nie do końca pasował do aktualnej pory roku.

- Maddy, poznaj naszą Frankie - przedstawiła córkę Viveka, pękając z dumy.

Kobieta zakryła usta w zachwycie.

- Och, Viv, jest po prostu boska. Viktor naprawdę się postarał.

Oszołomiona i mile połączona dziewczyna czuła, że z radości unosi się kilka centymetrów nad ziemią. Ktoś uważał ją za piękną mimo jej zielonej skóry! I to ktoś inny niż jej rodzice!

- Miło mi panią poznać, pani Gorgon.

Frankie wyciągnęła dłoń na przywitanie, zupełnie nie dbając o iskrzenie.

- Mów mi Maddy - nalegała nowo poznana. - „Teściowo” też mi pasuje - dodała, po czym nachyliła się nad dziewczyną i wyszeptała jej do ucha. - Jeśli Deuce kiedykolwiek rzuci Cleo, od razu do ciebie zadzwonię.

Kobieta postukała w jedno z ciemnych szkielec swoich okularów.

- Mrugam porozumiewawczo - dodała żartobliwie.

Frankie była zachwycona.

- A teraz musisz mi wybaczyć - zmieniła ton. - Na chwilę porywam twoich rodziców - powiedziała, po czym poprowadziła Viv i Viktora w głąb pomieszczenia. Zniknęli w kamiennymi przejściu.

Kiedy tylko ostatni dorośli opuścili salę, ktoś puścił taneczną muzykę na cały regulator. Wszyscy równocześnie zaczęli więc się w podskokach i tańczyć jak szaleni. Frankie rozejrzała się dookoła. Wyglądało na to, że tylko ona miała szwy i śruby. Dojrzała za to kilku chłopców z węzami zamiast włosów oraz chłopaka i dziewczynę ze... skrzelami, obściskujących się w kącie obok kamiennego kaktusa. Była również pewna, że w tłumie zamajaczyło kilka ogonów i węzowa skóra jakiejś dziewczyny, która tak bardzo przypominała wzór na jednej z wystrzałowych kopertówek marki Fendi, jakie widziała w „Vogue’u”.

- Frankie! - zawołał znajomy głos.

Obróciła się i...

- Lala? Co ty tutaj robisz?

- Mogłabym ci zadać to samo pytanie, ale... - dziewczyna dotknęła miętowej dłoni Frankie. - To chyba dość oczywiste. Poza tym już jakiś czas temu doszły mnie plotki, że twój tata majstruje potomka. Nie podejrzewałam, że... tak czadersko mu wyjdiesz.

Frankie uśmiechnęła się, słysząc swoje ulubione określenie z czyichś ust.

- A więc wiedziałas, kim jestem, kiedy jechałyśmy do spa?

- Miałam przeczucie. Zresztą wszystkie to podejrzewałyśmy - przyznała Lala. - Ale przecież nie wolno nam rozmawiać o tych sprawach na zewnątrz - powiedziała, wskazując na sufit. - Musiałyśmy poczekać do następnego RİPu, żeby potwierdzić nasze przypuszczenia.

- W takim razie - potwierdzam - odparła Frankie, uśmiechając się promiennie i czując lekkość po uwolnieniu się od ciężaru tajemnicy. - A właściwie... ee, kim tak naprawdę jesteś?
- wydusiła w końcu niepewna, czy da się grzecznie zapytać o tego typu sprawę.

Lala zrobiła krok do tyłu, prezentując całą sylwetkę, opuściła ręce wzdłuż bioder i uśmiechnęła się szeroko.

Czarnoróżowe włosy... czarna, satynowa piżama w różowe nietoperze... kaszmirowy szalik i rękawiczki... mocno umalowane oczy... ślady maskary na czole...

- Nie mam zielonego pojęcia - westchnęła Frankie, bezradnie wzruszając ramionami.

- Przypatrz się.

Lala uśmiechnęła się jeszcze szerzej, jak gdyby pozowała przed niewidzialnym fotografem.

- Masz kły! - zawołała Frankie, przekrzykując muzykę. - Najprawdziwsze kły! To dlatego zawsze śmiesz się z zamkniętymi ustami.

Lala przytaknęła z entuzjazmem.

Frankie, zachwycona odkryciem, chciała coś powiedzieć, by wyrazić swoją radość, kiedy usłyszała kolejny znajomy głos.

- Cześć, dziewczyny! - przywitała się Blue, spryskując łuszczącą się skórę na rękach mgiełką do ciała Evian, którą dostała w spa. Z jej przedramion wyrastały trójkątne narośla, przypominające płetwy, palce dłoni i stóp zaś łączyła błona. - Ha, czyli jednak!

Lala uniosła rękę Frankie i wskazała na szwy na nadgarstku.

- Bomba! - wykrzyknęła Blue. Jej płetwy zatrzęsły się z emocji. - Witamy w naszym skromnym gronie!

- Aaaaaaach - ziewnęła zaspana Cleo, człapiąc w ich kierunku. Na nogach miała złote sandały na platformach, a na palcach dłoni kilkanaście ciężkich pierścionków. Poza tym była owinięta jedynie długimi pasmami białego materiału.

- Czy któraś z was wie, co się właściwie wydarzyło? Czyżby znowu kogoś widziano?

Lala wzruszyła ramionami i rozłożyła ręce.

- Widziałyście może Deuce'a? - spytała Cleo.

Lala wskazała na trójkę chłopców, siedzących na kamiennym dywiTiie, kilka metrów przed nimi. Deuce wydawał się pogrążony w transie. Siedział po turecku, jak w zwykłe w ciemnych okularach, i grał na flecie, próbując uspokoić kłębowisko węży, wijących mu się na głowie.

- Ach, te niesforne loki! - zażartowała Lala.

Cleo parsknęła śmiechem, zakrywając usta dłonią, i stanęła tyłem do swojego chłopaka. Karygodne zachowanie na szkolnym korytarzu nie zostało mu jeszcze wybaczone.- Nie mogę uwierzyć, że cię tu widzę! - zawołała Frankie, zaciągając się piżmowymi perfumami koleżanki.

- Cóż, nie mogę powiedzieć, żeby mnie to specjalnie dziwiło - odparła Cleo z uśmiechem zadowolenia na twarzy. - A ty wyskakuj z kasy.

- Nie rozumiem - zdziwiła się Frankie.

- Nie ty! Draculaura! - wyjaśniła Cleo, przewracając oczami. Mimo wyraźnego zmęczenia miała perfekcyjnie umalowane rzęsy. - Byłam pewna, że jesteś jedną z nas już w momencie, w którym zobaczyłam cię po raz pierwszy, więc założyłam się o to z naszą kochaną wampirellą. Teraz wisi mi dziesięć dolców.

- Kim jest Draculaura?

- To moje prawdziwe imię - wyjaśniła Lala, podając Cleo banknot.

Przyjaciółka złożyła pieniądze w kształt piramidy i wetknęła je między pasy materiału.

- Wybacz, ale gdyby moja rodzina dostawała chociaż śladowe tantiemy za te wszystkie tandetne filmy o mumiach, wyprodukowane w Hollywood, albo przynajmniej jakiś procent od sprzedaży kostiumów Kleopatry, nie musiałabym brać od ciebie pieniędzy.

- Bez przesady, wcale aż tak bardzo ich nie potrzebujesz - odparła Lala, zerkając na pierścionie Cleo. - Ale dobrze wiem, o czym mówisz. Wyobraź sobie, ile kasy mogłabym wyciągnąć ze Zmierzchu...

- Też chciałabym móc tak ponarzekać - wtrąciła Blue, wciąż drapiąc skórę na ramionach. - Niestety Potwór Z Czarnej Laguny nie odniósł spektakularnego sukcesu.

- Po czym poznałaś, że jestem RADowcem? - spytała Frankie, zwracając się do Cleo. Zastanawiała się, czy może ktoś jeszcze ją zdemaskował.

- Widziałam, jak zaiskrzyłaś na stołówce, a potem jeszcze raz, w samochodzie Lali.

- A potem w spa... - zachichotała Frankie. - Awaria prądu to twoja sprawka? - spytała Blue.

Zawstydzona Frankie pokiwała głową.

- Fantastycznie! - Lala klasnęła z zachwytem.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, jak bardzo nienawidzę ciemności? - zapytała Cleo. - Czuję się wtedy jak pogrzebana żywcem.

- Wydawało mi się, że słyszałam twój pisk.

- Moja masażystka musiała wynieść mnie stamtąd na barana. Byłam sztywna z przerażenia.

- Chciałaś powiedzieć, że byłaś przerażającym sztywniakiem - przekomarzała się Lala.

Dziewczyny wybuchnęły śmiechem.

- To naprawdę czadowe, że wszystkie jesteśmy RADowcami - Frankie aż drżała z emocji. - Nie przeszło mi przez myśl, że... - zaczęła, ale nie dokończyła zdania.

Drewniane drzwi rozwarły się z hukiem. Do środka weszła grupka zgrabnych, gustownie ubranych - aczkolwiek nadzwyczaj owłosionych - chłopców. W długich palcach każdy z nich trzymał ogromną, papierową torbę z McDonalda. Nie odzywając się słowem do nikogo, usiedli przy kamiennym stole i zaczęli pożerać przyniesione przez siebie big maki.

- Claude! - Cleo zwróciła się do wyglądającego na najstarszego z nich. Miał ciemne, kręcone włosy i był ubrany w piaskowe spodnie i niebieski blezer. - Gdzie zgubiliście waszą siostrę? +

- Siedzi i skamle w tunelu - odparł, nie przerywając żucia. - Znowu obrzucono ją farbą.

Cleo i Lala spojrzały po sobie pełne współczucia.

- Nie musisz od razu ogłaszać tego całemu światu! - zawołała zza drzwi Claudine.

- To przestań wyć i sama im to opowiedz - odparł, rozwijając kolejny hamburger i wydając ze środka kotlet.

- Znowu dzieje się to samo! Powiedzcie mi, co mam robić? - Claudine weszła do pomieszczenia ze łzami w oczach. Szarpnęła sztywną, czerwoną plamę farby, zastygłą na futrze okalającym jej szyję.

- Co się stało? - spytała Cleo, głaszcząc ją po ramieniu.

- To ci aktywiści z PETA. Myślą, że mam na sobie futro.

- Chyba mają swoje powody - stwierdziła Frankie.

- Powiedzmy. Owszem, noszę futro - mówiąc to, Claudine rozpięła granatową kurtkę, odsłaniając bursztynową piżamę. - Tylko że swoje własne!

Frankie zatkało z przerażenia - nie tyle na widok wilkołaczej sierści, wystającej zza dekoltu skąpej, nocnej koszulki, ile na wspomnienie własnych słów. Chyba zasugerowała przecież Claudine, że powinna zdjąć ten futrzany kołnierz, skoro jej gorąco. Gdyby tylko wiedziała!

- Grrr! - warknęła wilczyca. - Gdyby nie ta głupia awaria prądu, byłabym dzisiaj gładka i wywoskowana.

Frankie przycupnęła na oparciu najbliższej kanapy, udając, że poprawia poluzowany szew przy kostce.

- No już, już. Tutaj nic ci nie grozi - powiedziała Cleo, mocno obejmując niepokieszoną likantropkę. - No chodź, przytul się do mumii.

Claudine wybuchnęła śmiechem i otarła mokry nos w zwisający z Cleo kawałek materiału.

- To chyba najgłupszy tekst, jaki kiedykolwiek słyszałam - stwierdziła.

- No nie wiem, komentarz Lali o „niesfornych lokach” był jeszcze gorszy - odcięła się Cleo.

- Swoją drogą - zaczęła wampirzyca Lala, przejeżdżając palcami po ochlapanym farbą futerku Claudine. - Wyglądasz z tym całkiem punkowo.

Wilkołaczka przyjrzała się przyjaciółce uważnie.

- Co się stało z twoim czołem? - zapytała Lalę.

- Tusz do rzęs! - odpowiedziała Blue.

- Też mi nowość - parsknęła Cleo.

- No co? - Lala błysnęła kłębem. - Ja przecież nie mam odbicia w lustrze! Mogłybyście czasem docenić moje starania - odparowała, usadawiając się na kanapie obok Frankie.

- O, a co ona tu robi? - spytała Claudine, dopiero teraz zauważając nowo przybyłą.

Frankie wskazała na śruby w szyi.

- Proszę, proszę - powiedziała z uznaniem wilkołaczka i usiadła obok, zupełnie niewzruszona, jakby całe życie nie robiła nic innego, tylko prowadziła salon przekłuwania szyi.

Frankie przeczytała napis wyhaftowany na jej koszulce: CLAWDEEN*.

- O, nie wiedziałam, że tak się pisze twoje imię - powiedziała. - Nie ma co, trafione.

Clawdeen spojrzała na haft.

- To oryginalna pisownia, wymyślona przez moich rodziców, ale w szkole używam wersji normalskiej. Tak jest prościej. Mniej głupich komentarzy.

W tym momencie do pomieszczenia weszła pani J. Zamknęła za sobą drewniane drzwi i zatrzasnęła zasuwę.

Gdzie podziewa się Brett? - zastanawiała się Frankie.

Westchnęła ciężko. Najwyraźniej nie miał się pojawić. Nie był tym, kim ona.

Powinna o nim zapomnieć.

Pani J. wyłączyła muzykę. Wszyscy znieruchomieli i niczym w znanej z przedszkoli i wesel grze w krzeselka pośpiesznie usiedli na najbliższych siedziskach. Blue otuliła się czerwoną pluszową narzutą i dołączyła do dziewczyn na kanapie.

- Przepraszam za spóźnienie - odezwała się pani J. - Miałam problemy z samochodem.

- Przypomnijcie mi, żebym użył tej wymówki następnym razem, kiedy spóźnię się na biologię - burknął Claude.

Po pomieszczeniu przeszedł szmer rozbawienia.

* Ang. claw - pazur.- Najpierw przydałoby ci się prawo jazdy - zripostowała nauczycielka, wchodząc za kamienną katedrę, umiejscowioną dokładnie naprzeciwko grupki siedzącej na sofie.

- Jeszcze jedenaście dni - oznajmił Claude.

Sala ożywiła się, wszyscy klaskali z zachwytu. Chłopak wstał i kłaniał się wiwatującym. Frankie bardziej interesowała się jednak panią J. Wyróżniała się z grona nauczycielskiego. Nosila okulary w stylu Woody'ego Allena, krótko obcięte włosy, lubiła czerwoną szminkę i miała kolekcję ołówkowych spódnic we wszystkich możliwych odcieniach czerni. Jednakże na tle RADowców wypadła dziwnie blado i nijako.

- Kim ona jest? - wyszeptała Frankie, nachylając się nad Lala.

- To normalna, ale jej syn jest RADowcem, choć sam o tym nie wie. Ona uważa, że tak jest dla niego lepiej.

- Syn? Chodzi o Bretta? - pisała z nadzieją Frankie.

- Coś ty - odparła Lala.

- Nim przejdziemy do właściwego tematu dzisiejszego spotkania, chciałam przedstawić wam najnowszą członkinię naszej społeczności - zaczęła pani J. - Poznajcie Frankie Stein.

Słyszając swoje imię, dziewczyna wstała. Rozległy się oklaski. Powitały ją ciepłe uśmiechy. Była wśród przyjaciół. Chyba nigdy nie czuła się tak dobrze.

- Będziecie mieli okazję poznać ją bliżej po zebraniu, jeśli jeszcze tego nie zrobiliście. Dobrze, zatem do rzeczy... - powiedziała nauczycielka, przerzuciwszy kilka kartek w notatniku. - Jak z pewnością słyszeliście, w szkole Mount Hood High w zeszłym tygodniu widziano podobno jednego z RADowców.

Frankie w napięciu zaczęła skubać szwy przy szyi.

- Podejrzewam, że to jakiś zwykły wygłup, ale normalsi podchodzą do tego incydentu z najwyższą powagą. Część z nich ze strachu pozamykała się w domach...-1 tak powiiiiiiinooo byyyyy! - zawyli bracia Clawdeen, tupiąc głośno, niczym galopujące konie.

- Spokój! - przywołała ich do porządku pani J. - Na świecie jest już wystarczająca ilość nieszczęść. Musimy starać się żyć w pokoju i miłości. Zrozumieliście?! - huknęła.

Chłopcy zamilkli. Zapadła głucha cisza.

- Wracając do tematu - nauczycielka kontynuowała przerwany wątek - musimy zachować szczególne środki ostrożności, dopóki sprawa nie ucichnie. Wszelkie kontakty z normalsami powinny być uprzejme, ale na dystans...

Cleo podniosła rękę.

- Pani J., mam pytanie. Czy kiedy mówi pani o dystansie, to czy, przykładowo, całowanie się z Melosmarkiem wchodzi w grę?

- A kto to taki? Jakaś normalna? - spytała nauczycielka.

Cleo pokiwała głową.

Kobieta zdjęła okulary i spojrzała badawczo na dziewczynę, nie mogąc uwierzyć, że zadała jej tak oczywiste pytanie.

- Skoro tak, to chyba sama znasz odpowiedź.

Deuce wstał z podłogi.

- Cleo, musisz mi w końcu wybaczyć! - wykrzyknął. Wyrastające z jego głowy węże zgodnie zasyczały. - Już ci tłumaczyłem, że wzięła mnie z zaskoczenia. Nie przyłożyłem do tego ręki. Kocham tylko i wyłącznie ciebie.

Cleo zatrzepotała gęstymi (prawdopodobnie sztucznymi) rzęsami.

- Wierzę ci. Chciałam po prostu, żebyś powiedział to przy wszystkich. Zresztą, ona i tak woli Jacksona.

Sala zareagowała salwą śmiechu. Kamienne twarze zachowały tylko pani J. i Frankie. Ta druga nie mogła pojąć, dlaczego chłopcy uważali Melody za taką czadową dziewczynę. Z tego, co rozumiała, ta normalna była najzwyklejszą podrywaczką. - Skończyłaś już swoje przedstawienie, Cleo? - spytała nauczycielka.

- To zależy - odpowiedziała dziewczyna, przenosząc spojrzenie na Deuce'a. - Skończyliśmy?

Deuce pokiwał głową i posłał jej buziaka. Cleo natychmiast odwzajemniła gest. Wtedy chłopak z powrotem usiadł na kamiennym dywanie i nałożył słuchawki na uszy. Rozbudzone przed chwilą gady zwinęły się uśpione.

- Teraz skończyłam - oznajmiła zadowolona z siebie dziewczyna i uśmiechnęła się.

- Niezła robota! - przyznała z uznaniem Clawdeen. Przybiły sobie piątkę.

- Mam nadzieję, że możemy przejść do kwestii... bardziej niecierpiących zwłoki.

Nauczycielka wstała i podciągnęła bufiaste rękawy czarnej bluzki.

- Podczas piątkowego spotkania pracowników szkoły dowiedziałam się, że tegoroczny Bał Wrześniowy ma być zabawą kostiumową z motywem przewodnim.

Blue uniosła płetwiastą dłoń.

- Może Mała syrenka?

- Niestety nie - odparła pani J. - W obliczu podejrzeń o krążących po okolicy potworach uznano, że to świetny pretekst, by tytuł balu brzmiał... - kobieta wzięła głęboki oddech. - Gorączka potwornej nocy.

Reakcja, którą wywołały te słowa, była tak gwałtowna, że Frankie wyobraziła sobie, jak w następstwie tego w znajdującej się nad ich głowami karuzeli pęka oś i ogromne koło zaczyna toczyć się z hukiem po ulicy.

- Nie mają wstydu!

- Zero oryginalności!

- Mielśmy taki bal przebierańców w przedszkolu i już wtedy było do kitu!

- Ciekawe, jak zareagowaliby na Gorączkę normalskiej nocy?- Dobry pomysł, wystarczyłoby, że wszyscy ubralibyśmy się jak na co dzień i moglibyśmy robić same zwyczajne rzeczy.

- Dokładnie! Chociaż nie, przecież jako normalsi nie moglibyśmy nigdzie iść, bo ze strachu przed potworami zostalibyśmy w domu!

- I dobrze zamknęlibyśmy drzwi.

Frankie poczuła rosnące napięcie. Nie dlatego, że drażnił ją pomysł na motyw przewodni balu. Wręcz odwrotnie - właśnie dlatego, że ani odrobinę jej nie przeszkadzał. Podniosła rękę. Wolała zaryzykować i palnąć głupstwo, niż denerwować się w milczeniu.

- Przepraszam, ale czy mogłabym coś powiedzieć?

Jej delikatny głosik nie miał szans, żeby się przebić przez panujący gwar, jednak wystrzelony z palców strumień iskier natychmiast zwrócił uwagę wzburzonej sali. Wszyscy wpatrywali się we Frankie z wyczekiwaniem. Dziewczyna czuła się dziwnie spokojna. Była pewna, że jej słowa zrobią na nich większe wrażenie niż minipokaz fajerwerków, który właśnie urządziła.

- Hmm... uważam, że Gorączka potwornej nocy to wcale nie taki zły pomysł.

Sala zaszumiała z oburzenia. Cleo wymierzyła koleżance kopniaka, zupełnie jak w samochodzie. Jednak pani J. dwukrotnie zaklaskała w dłonie, uciszając wszystkich, i oddała głos Frankie.

- Moim zdaniem to, że normalsi chcą wyglądać tak jak my, powinniśmy odbierać jako komplement - zaczęła. - Czy naśladownictwo nie jest najpopularniejszą formą schlebiana?

Część zgromadzonych zaczęła kiwać głowami, rozważając słowa Frankie.

- A kto z nas nie ma powyżej uszu naśladowania ich stylu? - kontynuowała dziewczyna.

Lala i Blue zaczęły bić brawo. Słyszając ich wsparcie, Frankie poczuła, że nabiera mocy. Może to jakiś znak. Może normalisi są gotowi na zmiany. Może powinniśmy im pokazać, że nie muszą się nas obawiać. Może trzeba dać im szansę zobaczenia nas takimi, jakimi jesteśmy, i pójść na bal bez kostiumów.

W sali zawrzało jak w ulu. Pani J. podniosła dłoń w uciszającym geście.

- Co dokładnie sugerujesz? - zapytała.

Frankie szarpnęła za szew na szyi.

- Chodzi mi o to, że skoro tematem bilu przebierańców mają być potwory, moglibyśmy pójść nieprzebrani. Zakładając, że wszyscy świetnie by się ze sobą bawili, w pewnym momencie moglibyśmy po prostu... pokazać im, że nie mamy na sobie żadnych kostiumów czy masek. Na pewno zrozumieliby, że jesteśmy niegroźni, i w końcu moglibyśmy żyć całkiem otwarcie wraz z normalsami.

Zapadła martwa cisza.

- W końcu mógłbym rozpuścić włosy - zażartował Deuce, przerywając milczenie.

- A ja zdjąć ten idiotyczny sweter - dodał Claude.

- Mogłabym uśmiechać się szeroko, pozując do zdjęć - rozmarzyła się Lala.

- Co za różnica - odparła rozbawiona Cleo. - I tak nie widać cię na zdjęciach.

Lala obnażyła kły. Cleo przewróciła oczami. Obie zaśmiały się serdecznie.

- Proponuję głosowanie - odezwała się nauczycielka. - Kto jest za ujawnieniem tożsamości w trakcie Balu Wrześniowego?

Frankie uniosła dłoń. Była sama.

- Kto głosuje za pozostaniem w ukryciu?

Wszyscy pozostali podnieśli ręce. Pani J. - obydwie.

- Serio? - zapytała z niedowierzaniem Frankie.

Usiadła speszona, nie patrząc na nikogo. Zresztą jej również nikt specjalnie się nie przyglądał. Z początku zalała ją fala rozczarowania i wstydu. Szybko jednak została wyparta przez poczucie wszechogarniającego smutku i beznadziei.

Czego tak bardzo się obawiali? Jak cokolwiek miało się zmienić, jeśli pozostaną bierni? Czy kiedykolwiek będzie mogła zatańczyć z Brettem na opuszczonej plaży?

- Wynik głosowania: czterdzieści trzy do jednego - oznajmiła nauczycielka.

- Do dwóch - rozległ się chłopięcy głos.

Frankie rozejrzała się po pomieszczeniu, szukając stronnika, ale nie mogła nikogo dostrzec.

- Tutaj jestem! - odezwała się unosząca się tuż nad nią naklejka. Napisano na niej: CZEŚĆ, NAZYWAM SIĘ BILLY. - Hej, chciałem, żebyś wiedziała, że głosowałem za twoim pomysłem.

- Czadowo - odparła Frankie, starając się wzbudzić w sobie entuzjazm. W niedoli liczył się każdy sprzymierzeniec. Nawet niewidzialny.

- A więc co będziemy robić? - zawołała pani J.

- Ukrywać się z godnością! - zawołała jednogłośnie sala.

A raczej - prawie jednogłośnie. Frankie siedziała w milczeniu.

ZAGUBIONY ROZDZIAŁ

(KTÓREGO PECHOWY NUMER NIE POWINIEN SIĘ TU POJAWIĆ)

ROZDZIAŁ 14

KRYJ SIĘ I KRZYCZ

- Czy ktoś z was może mi powiedzieć, co to jest autotrof? - zapytała pani J. na lekcji biologii. Losowała zagadnienia z wielkiego pudełka, pełnego fiszek.

Dokładnie pokryta Trwałym Urokiem dłoń Frankie wystrzeliła do góry. Większość jej przyjaciółek ziewała jeszcze po nocnym zebraniu, ale ją wręcz rozsadzała energia. Oczywiście w stosownych granicach.

- Słucham, Frankie? - zwróciła się do niej nauczycielka.

- Autotrof to organizm, który wytwarza energię życiową bezpośrednio z promieni słonecznych.

- Bardzo dobrze - pochwaliła opiekunka i wyciągnęła kolejną karteczkę. - Czym jest stan anabiotyczny?

Dziewczyna ponownie zgłosiła się do odpowiedzi, w duchu żałując, że nie wybrała innego żakietu. Tweed był taki sztywny i gryzący! Dobrze, że Lala pożyczyła jej różowy szal z kaszmiru - dzięki temu mogła przynajmniej obniżyć drapiący kołnierzyk. Czuła się jednak dość nieswojo, siedząc w ciepłej klasie z owiniętą szyją. Co będzie następne? Kołnierz ortopedyczny? Plastikowa osłonka pooperacyjna dla psa? A może futrzana etola Clawdeen? Pani J. obrzuciła badawczym wzrokiem wszystkie cztery rzędy ławek. Jej orzechowe oczy przyglądały się uważnie każdemu uczniowi z osobna, zupełnie jak gdyby do wczorajszych wydarzeń w ogóle nie doszło.

Lala, Cleo, Clawdeen i Blue również zachowywały się dokładnie tak jak zawsze. Ubrane całkiem zwyczajnie, siedziały i pisały do siebie liściki, przeczesywały włosy w poszukiwaniu rozdwojonych końcówek, skubały skórki przy paznokciach... Czyli robiły wszystko li), co pozostałe znudzone lekcją dziewczyny.

Jedyną osobą, wykazującą jakiekolwiek zainteresowanie RADowcami, był Brett. Siedział tuż obok Frankie i był zajęty ryciem postaci zombie w blacie swojej ławki. To musiał być znak. Ich wspólne dni na plaży zbliżały się nieuchronnie.

- Tak, Frankie? - spytała pani J. Wydawała się znużona lekcją, którą prowadziła.

- Anabioza to czasowy stan wstrzymania lub znacznego ograniczenia czynności życiowych.

- Dobrze - pochwaliła nauczycielka i wybrała kolejną fiszkę. - Co w takim razie oznacza biotyczny?

- To jak u cyborgów! - wypalił Brett. - Steve Austin był biotyczny w tym starym serialu Six million dollar man.

- Kto? - spytała Bekka z cieniem zazdrości w głosie.

- To był genialny serial - ciągnął ożywiony chłopak. - Steve potrafił biec z prędkością stu kilometrów na godzinę, miał w oczach kilkunastokrotny zoom optyczny i...

- Pomyliłeś słowo „biotyczny” z „bioniczny” - poprawiła go pani J. Po klasie przeszedł cichy chichot.

Frankie ponownie podniosła rękę, chcąc udowodnić Brettowi, że dysponuje czymś więcej niż tylko ładną buzią.

- Może ktoś inny zna odpowiedź? - westchnęła nauczycielka.

W klasie zapanowała wymowna cisza.- Biotyczny oznacza „żyjący” - powiedziała Frankie, po cichu dziękując rodzicom za ich biologiczne pasje.

- Dobrze.

Pani J. ostrożnie ujęła kawałek kredy w dwa palce, starając się uchronić swoją czarną odzież od pyłu zalegającego na listwie pod tablicą.

- Jak powinniście wiedzieć, wszystkie elementy tego świata są albo...

Frankie jeszcze raz uniosła dłoń i od razu zadała pytanie;

- Czy nieumarłych można zaliczyć do stworzeń anabiotycznych?

Lala, Cleo, Clawdeen i Blue uniosły głowy i wymieniły przerażone spojrzenia.

Nauczycielka zdjęła grube okulary.

- Słucham?

Frankie nie zamierzała przejmować się potencjalnymi wymówkami ze strony tak zastraszonej osoby, która uważała na każde wypowiedane słowo. Rozbudzanie świadomości w kwestii różnorodności organizmów zamieszkujących świat mogło być pierwszym krokiem w kierunku zmian na lepsze. Poza tym w ten sposób z pewnością zyska uznanie Brett.

- Jaki status mają zombie? Albo wampiry czy upiory? Jak powinniśmy je klasyfikować?

- No właśnie! - podjął Brett. - Jak dla mnie zombie są zdecydowanie anabiotyczne.

Uśmiechną się do Frankie. Dziewczyna rozpromieniła się z radości. Bekka, siedząca obok chłopaka, ze złości kopnęła metalową nogę jego krzesła.

Pani J. z trzaskiem odłożyła kredę na listwę pod tablicą.

- Wystarczy tych głupot! To lekcja biologii. Mówimy tu o istotach istniejących naprawdę, a nie o jakichś tam mitycznych wymys...

Eeeeeooooo eeeeeooooo eeeeeooooo... - rozległ się dźwięk alarmu.- Wejdźcie na ławki! - zawołała pani J., wdrapując się na swoje biurko.

Nikt się nie poruszył. Uczniowie patrzyli po sobie zdziwieni, zastanawiając się, na czym polega ten dowcip. Nie wiedzieli, jak wytłumaczyć sobie jednocześnie wycie alarmu i histerię nauczycielki.

Eeeeeooooo eeeeeooooo eeeeeooooo...

- Ruszcie się! To ćwiczenia na wypadek zagrożenia!

Tym razem klasa wykonała polecenie bez szemrania.

- Co za szczęście, że włożyłam dziś buty na płaskiej podeszwie - wymamrotała Cleo, podziwiając wykończenie swoich gladiatorów na siedmiocentymetrowych koturnach.

Dziewczyny parsknęły śmiechem. Jednocześnie zastanawiały się, o jakim niebezpieczeństwie mówi nauczycielka.

- Cisza! - rozkazała pani J.

Eeeeeooooo eeeeeooooo eeeeeooooo...

- Lepiej niech pani uciszy to wycie - warknęła Clawdeen. Z całej siły zatykała uszy, a jej twarz wykrzywił grymas bólu. - Zaraz ogłuchnę!

Eeeeeooooo eeeeeooooo eeeeeooooo...

- Może masz superczułe bioniczne uszy - zażartował Brett.

- Albo psie zmysły - dodała Bekka.

- No tak, ty na pewno się na tym znasz - syknęła Clawdeen. - Jesteś tak piegowata, że zupełnie by mnie nie zdziwiło, gdybyś okazała się córką dalmatyńczyka.

Bekkę aż zatkało z oburzenia. Popatrzyła wyczekująco na Brett. Jednak chłopak nie był w stanie powiedzieć nic w jej obronie. Z wielkim trudem powstrzymał się od wybuchnięcia śmiechem.

Eeeeeooooo eeeeeooooo eeeeeooooo...

- A teraz chwycie za krzesła i wymachujcie nimi w powietrzu, jakbyście chcieli dźgnąć stojącego przedwami przeciwnika - poleciła pani J., demonstrując, jak należy wykonać zadanie. W czarnej spódnicy, satynowej bluzce i z krwistoczerwoną szminką na ustach przypominała szykowną poskramiaczkę lwów.

- Róbcie przy tym tyle hałasu, ile tylko potraficie.

Rozejrzała się po klasie. Niektórzy dopiero podnosili swoje krzesła, inni niezdarnie wymachiwali nimi w powietrzu. Nawet najbardziej pilni uczniowie nie potrafili zmusić się do krzyku.

- Co my właściwie wyprawiamy? - zapytała Cleo. Nie zamierzała mocować się z ciężkim krzesłem bez poznania powodu całego zamieszania.

W szkolnych korytarzach słysząc było dobiegające z sal krzyki, dzikie zawrozczenia i głośna tupanina. Najwyraźniej inne klasy przystąpiły do wykonania dziwnego ćwiczenia z większym entuzjazmem.

- To tylko próba na wypadek zagrożenia - powtórzyła pani J., dźgając powietrze nogami od krzesła.

Eeeeeooooo eeeeeooooo eeeeeooooo...

- Jakiego zagrożenia? - spytało kilka głosów jednocześnie.

- Spowodowanego pojawianiem się potworów. Zadowoleni? - odpowiedziała nauczycielka.

- Nie wierzę... - wycedziła Lala przez zaciśnięte usta.

Pani J. odstawiła krzesło.

- Po wydarzeniach w Mount Hood High dyrektor Weeks postanowił, że lepiej być przygotowanym na każdą ewentualność - wyjaśniła.

Serio? Frankie niesłuchanie drażnił suchy i rzeczowy ton wypowiedzi nauczycielki. Naprawdę zupełnie jej ta sytuacja nie przeszkadza? - zastanawiała się dziewczyna.

- Huraaa! - krzyczał Brett. Wymachiwał krzesłem na wszystkie strony i wydierał się jak nawiedzony wojownik.

Pozostali normalni również podjęli grę. Frankie rozumiała ich zachowanie. Odziedziczyli przerażenie po swoich rodzicach. Skoro jednak nawet szkoła uczyła ich strachu przed obcymi, to kto miał im pokazać, że nie ma się czego bać?

Lala, Cleo, Blue i Clawdeen, zawstydzona, spuściły głowy. W milczeniu machały swoimi krzesłami, zupełnie bez przekonania.

Frankie naprawdę chciała umieć zachować się tak jak przyjaciółki. Powinna była odrzucić swoje przekonania i poświęcić się dla dobra ogółu. Zakpić z samej siebie, zamiast rozkoszować się odmiennością. Z godnością wmieszać się w tłum...

Jednak nie potrafiła. Na samą myśl o kapitulacji czuła, jak jej serce zmienia się w kamień. Próby wtopienia się w otoczenie to jedno. Udawanie, że przerażają sami siebie - to zupełnie inna sprawa. Strach rodzi strach. To właśnie pokazywały filmy grozy,

źródło tej chorej sytuacji. Dopóki ludzie trwali w szponach przerażenia, nic nie mogło się zmienić.

Eeeeeooooo eeeeeooooo eeeeeooooo...

Frankie wypuściła krzesło z dłoni. Upadło na podłogę z jękiem odmowy. W tym samym momencie Melody, druga nowa dziewczyna w klasie, zrobiła dokładnie to samo.

- Podnieście je szybko, dziewczęta. Razraz! - poleciła pani J., nieświadoma ich buntu.

- Ale ja nie boję się potworów - odparła Frankie, panując nad iskrzeniem.

Brett przerwał swoje szaleńcze ryki i spojrzał na dziewczynę z zainteresowaniem. Kosmyki włosów sterczały mu na wszystkie strony, ale jego ciemnoniebieskie oczy spoglądały tylko i wyłącznie w jej kierunku.

- Cóż, może zmieniałabyś zdanie, gdybyś jakiegoś spotkała - groźnym tonem odparła nauczycielka.

- Ale fajne - wyszeptał Brett.

Frankie spojrzała na niego.

- Ale co? - spytała.

Wskazał na jej szyję. Poczuła przechodzący po plecach, elektryczny dreszczyk. W całym tym zamieszaniu poluzował jej się szalik. Śruby były doskonale widoczne!

- Genialny piercing - powiedział z uznaniem chłopak, po czym otworzył usta i zaprezentował srebrny kolczyk na środku języka.

- Nieźle - zachichotała Frankie.

W tym momencie ucichło wycie alarmu.

- Proszę wrócić na swoje miejsca - z głośników szkolnego radiowężła rozległo się polecenie dyrektora Weeksa. - Cieszymy się, że to tylko ćwiczenia. Chcemy, by nasza szkoła była odpowiednio przygotowana na wypadek zetknięcia się z potworami.

Frankie przewróciła oczami. Gdyby tylko ten człowiek zdawał sobie sprawę, że jeden z jego „groźnych potworów” jest geniuszem z biologii...

- A teraz, drogie istoty ludzkie i nieludzkie... - zaśmiał się z własnego, słabego dowcipu - chcemy udowodnić tym okropnym kreaturom, że ani trochę się ich nie boimy!

W klasie wybuchnęły okrzyki poparcia.

- W związku z tym temat przebrań na tegoroczny Bal Wrześniowy brzmi... GORĄCZKA POTWORNEJNOCT. - oznajmił i odczekał chwilę, aż wybrzmiały ostatnie piski zachwyty.

- Para, która przyjdzie w najciekawszych kostiumach, wygra kupon na obiad i rejs po rzece Willamette na pokładzie WillamettQueen, a więc radzę wam postarać się jak najlepiej!

Muahahahaha hahaha! Auuuuuuuuu! - rozłączył się, śmiejąc się szaleńczo. Uczniowie podnieśli wrzawę.

Frankie pod ławką niespokojnie skubała szwy. Czuła się strasznie zażenowana.

- Przebiorę się za Frankensteina! - zawołał Brett.

- A ja będę twoją uroczą narzeczoną - wykrzyknęła Bekka. Chwyciła go pod rękę i rzuciła Frankie wyzywające spojrzenie. Krótka rozmowa na temat piercingu nie uszła jej uwagi.

Frankie miała wielką ochotę powiedzieć im, że będą tylko marną imitacją jej dziadków, że prawdziwa suknia ślubna narzeczonej Frankensteina leży schowana w pudle w garażu jej ojca, i że babcia Frannie tańczyła na weselu na bosaka, bo buty obtarły jej szwy, więc dziadek rozkazał wszystkim zaproszonym mężczyznom rzucić marynarki na podłogę, żeby ukochana nie ubrudziła sobie stopek. Z tego, co zrozumiała, ta historia była jednak zbyt przerażająca dla biednych normalsów.

Frankie zgarbiła się na krześle i skrzyżowała ramiona w geście protestu. Wodziła ponurym wzrokiem za panią J., wysyłając w jej kierunku pogardliwe spojrzenia. Jedyna osoba, która mogła zapobiec temu upokorzeniu, nie zrobiła zupełnie nic. Nauczycielka unikała jednak wzroku dziewczyny i zajęła się przeglądaniem materiałów z lekcji.

Rozległ się upragniony dzwonek.

- Frankie, poczekaj chwilę - poprosiła pani J., wciąż przekładając papiery.

Lala, Cleo, Blue i Clawdeen pospiesznie zebrały swoje książki i wyszły z klasy, zupełnie nie zwracając uwagi na przyjaciółkę. Normalsi zbierali się dużo bardziej opieszale, prześcigając się w pomysłach na kostiumy i szeptem wymieniając nazwiska osób, z którymi chcieliby pójść na bal.

Gdy klasa opustoszała, Frankie podeszła do biurka nauczycielki.

Pani J. zdjęła okulary i z głośnym stukiem położyła je na drewnianym blacie.

- Co ty sobie wyobrażasz?! Zdajesz sobie sprawę z tego, jak wiele ryzykujesz takim zachowaniem?

Frankie zaiskrzyła.

Kobieta wzięła głęboki oddech.

- Posłuchaj - zaczęła, nakładając z powrotem okulary. - Wiem, że to wszystko jest dla ciebie nowe. Rozumiem twoją frustrację i to, że chciałabyś zmienić istniejący porządek. Nie ty jedna to przeżywasz. Każda z twoich przyjaciółek przez to przechodziła. Ja również. W swoim czasie wszyscy próbowaliśmy coś zrobić, ale w końcu zdaliśmy sobie sprawę, że o wiele łatwiej, a przede wszystkim bezpieczniej, jest podążać z prądem.

- Ale...

- Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałabym wejść do jego gabinetu - ciągnęła, wskazując na głośnik, z którego wcześniej wybrzmiało obwieszczenie dyrektora Weeksa - i wytłumaczyć mu, że ten durny taniec z krzesłami jest całkowicie zbędny. I że to upokarzające dla nas wszystkich.

- Ale...

- Naprawdę, o niczym innym nie marzę. Chciałabym powiedzieć mu właśnie to i jeszcze dużo innych rzeczy.

Zacisnęła szczękę.

- Ale nie mogę. Muszę chronić mojego syna. Jestem samotną matką i jego dobro jest dla mnie najważniejsze.

- Przecież właśnie mówiąc to wszystko, mogłaby mu pani pomóc - odparła dziewczyna. - Wszystko zmieniłoby się na lepsze i żyłby bezpieczniej niż teraz.

- Owszem. W idealnym świecie na pewno wszystko skończyłoby się happy endem - przyznała pani J., podpierając głowę dłońmi. - Ale nie w tym. Frankie, gdybyśmy wyszli z podziemia, musielibyśmy opuścić Salem i szukać nowego miejsca. Cofnęlibyśmy się do początku zeszłego stulecia.

- Cóż, wszystkie te ćwiczenia już mają pewien posmak terroru...

- To nic w porównaniu z wydarzeniami z lat trzydziestych. RADowcy musieli oddać wówczas wszystko, co posiadali. Niektórzy stracili nawet życie.

Nauczycielka z czułością poprawiała różowy szalik na szyi Frankie, tak by zakrywał śruby.

- Pewnego dnia wszystko się zmieni, ale na razie proszę cię - w imieniu całej społeczności - nie wychodź przed szereg. Po prostu podejmij grę - powiedziała i uśmiechnęła się ciepło. - Myślisz, że jesteś w stanie to zrobić?

Dziewczyna westchnęła ciężko.

- Proszę cię, Frankie.

- No dobrze.

- Jestem ci bardzo wdzięczna.

Pani J. uśmiechnęła się szeroko. W kontraście z krwistoczerwoną szminką jej zęby zdawały się wręcz nienaturalnie białe.

Nie odzywając się więcej, Frankie zebrała swoje podręczniki i wyszła z sali. Włączyła się w strumień uczniów na korytarzu i pogрузzyła w zadumie. Co rusz dobiegały ją urywki pełnych ekscytacji rozmów o kostiumach na bal. Nie mogła wyzbyć się wrażenia, że jej

rówieśnicy są bardziej otwarci i tolerancyjni niż przedstawiciele pokolenia rodziców. Owszem, czirliderki z Mount Hood High oszalały z przerażenia na jej widok, ale to była w stanie zrozumieć. Nigdy wcześniej nie widziały przecież nikogo z miętowo zieloną skórą. Ich reakcja była całkowicie naturalna.

Zastanawiało ją, czy tamte dziewczyny zareagowałyby tak samo, gdyby wcześniej weszły na jej profil na Facebooku. Gdyby zobaczyły, co lubi. Obejrzały filmiki, na których tańczy z błyszczurami w rytm hitów Lady Gagi. Przeczytały o jej zauroczeniu Brettem. Dodały ją do znajomych. Czy wówczas nadal byłaby dla nich przerażająca? Pytanie to dźwięczało w głowie Frankie przez całą drogę na kolejną lekcję. Za każdym razem dochodziła do takich samych wniosków: skoro rozpętała to zamieszanie, musi je zakończyć.

Owszem, postanowiła dotrzymać obietnicy złożonej panij.

Zamierzała jednak trzymać się własnych zasad w tej grze.

ROZDZIAŁ 15

MIŁOŚĆ CI WSZYSTKO WYPACZY

Zapadał zmierzch. Przytłumione światło, nadające wszystkiemu odcień przybrudzonego śniegu, stopniowo gasło, tak jakby było kontrolowane przez elektryczny, pokojowy ściemniacz. Okolicę brała w swoje władanie ciemność, która zdawała się wypływać z lesistego parowu za domem Jacksona. W przytłumionym świetle krzaczaste, powyginane drzewa bez trudu oszukiwały nieuważne oko i przyjmowały kształty wątych sylwetek pochylonych starców.

Choć od razu po lekcjach przestało padać, z liści drzew wciąż od czasu do czasu skapywały ciężkie krople. Miejscowi określali to zjawisko mianem „drzewody”. Szkoda, że nie wymyślili równie uroczej nazwy na dokuczliwe zimno, które przy takiej pogodzie przenikało człowieka do kości. Brett twardo obstawał przy tym, że to właśnie idealne warunki, by zacząć kręcić jego wymarzony film: Kroniki polowań na potwory. Bekka nie była tego taka pewna. Nie miała za to wątpliwości, że chłopak się spóźnił. - Mam nadzieję, że nic mu się nie stało - zastanawiała się. Siedziała na powalonym konarze, owinięta wraz z Haylee jednym z termicznych koców turystycznych, które Melody pożyczyła od ojca. Wykonano je ze srebrnej, ponoć termoaktywnej, foliowej osłonki, w której schowany był polarowy materiał. Miały zapewniać komfort zdobywcom najwyższych górskich szczytów. Melody czuła, że równie dobrze mogłaby odrzucić okrycie. Oieplo bijące od siedzącego obok niej Jacksona ogrzewało ją wystarczająco.

Na wstępie Melody próbowała wymigać się od udziału w tym osobliwym projekcie, który po cichu ochrzciła jako Brett Witch Project. Była już umówiona na wspólną naukę z Jacksonem i choć on mógł nie zdawać sobie z tego sprawy, ich również czekało w pewnym sensie filmowe zadanie. Wypadało przecież powtórzyć, i to najlepiej kilkakrotnie, dla uzyskania najlepszego ujęcia, scenę pocałunku w sypialni, tak obcesowo przerwana przez matkę.

Jackson stał obok Melody, kiedy Bekka zaproponowała jej udział w wieczornym przedsięwzięciu i zamiast siedzieć cicho, podrzucił pomysł, że na zarośniętych tyłach jego posesji można by nakręcić kilka scen. W zaniedbanym od lat wąwozie rośliny rosły bujnie, zupełnie niczym nieskrępowane. Gdy tylko zapadł zmrok, rozlegało się wycie kojotów - a może wilków? Bekka zgodziła się - miejsce było naprawdę idealne - i napisała do Brett.

- Może robi coś z tą nową dziewczyną? - rzuciła i jeszcze szczelniej owinęła kocem siebie i Haylee, tak że przypominały teraz wielki, srebrny kawałek sushi.

- To znaczy z kim? - zapytała Melody, zaciągając się tropikalną nutą własnych perfum. W nieprzepuszczalnej przestrzeni pod kocem ich woń mieszała się z oleistym zapachem resztek pasteli na dłoniach Jacksona. W połączeniu pachniały jak pierwsza miłość.

- Z Frankie Stein - odparła Haylee.- No wiesz, to ta z tą okropną tapetą na twarzy - dodała Bekka.

- Niby dlaczego Brett miałby się z nią zadawać? - zapytał Jackson, udając, że wczuwa się w dramatyczny ton rozmowy. Melody spojrzała na niego rozbawiona.

- Nie mam pojęcia - odparła Bekka, po czym poprawiła luźną spinkę, wysuwającą się z jej falowanych kosmyków, i zaczesła włosy do tyłu. - Ale też miałbyś wątpliwości, gdybyś widział, jak beczelnie flirtowała z nim dziś na biologii. Dziwię się, że twoja mama nie powiedziała na ten temat ani słowa.

Jackson odchrząknął gwałtownie, usiłując zdusić wybuch śmiechu.

- Mama w ogóle niewiele ostatnio mówi. Przebąkuje tylko, że jest „bardzo zdenerwowana” czymś, co za bardzo „Ją denerwuje”, żeby w ogóle o tym rozmawiać - powiedział, wzruszając szybko ramionami, gdy wymawiał słowa „zdenerwowana” i „denerwuje”.

- Ej, przestań się wiercić - zaśmiała się Melody, opatulając ich na powrót luźnym kocem. - Wpuszczasz zimno!

- Ajć, przepraszam - powiedział z zakłopotaniem, wtulił się w dziewczynę i uśmiechnął... nie do końca tak jak uśmiechają się zwykli kumple.

Mimo luźnych kosmyków, które opadały wzdłuż jej twarzy i mało atrakcyjnych dresów, których nie zdążyła przebrać po lekcji WFu, Melody poczuła się piękna i to w sposób, który nie miał nic wspólnego z symetrią rysów.

- Zdenerw<j*vana, mówisz... Ciekawe, czy ma to coś wspólnego z tym dziwnym alarmem przeciwpotworowym - zagadnęła dziewczyna rozbawionym tonem. - Co to w ogóle miało być?

- Prawda, wyglądało to dość nedorzecznie - przyznała Bekka - ale jeśli dzięki temu mamy czuć się bezpieczniej...

- A co nam właściwie zagraża? - spytała Melody, w duchu zastanawiając się, czy ten dziwaczny taniec z krzesłami mógłby odstraszyć cokolwiek większego i silniejszego od nietoperza. - Nawet jeśli przyjąć, że potwory istnieją naprawdę, to co? Czy kiedykolwiek kogoś skrzywdziły? Kto wie, może tak naprawdę są całkiem przyjazne?

- Czemu tak ich bronisz? - zapytała podejrzliwie Bekka. Rozluźniła kokon i nachyliła się w stronę Melody, przyglądając się jej badawczo.

Dziewczyna chciała odpowiedzieć: „Bo doskonale wiem, jak to jest, kiedy inni oceniają cię po wyglądzie. Potrafię sobie wyobrazić, jak czuje się taki potwór”. Zamiast tego wzruszyła tylko ramionami i wymamrotała:

- Nie wiem, tak tylko się zastanawiam.

Jednak Bekka nie zwracała już na nią uwagi. Wstała z kłody tak raptownie, że uwięziona z nią pod kocem Haylee omal nie wylądowała w stercie mokrych liści.

- Sorry - rzuciła w roztargnieniu. - Jednak przyszedłeś! - zawołała w stronę migoczącego światła latarki.

- Przecież mówiłem, że będę - odkrzyknął Brett, przedzierając się przez krzaki. Jego ciężkie buty turystyczne miażdżyły opadłe liście w drobny mak niczym opony ciężarówki. W czarnym kapeluszu i brązowym swetrze w czerwone paski wyglądał jakby albo chciał złożyć hołd Freddy'emu Kruegerowi, albo po prostu sam nim był. Jego kumpel, Heath, kroczył kawałek za nim, taszcząc dwie kamery i sprzęt do nagrywania dźwięku.

- Cześć, Heath! - zawołała Haylee i zamachała na przywitanie tak gwałtownie, jak gdyby odganiała naprzykrzającego się komara.

- Hej, Hay! - chudy jak szczapa rudzielec zaśmiał się z własnego żartu i postawił toboły u jej stóp.

Stało się jasne, że wyjątkowy strój Haylee miał uzasadnienie. W ten zimny wieczór włożyła złote legginsy i krótką, satynową sukienkę z tiulowym dołem. Wołała trząść się z zimna, niż pokazać się chłopakowi w swojej łososiowej puchówce. Heath stanowił jej całkowite przeciwieństwo. Miał na sobie luźne, poszarpane džinsy i najzwyklejszą w świecie czarną bluzę z kapturem.

- Niezła miejscówka, co? - powiedział z uznaniem Brett i przybił „żółwika” z Jacksonem. - Stary, gdyby to był mój ogródek, codziennie bym tu nocował.

- Nie bałbyś się? - spytała Bekka, spiesząc ku niemu z kocem termicznym.

- Jasne! O tym właśnie mówię. Jestem uzależniony od zapachu własnych hormonów - odparł Brett, po czym przyciągnął dziewczynę i mocno pocałował, nie zważając na towarzystwo.

Haylee i Heath szybko zabrali się za rozpakowywanie kamer. Melody odwróciła się zażenowana.

Samo patrzenie na inną parę, złączoną w pocałunku, sprawiało, że czuła się niezręcznie, szczególnie siedząc tak blisko chłopaka, na którego aż chciała się rzucić. Miała

wrażenie, że została zdemaskowana. Bała się, że Jackson bez trudu odczytuje wszystkie jej myśli.

Po nieprzyzwoicie długiej chwili Brett spróbował oderwać się od ust Bekki, najwyraźniej jednak bez ich zgody. Rozległo się głośnie mlaśnięcie. Twarze pozostałych wykrzywił grymas.

- Ekipa, do roboty! - zaordynował Brett, rozglądając się wokoło. - Tracimy światło. Heath, Jackson, chodźcie ze mną. Potrzebujemy kilku grubszych gałęzi, z których zrobimy statyw. W scenie rozczłonkowania potwora chcę, żeby jedna z kamer była unieruchomiona.

Heath zebrał sprzęt.

- Jasne. Już idę - powiedział, ociągając się, Jackson. Wygrzebał się z termicznego kokonu i zniknął razem z dwójką chłopców w gęstym lesie.

Haylee wyciągnęła z krzaków znienawidzoną puchówkę, szybko wciągnęła ją na siebie i dołączyła do dziewczyn siedzących na powalonej kłodzie.

- Jackson wydaje się o wiele fajniejszy, niż myślałam - wyszeptała Bekka.

- Tak, jest całkiem w porządku - odparła Melody, jak gdyby nigdy nic.

- Wierzysz w tę jego historię o napadach amnezji? - dociekała przyjaciółka. - Naprawdę myślisz, że nie wiedział, z kim się całuje w stołówce?

Haylee wyciągnęła z torby telefon i zaczęła stukać w klawiaturę.

- Cóż, nie wszyscy mają takie problemy z opanowaniem zazdrości, jak ty - ucięła Melody. Jednak tak naprawdę wcale nie czuła się pewnie. Po prostu bała się, że podejrzenia przyjaciółki nie są bezpodstawne. - Ja mu ufam - zakończyła.

- To dobrze - stwierdziła Bekka. Wstała, kołysząc frędzlami swojej oldskulowej, zamszowej kurtki. Intensywnie wpatrywała się w prześwity między drzewami. Złożyła dłonie w trąbkę i przyłożyła do ucha.

- Czego nasłuchujesz? - zapytała Melody. Jej serce zaczęło bić szybciej. - Co to? Słyszysz coś?

- Niestety nie - westchnęła przyjaciółka i wróciła na pień. - No dobra, powiem wam, o co chodzi - powiedziała szeptem. - Brett wcale nie potrzebuje tych gałęzi. Użył tego jako wymówki. Tak naprawdę chce was porządnie wystraszyć.

Palce Haylee zdawały poruszać się z prędkością światła po wysuwanej klawiaturze.

- Przestań stukać! - rozkazała Bekka. - To poważna sprawa.

Haylee uniosła głowę znad ekranu i poprawiła zsuwające się z nosa okulary.

- Dlaczego niby miałyby nas straszyć? - spytała Melody.

- Grrhhhhhhhhhhhhhhhhhhhh!

Postać w masce hokejowej i w poplamionym krwią podkoszulku wypadła z krzaków prosto na dziewczyny, wymachując plastikową maczetą. Od razu rozpoznały w niej Brett. Tuż za nim wyskoczył Heath z kamerą cyfrową.

- Aaaaaaa! - zapiszczały dziewczęta i stłoczyły się, udając przerażenie.

Brett okrążał je, wywijając dla postrachu maczetą.

- Ene, due, rabe. Co mam oberznąć pierwsze? Palec? Czy może główkę?

- Ratunku! - wrzasnęła rozdzierająco Haylee. Albo właśnie objawił się jej talent aktorski, albo dziewczyna nie do końca zrozumiała, o czym chwilę wcześniej mówiła Bekka.

- Niech nam ktoś pomoże! - Melody, zarażona jej strachem, wpadła w panikę.

- Brett! - krzyknęła raz jeszcze Bekka.

- Iiii... cięcie! - ryknął Brett, zdejmując maskę. - Mamy to!

- Więc to byłeś ty? - krzyknęła Melody, nieporadnie udając niedowierzanie.

- Bałem się, że wyda mnie obecność mojego nieocenionego kamerzysty, ale na szczęście wy, rasowe panikary, byliście zbyt wystraszone, żeby cokolwiek zauważyć - odparł zachwycony chłopak, klepnął kumpla, a następnie przyciągnął do siebie Bekkę i wyściskał ją z radości.

- Wariat! - zawołała Haylee i zaczepnie szturchnęła Heatha.

- Płaczka! - odparł chłopak, odwzajemniając kuksańca i mierzwiąc jej włosy. Zaśmiewając się, dziewczyna prosiła go, by dał spokój. Jednak w rzeczywistości wcale nie chciała, żeby przestał. - Ej, a gdzie zgubiliście Jacksona? - spytała Melody.

- Mówił, że nie czuje się najlepiej - odparł Brett obojętnie.

- I dokąd poszedł?

- Chyba z powrotem do domu - rzucił chłopak, zbliżając swoje wargi do ust Bekki.

- Zaraz wracam - oznajmiła Melody, choć w tym momencie nikt specjalnie jej nie słuchał. Uzbrojona w koc termiczny i pełna nadziei na pocałunek ruszyła w las w poszukiwaniu swojego księcia.

- Jackson?! - zawołała w kierunku gęstwiny krzaków. - Jaaackson!

A co, jeśli właśnie stracił kontakt z rzeczywistością? Potknął się o wystający korzeń i upadł? Co, jeśli przewrócił się prosto na usta Cleo? Odgarniała zasłaniające drogę gałęzie i rozgarniała liście w poszukiwaniu śladów. Starła się nie myśleć o tym, że błądzi sama w ciemnym wąwozie, podczas gdy w mroku może czaić się...

- Melody - usłyszała znajomy szept. Czy to może tylko szum wiatru?

- Jackson?

- Tu, na górze - odparł i delikatnie opuszczył się na ziemię.

- Wszystko w porządku? - spytała dziewczyna. Owinięta srebrnym kocem niczym peleryną wyglądała jak superbohaterka komiksu. Nie mogła dostrzec oczu chłopaka - było na to zbyt ciemno.

- Miałeś zanik pamięci?

- Nie - pokręcił głową niczym uroczy, mały łobuziak. - Ale miło słyszeć, że się o mnie martwiłaś.

Oparł się o pień drzewa i skrzyżował ramiona.

- Pewnie, że się tobą przejmuję - potwierdziła Melody i zrobiła krok w jego stronę. - W takim razie dlaczego zniknąłeś?

Chłopak wzruszył ramionami, jak gdyby odpowiedź była oczywista. - Nie chciałem cię straszyć.

Melody poczuła, jak zalewa ją kolejna fala przyjemnego ciepła. Nie wiedzieć dlaczego, miała niezachwianą pewność, że w tym momencie Jackson także doświadczył czegoś podobnego. Jeszcze nigdy nie czuła się tak bezpiecznie przy kimś, kto nie był członkiem jej najbliższej rodziny. Gdyby mogła, przeniosłaby ich Wtaz w odległe, odcięte od reszty świata miejsce w nadziei, że tam ten błogi stan mógłby trwać wiecznie.

Podeszła jeszcze bliżej i rozpostarła koc nad sobą i chłopakiem. Srebrna materia opadła swobodnie, odgradzając ich od otoczenia. W tym przytulnym, mrocznym i ciepłym odosobnieniu, z szeleszczącymi pod stopami liśćmi i kojotami wyjącymi w oddali, w mieszaninie tropikalnych woni i zapachu olejowych pasteli, złączyli usta w pocałunku, który trwał... trwał... i trwał.

ROZDZIAŁ 16

UWAGA! NIEBEZPIECZNE POCAŁUNKI!

... i trwał... i trwał... trwał bez końca.

Zwilgotniałe policzki, błyszczące niczym świeży lukier na pączkach. Usta słone jak paluszki. Gdyby nie wyczerpujący się zapas powietrza i świszczący oddech Melody, zapowiadający nadchodzący atak astmy, pewnie pozostałoby w tym kokonie do aż wiosny. Jednak dziewczynie oddychanie przychodziło z coraz większym trudem, w dodatku nie miała ze sobą inhalatora.

- Powietrza! - wysapała, odrzucając koc i wybuchając śmiechem na widok rozczochanego i oszołomionego Jacksona.

- Co... się stało... z twoimi... okularami? - wyszeptała z wysiłkiem.*1

Po twarzy chłopaka spływały strużki potu. Wpatrywał się w dziewczynę łakomym spojrzeniem orzechowych oczu. Nachylił się, przymknął oczy i...

- Poczekaj chwilkę - zaśmiała się Melody, kładąc rękę na raptownie podnoszącej się i opadającej klatce piersiowej. - Muszę złapać oddech.- Nie ma sprawy.

Przysunął się do niej.

- Mogę ci w tym pomóc - dodał niskim, dziwnie opanowanym głosem.

- Ze co? - zachichotała rozbawiona. - Skąd wzięłeś ten tekst? Podśluchałeś u Chucka?

- A kto to taki, ten Chuck?

Odsunął się urażony.

- Nie wiesz? To postać z Plotkary, z tego telewizyjnego serialu.

- Aha.

Jackson machnął lekceważąco ręką, po czym zaczął uważnie przyglądać się twarzy Melody.

- A kim ty właściwie jesteś? - spytał.

- Co? - zachichotała ponownie, jednak coś w wyrazie jego twarzy sprawiło, że szybko spoważniała.

- Pytam serio. Jesteśmy w jednej klasie?

- Jackson! - zawołała, nie dbając o ściśnięte płuca. - Co się z tobą dzieje?

- Nie znam żadnego Jacksona - stwierdził chłopak. Wykrzywił się kwaśno i zamilkł. Sekundę później jego grymas zmienił się w figlarny uśmieszek. - Ach, rozumiem. Kręci cię odgrywanie ról.

- Daj spokój!

Melody zrobiła krok do tyłu.

- Przerażasz mnie.

- Okej, okej, przepraszam.

Ostrożnie przyciągnął ją do siebie.

Melody chciała dać mu jeszcze jedną szansę. Uspokoila się i wzięła głęboki oddech. Chłopak roztaczał wokół siebie zaskakującą woń preparatu witaminowego. A może był to zapach szarej rzeczywistości, w której rozpływa się miłosne uniesienie?

- Skoro ja jestem Jackson, to jak ty się nazywasz?

- Faj! - krzyknęła Melody i mocno go odepchnęła. - Mam dość!

- Zaczekaj.

Odsunął się o krok.

- Nic nie rozumiem. Masz na to ochotę czy nie? Bo możemy zaszaleć, jeśli jesteś zainteresowana. Jestem otwarty na propozycje.

Melody czuła, że jej żołądek wywraca się na drugą stronę. Czy to miał być kolejny świetny pomysł Brett'a? Od kiedy to Jackson należał do jego paczki? Czyżby Bekka wciągnęła ją w to chore towarzystwo tylko po to, żeby jej ukochany miał szansę nakręcić scenę prawdziwego sercowego dramatu? Nerwowo rozejrzała się po okolicznych krzakach w poszukiwaniu ukrytej kamery.

- Może odrobina muzyki rozluźniłaby atmosferę? - powiedział Jackson. - Moglibyśmy pójść do ciebie - zaproponował, wyciągając rękę w jej kierunku. Ślady po pastelach zniknęły.

- Nie, dzięki - odparła Melody, pociągając nosem. Poderwała koc termiczny z mokrej ziemi i otuliła się nim, jakby chciała schować się przed całym okrutnym światem.

- Aha, rozumiem.

Chłopak cofnął dłoń i przejechał nią po spoconych włosach.

- Nie ma sprawy. Zresztą mam inną dziewczynę na oku. To prawdziwa petarda!

Melody otworzyła usta z niedowierzaniem. Próbowwała coś powiedzieć, ale nie była w stanie. Po prostu odebrało jej mowę.

- Pa - wydusiła z siebie, odwróciła się na pięcie i szybkim krokiem ruszyła w stronę domu. Jej roztrzęsione ciało błagało o odrobinę ulgi, którą mógł przynieść tylko płacz.

Zacisnęła jednak zęby. Nie chciała dać Jacksonowi tej satysfakcji. I tak już za dużo od niej dostał.

Dopiero gdy przechodziła na drugą stronę Radcliffe Way, pierwsze łzy zalśniły w kącikach jej oczu. Zaczęły spływać po policzkach. Zapadła cisza, podobna do tej, która na morzu zapowiada najgorszą burzę. Nim jej wzrok zupełnie stracił ostrość, Melody udało się jeszcze wysłać esemesa z poradą dla Bekki:

MELODY: Jeśli Brett szuka prawdziwych potworów, powinien zacząć chodzić na randki z facetami.:-)

Przycisnęła: WYŚLIJ.

I zalała się łzami.

ROZDZIAŁ 17

TAŃCZ I RÓB, CO CHCESZ

- Frankie, kochanie, czy mogłabyś, proszę, podać naszym gościom półmisek ze szparagami? - zapytała Viveka, z ledwie słyszalnym, brytyjskim akcentem, tak chętnie naśladowanym przez Madonnę. Frankie wcale to nie dziwiło. Każdy szczegół tego niewielkiego przyjęcia był dokładnie obmyślony przez jej rodziców. Także mające świadczyć o luzie uśmiechy, które widniały na ich twarzach.

Ten paradny obrazek był jednak daleki od rzeczywistości. Gdyby mieli konia, Viveka bez wątpienia od rana galopowałaby na nim po całej kuchni, wykrzykując: „Normalsi tu będą! Normalsi tu będą! Normalsi tu będą!”. Z braku wierzchowca skupiła się na kilkakrotnym sprawdzaniu makijażów Viktora i Frankie i owijaniu ich szyj coraz to nowymi chustami. Na koniec zamknęła na klucz drzwi do laboratorium, będącego jednocześnie sypialnią jej córki.

- Dzisiejszy wieczór jest dla nas bardzo ważny - Viveka uprzedziła Frankie, gdy razem rozstawiały na stole pięć nakryć do uroczystej kolacji. - Nowy dziekan wydziału może wspomóc badania ojca pokazną dotacją. Wszystko zależy od wrażenia, jakie na nim zrobimy.

Najpierw pani J., a teraz jej własna mama! Frankie miała powyżej uszu bycia instruowaną, jak powinna się zachowywać w obecności normalsów.

- Czy mam rozstawić dodatkowe talerzyki dla błyszczurów? - spytała, nie potrafiąc dłużej ukryć frustracji.

Viveka odłożyła ostatni talerz z cichym brzękiem.

- Co, proszę?

- Jeśli tato dostanie te pieniądze, to przecież w pierwszej kolejności odczują to właśnie błyszczury - odparła dziewczyna, składając stalowoszare serwetki i układając po jednej obok każdego nakrycia. - No wiesz, to na nich będzie przeprowadzał swoje eksperymenty.

- Tym razem jego badania będą się koncentrować na okaleczonych weteranach wojennych i chorych, czekających w kilkuletnich kolejkach na przeszczep organów.

- Mówisz o normalsach, tak? - drążyła Frankie.

- Mówię o wszystkich - wyjaśniła mama i spuściła wzrok. - Kiedyś na pewno będzie to dotyczyło nas wszystkich.

W kuchni zabrzączał minutnik. Viveka pobiegła wyjąć pieczeń z piekarnika.

- Nareszcie! - westchnęła, odgarniając włosy z twarzy i nakłuwając skwierczącą wołowinę. - Idealnie. Do trzech razy sztuka.

- Wiesz - kontynuowała, sprężystym krokiem wracając do stołu z opakowaniem kryształowych kieliszków - jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, pewnego dnia twój tata nie będzie musiał używać szwów nawet do mocowania oderwanych kończyn. Sztuczne części ciała będą samoczynnie łączyć się i zrastać z tkankami pacjenta.

- Bo szwy są niby takie paskudne? - zapytała Frankie. Jej oczy powilgotniały.

- Nie, córeczko, nie o to mi chodzi! - gwałtownie zaprotestowała Viveka i ruszyła w stronę dziewczyny.

- Cóż, ja to właśnie tak rozumiałam! Frankie pobiegła do laboratorium i zatrzasnęła za sobą drzwi. Przeciąg wywołany jej nagłym wejściem zerwał wyciętą z gazety twarz Justina Biebera ze stojącego w kącie szkieletu. Najwyraźniej nawet papierowy normals nie mógł znieść jej widoku.

- Frankie, prosiłam o szparagi - powtórzyła siedząca u szczytu stołu Viveka, tym razem odrobinę głośniejszą, przywracając córkę do rzeczywistości.

- Ojej, przepraszam.

Dziewczyna nachyliła się, chwyciła biały, ceramiczny półmisek i podała go przez stół pani Mathis. Pulchna kobieta o siwych włosach, uczesanych w stylu Hillary Clinton (kolorem zaś wybitnie przypominających włosy jej męża), nie zwróciła jednak na dziewczynę najmniejszej uwagi, zbyt pochłonięta opowieścią Viktora o teorii energii elektromagnetycznej i jej potencjalnym zastosowaniu w ożywianiu nieruchomych obiektów.

Pani Mathis zachichotała.

- Słyszysz, Charles? - zwróciła się do męża, z rozbawieniem klepiąc się w kolano. - Może w końcu będziesz mógł wstąpić w oficjalny związek małżeński ze swoim ukochanym telewizorem?

- Właśnie dlatego tak bardzo uwielbiam tego szalonego naukowca - odparł dziekan, klepiąc Viktora po ramieniu. - Pewnego dnia stworzy coś, co na zawsze zmieni nasze życie.

+■

Gdyby ojciec Frankie miał w sobie wystarczająco dużo odwagi, z pewnością poinformowałby pana Mathisa, że to „coś” zostało już stworzone i że właśnie podaje jego żonie półmisek ze szparagami.

- Już to zrobił - oznajmiła dziewczyna, stawiając naczynie na stół.- Naprawdę? - zapytał zaintrygowany dziekan. Odchylił się na matowym, aluminiowym krześle i podrapał w siwą brodę, przetykaną nitkami czarnych włosów. - A co to niby takiego?

- Ja - odparła Frankie, uśmiechając się najbardziej uroczo, jak tylko potrafiła.

Dzekan i jego żona wybuchnęli śmiechem. Państwo Steinowie wcale jednak nie podzielali ich radości.

- Czy ktoś życzy sobie szparagów? - spytała Viveka.

- Ja dziękuję - odparła pani Mathis, przecząco kiwając dłonią.

- Cora źle trawi warzywa - wyjaśnił dziekan.

- Charles, dobrze wiesz, że to nieprawda - sprostowała jego żona, spoglądając mu w oczy. - A przynajmniej nie dotyczy to wszystkich jarzyn. Nie znoszę wyłącznie tych zielonych. Jest w tym kolorze coś, co... odbiera apetyt. Chyba się ze mną zgodzicie?

Frankie wypuściła parę iskier.

Viktor odchrząknął.

- Może dokładkę pieczeni? - zaproponowała Viveka.

- A cóż to takiego?! - zapytała pani Mathis.

Patrząc na jej tuszę, Frankie nie potrafiła uwierzyć, że kobieta naprawdę nie wie, na czym polega dokładka. Ozdobiony rubinowym pierścieniem palec pani Mathis wskazywał jednak na drzwi wejściowe. Odziana w czerwoną, bawełnianą rękawiczkę dłoń właśnie wrzucała przez szparę w drzwiach jakąś przesyłkę.

- Co u licha...? - zdziwił się Viktor. Wstał od stołu i otworzył drzwi.

Dwie dziewczyny znajdujące się na zewnątrz zapiszczały ze strachu.

Blue i Lala.

- Cześć! - przywitała je Frankie, zeskakując z krzesła, szczęśliwa, że nadarzyła się okazja, by odejść od stołu. Biel nagle wydała jej się niesłychanie mało apetyczna.

- Czy mogę wam w czymś pomóc, dziewczęta? - zapytał Viktor, schylając się po kartkę, którą przyniosły.

Dziewczyny spojrzały po sobie zaniepokojone.

- My... ee, chciałyśmy po prostu podrzucić coś dla Frankie - tłumaczyła Blue. Jej kręcone włosy były zebrane w dwa kucyki.

Frankie wyjęła kartkę z rąk ojca.

- Petycja? - spytała.

- Chcemy zbojkotować Bal Wrześniowy. Chyba że zmienią temat przewodni - wyjaśniła Lala, trzęsąc się z zimna, mimo że miała na sobie jasnoróżowy, wełniany sweter z

luźnym golfem. - Ale proszę się nie obawiać - szepnęła do Viktora. - Zamierzamy udawać, że nie podoba nam się ten pomysł, bo jest zbyt straszny, a nie dlatego, że godzi w nasze uczucia.

Najwyraźniej dziewczyna nie dbała o zasadę, która zakazywała rozmów o sprawach RADowców nawet w ich towarzystwie.

- Bojkot mnie nie interesuje - odparła Frankie, w marzeniach widząc już siebie i Bretta jedzących romantyczną kolację na pokładzie statku rejsowego. - Chcę tam pójść i dobrze się bawić - dodała i wykonała taneczny piruet.

- A co z kostiumami? - spytała Blue, ignorując popisy przyjaciółki. - Myślałam, że nie możesz ścierpieć tego pomysłu.

Podmuch wiatru uniósł z ulicy liście i inne śmieci, zwykle zalegające w tego typu podmiejskich zaułkach.

- Może wejdziecie? - zaproponowała Frankie.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł - zaprotestował Viktor, chwytając za klamkę. - Mamy gości, zapomniałaś?

- Mogłybyśmy przecież pójść do mojego pokoju - zasugerowała dziewczyna.

- Może innym razem - uciął ojciec. Wyraz jego twarzy mówił jasno i wyraźnie, że to koniec dyskusji. - Dobranoc, dziewczęta - powiedział, po czym zamknął im drzwi przed nosem, nie czekając na odpowiedź.

- Co ty wyprawiasz?! - wykrzyknęła Frankie. Szarpnęła zawiązaną na szyi chustę, próbując uwolnić się z jej dławiących objęć.

- Viktor - dobiegł ich podniesiony głos Viveki. - Jak nazywał się twój szalony współlokator z czasów studenckich? Ten, który sam sobie usunął wyrostek robaczkowy.

- Tommy Lassman - zawołał mężczyzna w odpowiedzi, wciąż marszcząc brwi.

- Racja! - zaśmiała się jego żona i wróciła do przerwanej opowieści.

- Dlaczego ostatnio wciąż wystawiasz nas na próby? - wycodził przez zęby Viktor.

- Nic takiego nie robię - Frankie poczuła, że złość, która wzbierała w niej przez cały wieczór, zaczyna słabnąć. - Czuję się po prostu strasznie sfrustrowana.

- Uwierz, dobrze wiemy, co czujesz, ale to, jak się zachowujesz, to nie najlepszy sposób na wyrażanie uczuć.

- W takim razie powiedz mi, co mam robić?

Oparła się o chłodną, betonową ścianę i skrzyżowała ramiona w wyzywającym geście.

- Mam podpisać petycję, z którą się nie zgadzam? A może, tak jak ty, powinnam udawać, że poszukuję rozwiązań, które już dawno znalazłam? Starać się o dotację na badania, które mają pomagać normalsom, podczas gdy moja własna społeczność...

- Wystarczy! - Viktor klasnął w dłonie.

Rozległ się grzmot. Dziewczyna aż podskoczyła ze strachu.

- Czyżby nadciągała kolejna burza? - spytała pani Mathis. - W tym roku deszcz zdaje się wyjątkowo nieubłagany.

W innej sytuacji Frankie i jej ojciec z pewnością pękliby ze śmiechu, usłyszawszy takie zdanie. W tym momencie nie było im jednak wesoło. - Równie dobrze możesz podpisać tę petycję, bo i tak nie pójdziesz na żaden bal - stwierdził Viktor.

- Co?!

Frankie tupnęła nóżką obutą w wysokie do kolan kozaczki francuskiej firmy Pour La Victoire.

- Niby co ta zabawa ma wspólnego z... - zaczęła, ale ojciec przerwał jej.

- Musisz nauczyć się zachowywać dyskretnie. Nie mogę ci ufać, dopóki mi tego nie udowodnisz.

- Będę bardzo ostrożna, obiecuję - odparła z naciskiem Frankie. - Zaufaj mi.

- Przykro mi, córeczko, ale to moje ostatnie słowo w tej sprawie.

Czy to dzieje się naprawdę?

- W takim razie po co powołałeś mnie do życia, skoro zabraniasz mi żyć jego pełnią? - zawołała.

- Wystarczy tego przedstawienia - wymamrotał Viktor.

- Mówię poważnie - Frankie nie dawała za wygraną, zmęczona ciągłym uciszaniem przez ojca. - Dlaczego po prostu nie zrobiliście mnie normalską?

Viktor westchnął ciężko.

- Bo jesteśmy wyjątkowi, a ja jestem z tego bardzo dumny. Ty też powinnaś.

- Dumna? - parsknęła Frankie, krzywiąc się, jakby wypluwała coś bardzo gorzkiego. - Jak mam być dumna, kiedy wszyscy powtarzają mi, że nie wolno mi się wychylać?

- Musimy się ukrywać ze względów bezpieczeństwa. To nie ma nic wspólnego z wewnętrznym poczuciem zadowolenia z tego, kim się jest - wyjaśnił, jakby to wszystko było zupełnie proste. - Duma i wysoka samoocena powinny wynikać z przekonania o własnej wyjątkowości, a nie opierać się na opiniach innych.

Co?!

Frankie zacisnęła ręce i odwróciła wzrok. - Ode mnie dostałaś ciało i mózg. O wewnętrzną siłę i pewność siebie musisz zawalczyć sama - ciągnął Viktor, wyczuwając zagubienie córki.

- Jak mam to niby zrobić? - spytała Frankie.

- Miałas to wszystko tamtego ranka, kiedy pojechaliśmy do Mount Hood High - przypomniał. - Zanim pozwoliłaś czirliderkom, by ci je zabrały.

- Jak mogę to odzyskać? - zastanawiała się na głos Frankie.*

- Z pewnością trochę to potrwa - odparł ojciec, przymrużonymi oczami zerkając w głąb domu, na siedzących przy stole gości. - Ale kiedy w końcu ci się uda, trzymaj się tego ze wszystkich sił. Już nigdy nie pozwól nikomu odebrać sobie dumy z tego, kim jesteś. Dobrze?

Frankie pokiwała głową ze zrozumieniem, choć tak naprawdę nie do końca wiedziała, co próbował przekazać jej tata.

- To dobrze - powiedział Viktor, puszczając oko do córki.

Ta dziwna pogadanka przekształciła gniew Frankie w mieszkankę nieznaną jej do tej pory uczuć. W wyobraźni dziewczyna przyrównała dręczące ją emocje do dwuwarstwowego ciastka: lekką bezę samotności pokrywała chrupka posypka poczucia krzywdy. Niestety, połączenie tych smaków nie było ani odrobinę słodkie.

Viktor wrócił do jadalni, jak gdyby nic się nie stało.

- Kto ma ochotę na deser? - zapytał.

Frankie popędziła do sypialni, nie zważając na to, kto i co sobie o niej pomyśli. W tej chwili zupełnie jej to nie obchodziło. Gdy tylko nacisnęła klamkę, poczuła napływające do oczu łzy. Oparła się o ścianę i osunęła na podłogę, ukrywając twarz w dłoniach. Starła się skupić myśli tylko na tej jednej jedynej osobie, która zdawała się dostrzegać prawdziwe piękno we wszystkich potworach.

Bal Wrześniowy był świetną okazją, by w końcu mogła spróbować zbliżyć się do Bretta i pozwolić mu poznać swoją prawdziwą naturę.

Najpierw wręczyłaby mu gąbkę do usuwania makijażu... - marzyła.

„Nie bój się” - powiedziałyby, gdy już znaleźliby się w bezpiecznym, ustronnym miejscu, pod schodami. Z sali gimnastycznej dobiegałyby ich dudniące dźwięki muzyki, próbując skusić do powrotu na parkiet. Oni jednak oparliby się nawoływaniom tanecznych rytmów, zadowolając się przyspieszonym biciem własnych serc. „Potrzyj mój policzek” - poleciłaby.

Chłopak przejechałby pomalowanymi na czarno paznokciami po powierzchni gąbki. Wzdrygnąłby się, czując jej szorstkość i odmówiłby dotknięcia nią delikatnej skóry dziewczyny. Jednak Frankie nalegałaby, żeby to zrobił. W końcu by uległ.

Jego delikatny dotyk wywołałby w niej wielkie wzruszenie.

On wzruszyłby się widokiem jej miętowo zielonej skóry.

„Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś?”

Zawstydzona dziewczyna spuściłaby wzrok.

„Jesteś na mnie zły?”

„Tak”.

Po policzku dziewczyny spłynęłaby łza.

Brett starłby kroplę i uniósł jej podbródek.

„Tak, złość się, bo szaleję za tobą”.

Ich usta złączyłyby się w namiętym pocałunku, z gatunku tych, które odmieniają całe życie. Potem wróciliby na salę, by jeszcze raz ze sobą zatańczyć. Wyszliby stamtąd z nagrodą za najlepsze kostiumy. Ich uczucie rosłoby w siłę w trakcie romantycznego rejsu. Niedługo potem on nosiłby koszulki z jej podobizną. Naturalne, miętowe piękno Frankie urzekłoby miliony ludzi na całym świecie - nawet panią Mathis. W okolicy Bożego Narodzenia narynek weszłaby nowa linia ubrań, ochrzczona jej imieniem... Firmy zabawkarskie produkowałyby wzorowane na niej lalki... pojawiłyby się M&M'sy w specjalnych opakowaniach, zawierających wyłącznie zielone drażetki...

Frankie przerwała wycieczkę w krainę wyobraźni. Ucieczki w marzenia i obietnice lepszego jutra nie sprawiały jej już tej przyjemności, co kiedyś. Może ojciec miał rację. Jak po tym wszystkim, co zrobiła, mogłaby jej zaufać? Przestała być idealną córeczką, bo ta z pewnością słuchałaby go bez szemrania. Nie poszłaby na Bal Wrześniowy i dzielnie ćwiczyła trzymanie języka za zębami.

Frankie nie widziała w tym jednak absolutnie żadnego sensu.

ROZDZIAŁ 18

GORĄCO JAK W PIEKLE

Haylee nie odstępowała Bekki na krok, niczym wierna druhna, błędząc tuż za nią między regałami w sklepie kostiumowym Pałac Pełen Przebrań. Właśnie skręcały w stronę kącika opisanego jako I nie opuszczę cię aż do śmierci. Melody dreptała za Haylee, z miną zazdrosnej dziewczynki, niosącej welon.

- Może ta? - zaproponowała Haylee, zdejmując z wieszaka lśniąca suknię ślubną.

- Zbyt błyszcząca - odparła Bekka.

Dziewczyna wybrała następną.

- Za dużo koronki.

- A ta?

- Po co komu te bufki?

- Więc może ta?

- Przesadnie biała.

- Masz zadatki na prawdziwie potworną pannę młodą - burknęła Melody.

- Może poszukałabyś sobie kostiumu nieszczęśliwej wampirzycy z bólem zęba?

Doskonale by do ciebie pasował - zrewanżowała się Bekka.

Melody nie potrafiła powstrzymać chichotu, słysząc głupawą ripostę przyjaciółki.

Bekka również pozwoliła sobie na uśmiech, zaraz jednak wróciła do właściwego zajęcia.

- Szukam czegoś seksownie przerażającego albo raczej przerażająco seksownego - stwierdziła.

- Co powiesz na tę? - zapytała niestrudzona Haylee.

- Zupełnie nieciekawa.

- A ta ci się podoba?

- Za bardzo przypomina kostium.

- Bekka, nie da się ukryć, że jesteśmy właśnie w sklepie z kostiumami... - zauważyła Melody.

- W sumie racja - przyznała dziewczyna i zaczęła bawić się swoim wisiorkiem z literką „B”. - Powinnaś skorzystać z okazji i rozejrzeć się za czymś dla siebie. Impreza jest już w następny piątek. Dzisiaj mamy sobotę, co daje ci mniej niż tydzień na przygoto...

- Przestań - ucięła Melody, przewracając oczami ze znużeniem. - Tłumaczyłam ci już tyle razy, że nigdzie nie idę.

- A ja ciągle nie rozumiem dlaczego! Bo pokłóciliście się z Jacksonem o jakieś głupstwo?

Haylee zdjęła z wieszaka ostatnią w całym sklepie suknię ślubną.

- Zbyt urocza - oceniła Bekka.

- Do twojej wiadomości, wcale nie chodziło o głupstwo - warknęła Melody, żałując, że w ogóle opowiedziała o wszystkim przyjaciółce. Właściwie nie potrafiła jej tego wytłumaczyć, zapewne dlatego, że sama nie rozumiała, co się stało. Zachowanie Jacksona wymykało się wszelkim opisom. Pozostawiło w niej bardzo mieszane uczucia. Gdyby miała opisać, jak się czuje, użyłaby jednego słowa: zdruzgotana.

- No dobrze, nieważne! Nie możesz po prostu pójść z kimś innym? - zapytała Haylee, skubiąc tiul na zwisającym z manekina welonie i pocierając go między palcami. - Fu! Okropnie się elektryzuje. Mam nadzieję, że mają na zapleczu coś lepszej jakości - westchnęła Bekka. - Hmmm - zastanowiła się, po czym zadarła głowę i stukając palcem w podbródek, w zamyśleniu zaczęła się przyglądać ogromnym pająkom zwisającym z sufitu. - Haylee, mogłabyś zapytać czy...

- Już lecę - odparła dziewczyna, rozglądając się dookoła w poszukiwaniu kierownika sklepu. Poruszała się szybko i sprawnie niczym nakręcana zabaweczka.

- No więc? Masz w ogóle jakikolwiek pomysł na przebranie? - Bekka zwróciła się z troską do Melody.

- Ó co sądzisz o stroju niewidzialnej dziewczyny? - odparła gorzko przyjaciółka, przejeżdżając dłonią po opakowaniach tandetnych halloweenowych kosmetyków. Poszczególne cienie miały oczywiście odpowiednie do okazji nazwy: czerń skrzydeł nietoperza, krwista czerwień, upiorna zieleń, widmowa biel. Melody nachyliła się nad pudełeczkami i głęboko wciągnęła ich zapach. Odrobinę przypominał woń pasteli Jacksona, był jednak słodszy i mniej drażniący. Mimo to poczuła napływające do oczu łzy.

- Puk, puk - zaczęła Bekka, jednocześnie sprawdzając cenę czarnej podwiązki.

- Kto tam? - odparła Melody, pociągając nosem.

- Buu!

- Co?

- Przez cały dzień nic, tylko smętnie buczysz. Może powinnaś się przebrać za ducha w ostatnim stadium ciężkiej depresji? *

Melody zaśmiała się przez zatkany nos.

- Bardzo śmieszne.

- A jednak widzę iskierki radości na twojej bladej twarzy - przekomarzała się z nią Bekka.

- Wcale niee!

- No dobrze.

Bekka odsunęła się od wieszaka z sukniami ślubnymi za trzydzieści dolarów i skrzyżowała ramiona, przybierając poważną minę.

- Skoro ty nie idziesz, to ja też nie.

- Jasne, jasne - odparła Melody, dźgając przyjaciółkę w ramię. - Już widzę, jak odpuszczasz sobie możliwość pojawienia się u boku Bretta w przebraniu panny młodej.

- Przyjaźń jest ważniejsza - upierała się Bekka, patrząc ze spokojem swoimi zielonymi oczami.

- Nie mogę ci na to pozwolić.

- W takim razie wygląda na to, że idziesz na bal - stwierdziła triumfalnie Bekka.

W tym momencie wróciła zaaferowana Haylee.

- Rozmawiałam z Gavinem, zastępcą kierownika. Niestety, dopiero w połowie października spodziewają się kolejnej dostawy sukni narzeczonej Frankensteina. Dał mi jednak - tu wskazała na trzymaną w dłoni wizytówkę - namiary na Dana Mooneya, który jest tu kierownikiem. Ma wrócić do pracy w poniedziałek, więc możemy zapytać jeszcze jego.

Całkowite oddanie dziewczyny wzbudzało w Melody pewną wesołość. Bekki i Haylee z pewnością nie można było nazwać typowymi nastolatkami, jednak zachowywały się wobec siebie niezwykle lojalnie. Melody uwielbiała je zarówno za tę niezwykłość, jak i za wzajemne przywiązanie.

- Nie, nie trzeba - westchnęła Bekka z rezygnacją. - Braki w stroju nadrobię fryzurą, i tyle.

- W takim razie, jeśli mogę się wtrącić, to polecałabym tę błyszczącą - odparła Haylee, ściągając z wieszaka jedną z sukni. - Ma prosty i elegancki krój, poza tym mój kostium kwietnego duszka jest w podobnym stylu, więc będziemy dobrze razem wyglądać.

- Genialny pomysł! - wykrzyknęła przyjaciółka i przewiesiła sukienkę przez ramię. - Teraz potrzebuję jeszcze tylko... - jej wzrok zatrzymał się na wejściu do sklepu. - Proszę, proszę, kogo ja widzę...

- Cześć - rozległ się znajomy, męski głos.

Melody odwróciła się i ujrzała... Deuce'a. Choć w sklepie panował półmrok, chłopak i tak miał na nosie swoje nieodłączne, przeciwsłoneczne raybany w czerwonych oprawkach i

czapkę z daszkiem. Na jego widok dziewczyna poczuła, że ze zdenerwowania wysychają jej wargi. Czyżby próbowały w ten sposób powiedzieć, że nie mają ochoty na powtórkę akcji z korytarza? Zamknęła usta, dając im do zrozumienia, że podziela ich zdanie.

- Hej - powtórzył, uśmiechając się niezręcznie. Uszy przykrywały mu duże słuchawki. Najwyraźniej nie miał zamiaru ich zdejmować.

- Co cię tu sprowadza? - zapytała Bekka tonem wścibskiej sąsiadki.

Haylee wyciągnęła telefon i rozsunęła klawiaturę...

- Ee... szukam kostiumu - odparł, wskazując na metalowy koszyk. - Chcę się przebrać za szalonego kapelusznika.

- A Cleo? - drążyła Bekka.

Melody miała ochotę zdrowo trzepnąć przyjaciółkę.

Deuce przestąpił z nogi na nogę.

- Hmm, w tym roku nie idzie na bal.

- Jakies kłopoty w raju?

- Bekka! - nie wytrzymała Melody. - To nie powinno nas interesować.

- Nie, mięclży nami wszystko w porządku - odparł Deuce z bladym uśmiechem. - Po prostu jej najbliższe przyjaciółki postanowiły w tym roku odpuścić sobie imprezę, więc prawdopodobnie zostanie z nimi i...

- Rozumiem, że w takim razie idziesz sam?

- Możliwe. Nie jestem jeszcze pew...

- Idealnie się składa! - ucieszyła się Bekka, klaszcząc w dłonie. - Może chciałbyś wziąć ze sobą Melly? - Bekka! - wykrzyknęła Melody, tupiąc nogą. Łaskotanie, które poczuła w brzuchu na widok chłopaka, zmieniło się w nieprzyjemny skurcz.

- No co? - spytała Bekka z niewinną miną, udając nagle zainteresowanie nasiąkniętym krwią, sztucznym bukietem kwiatów. - Jestem pewna, że dobrze będzie się ze sobą bawili. Jak myślisz, Deuce?

- Jasne, czemu nie - przytaknął chłopak, najwyraźniej zadowolony z propozycji. - Możemy iść razem, ale wyłącznie jako znajomi. Wiesz, Cleo i ja...

- Wiadomo! - zawołała Bekka.

- W takim razie zgoda - powiedział chłopak i uśmiechnął się uroczo.

- Daj mi swój telefon - rozkazała Bekka. - Wpiszę ci numer do Melody.

- Stoję tuż obok, jeśli nie zauważyłaś - wycodziła dziewczyna.

- Siedemjedendwacztery... gotowe!

- Dzięki - odparł Deuce, odbierając iPhone'a, po czym zwrócił się do Melody. - Zdzwonimy się w dzień balu.

- Super - wykrzywiła się w cierpkim uśmiechu.

Drogę do domu pokonała w milczeniu, pedałując na rowerze. Optymistycznie błękitne, rozświetlone słońcem niebo drażniło dziewczynę równie mocno jak radosna paplanina Bekki. Co parę przecznic przyjaciółka zapewniała ją, że chciała tylko pomóc. Melody za każdym razem odpowiadała, że bardzo dziękuje, ale wcale o to nie prosiła. Po czym zapadała lodowata cisza.

- To już moja ulica - oznajmiła Melody i skręciła w lewo, gdy wjechały na skrzyżowanie z Radcliffe Way.

- Wciąż nie masz przebrania! - zawołała za nią Bekka.

- I dalej nie zamierzam się tym przejmować - odparła dziewczyna i pomachała przyjaciółce na do widzenia, nie potrafiąc powstrzymać uśmiechu.

Wpadła do domu i z głośnym tupotem wbiegła po schodach, nieomal potracając matkę, niosącą do jadalni skrzynkę pełną wina.

- Za godzinę przyjdzie do nas kilku sąsiadów na zajęcia z degustacji win - zawołała za nią Glory. - Może by cię to interesowało?

Melody zatrzasnęła drzwi swojego pokoju, dając mamie jasną odpowiedź.

- Mam twój wentylator - krzyknęła ze swojej sypialni Candace. - Oddam ci go, jak wysuszę paznokcie u stóp.

- Jak sobie chcesz - wymamrotała młodsza siostra.

Wspięła się po drabinie piętrowego łóżka i położyła na brzuchu na lawendowej kołdrze. Gdy minęła pierwsza fala szloch, obróciła się na plecy i zaczęła tępo wpatrywać się w drewniane krokwie na suficie.

Wtem zadzwieczał jej iPhone. Dostała nową wiadomość. Od Deuce'a.

DEUCE: Zapomniałem Cię spytać, za kogo się przebierasz.

Melody odrzuciła telefon, nie odpowiadając na esemesa. Nie mogła uwierzyć, że idzie na imprezę właśnie z tym chłopakiem. Pseudorandka z partnerem innej dziewczyny wydała jej się jeszcze bardziej żalosna niż pójście na bal solo.

Mimo otwartych na oścież okien w domu panował nieznosny upał. Beau czynił usilne starania, ale od kilku tygodni sytuacji się nie poprawiła. Melody zdawała się jednak zupełnie tego nie odczuwać. W tej chwili nie reagowała na żadne zewnętrzne sygnały. Gdyby nie perliste krople potu na czole, pewnie niczego by nie zauważyła.

Z całą mocą wróciły do niej wspomnienia poprzedniego wieczoru... duchota... kokon z koca termicznego... smak ust Jacksona...

- Cześć - wyraźnie usłyszała jego głos.

Gwałtownie zerwała się z łóżka i z całej siły uderzyła czołem w ukośną belkę.

- Nic sobie nie zrobiłaś? - zapytał, kładąc rękę na czarnym szczelbu drabiny.

Melody pokiwała przecząco głową. Nie potrafiła wykrztusić słowa.

Stał tuż przed nią, jak gdyby nigdy nic. W tych swoich okularach. Uśmiechając się nieśmiało. W zielonej koszuli z krótkimi rękawami. Z palcami ubrudzonymi resztkami pasteli.

- Gorąco tu jak w saunie - powiedział, wachlując dłonią twarz.

- Nikt cię tu nie trzyma na siłę - odparła, kładąc się z powrotem na łóżku.

- A jednak zostanę - zaoponował.

- Może wytłumaczysz mi, po co?

- Chciałem porozmawiać o wczorajszym wieczorze. Świetnie się bawiłem.

- Ja trochę mniej.

Chłopak westchnął ze smutkiem.

- Znowu zachowywałem się dziwnie, tak?

- Dziwnie to mało powiedziane, Jackson.

Melody usiadła, spuściła nogi z łóżka i oparła się na dłoniach, zatrzymując wzrok na szafie. W tej chwili nie mogła nawet spojrzeć na chłopaka, nie mówiąc już o wybaczeniu mu.

- Dałbyś sobie spokój z tymi „zanikami pamięci”. To naprawdę tania wymówka. Lepiej zajmij się tą swoją iskierką. Może ona jest wystarczająco naiwna, żeby kupić te bajki, bo wybaczyć, ale na mnie to nie działa!

- Ale to prawda - zarzekał się Jackson. - Ocknąłem się dopiero przed domem.

- Cóż, powinienesz być w nim zostać.

- Jak to? Gdybym wczoraj nie przyszedł, nie umówilibyśmy się na Bal Wrześniowy - stwierdził z rozbrajającym uśmiechem. - Na pewno znalazłby się ktoś inny... - odparła chłodno. - Idę na bal z Deuce'em.

Chłopaka замуrowało. Cel został osiągnięty.

- Melody...

Jackson podszedł do łóżka i chwycił dziewczynę za nogi.

- Ostatnia rzecz, którą pamiętam, to nasz pocałunek pod kocem. Potem naprawdę...

- Jackson, posłuchaj mnie przez chwilę - zaczęła, decydując się w końcu spojrzeć na chłopaka. Jego spoconą twarz okrywał rumieniec wstydu. Patrzył na nią zdeorientowanym

wzrokiem. - Nie wierzę w twoje zaniki pamięci, chociaż, daję słowo, wołałabym, żeby to była prawda.

- W takim razie, dlaczego... - zaczął, ocierając czoło.

- Nie udawaj niewiniątka - przerwała mu ostro. - Zachowujesz się jak ostatni palant, całujesz się z kim tylko zechcesz, a na koniec po prostu mówisz, że niczego nie pamiętasz. Bardzo wygodna wymówka, prawda?

W odpowiedzi Jackson zdjął okulary i rozpiął koszulę, odsłaniając przed Melody swój umięśniony, lśniący od potu brzuch.

- Co ty wyprawiasz?!

Dziewczyna sięgnęła po telefon i włączyła kamerę. Choć wątpiła w konieczność interwencji policji, na wszelki wypadek wołała mieć jakieś dowody.

- O, to znowu ty? - spytał, unosząc brwi. - Powinienem być cię poznać po tym, jak bardzo się przy tobie spociłem - dodał, przejeżdżając dłonią po śliskiej klatce piersiowej.

- Ej, lala, patrz jak na mnie działasz!

- Jackson, mam tego dosyć! - zawołała Melody, zeskakując z łóżka.

- Dlaczego ciągle tak mnie nazywasz?

- Bo tak masz na imię! - krzyknęła, trzymając telefon tuż przy jego twarzy.- Nieprawda.

- Tak mówisz? - zdziwiła się. - W takim razie może mi się przedstawisz.

- Jestem D.J. - odparł prosto w oko minikamery. - D.J. Hyde. Wiesz, jak doktor Jekyll i pan Hyde. Mam to po pradziadku... to był dopiero dzikus. Znalazłem na strychu naszego domu jakieś stare papiery. Wygląda na to, że dziadziś lubił sobie poeksperymentować - i to na sobie samym! Próbował różnych mieszanek... niektóre sprawiały, że stawał się niezłym świrusem. Mnie to średnio kręci. Zdecydowanie wolę uderzyć na dobrą imprezę!

Mrugnął zalotnie do Melody i rozejrzał się po pokoju.

- Masz tu w ogóle jakąś muzę?

Dziewczyna skończyła nagrywać. Nim zdążyła zareagować, D.J. Hyde dopadł do biurka i podłączył swojego iPhone'a do wieży. Z głośników ryknęło Carry Out Timbalanda. Poruszając biodrami i rozpościerając ręce tak szeroko, że jego koszula przypominała skrzydła, chłopak zaczął zapamiętale tańczyć, jak gdyby właśnie występował na scenie przed tłumem rozkrzyczanych fanek.

- Co tu się dzieje? - spytała zdumiona Candace, stając w drzwiach pokoju Melody z wentylatorem w rękach. Była boso; miała na sobie wyłącznie zwykły biały podkoszulek i

luźno opadające spodnie, ale i tak wyglądała zabójczo. - Nagrywacie coś na casting do telewizji?

- Trafiony zatopiony! A program, o którym mowa, nosi tytuł Jak ma na imię ta piękna nieznajoma? - odparł gładko D.J., zabrał z jej rąk wentylator i przyciągnął starszą z siostr do siebie.

- Candace - zachichotała dziewczyna, poddając się jego dłoniom.

Basowe dźwięki wprawiły ich ciała w rytmiczne podrygi, D.J. pstrykał palcami, wymachiwał rękami i wirował po parkiecie lepiej niż niejeden finalista You Can Dance.- Melly, spodziewałaś się tego? - zapytała Candace, przekrzykując muzykę, po czym dołączyła do szalonego tancerza.

- Ani trochę - odparła Melody i włączyła wentylator.

- Dmuchawa! - zawołał radośnie D.J. Hyde.

Razem z Candace zaczęli kręcić się w dzikich piruetach, łapiąc podmuchy sztucznego wiatru. Koszula chłopaka powiewała jak w teledysku.

- Łuuuuuuuuuu! - wykrzyknęła Candace, kręcąc rękami uniesionymi wysoko ponad głowę. Nachyliła się nad wentylatorem i przełączyła go na wyższe obroty.

D.J. ułożył ręce niczym startujący Superman.

- Patrzcie, ja latam! - zawołał, stając w bezruchu z wyciągniętą pięścią, pozwalając koszuli łopotać niczym peleryna.

- Co wy tam wyrabiacie? - dobiegł ich niespokojny głos Glory.

- Nic takiego - odparła Melody. Nie wiedziała, jak miałyby opisać scenę, która właśnie rozgrywała się przed jej oczami.

- W takim razie, jeśli możecie, to róbcie to „nic” trochę ciszej. Zaraz przyjdą goście.

Melody z zadowoleniem chwyciła iPhone'a i jednym ruchem przerwała imprezę.

Candace i D.J. jeszcze przez chwilę wyginali się w rytmie nieobecne piosenki. Potem mało nie padli ze śmiechu. W końcu udało im się uspokoić. Temperatura w pokoju zdecydowanie spadła.

- Ale ekstra akcja! - wykrzyknęła Candace i przybiła piątkę swojemu tanecznemu partnerowi. - Jesteś o wiele bardziej zabawny, niż można byłoby sądzić - dodała.

- Przepraszam? Chyba nie rozumiem... - odparł, na powrót zakładając okulary. Wyglądał na mocno zmieszanego.

- No wiesz, w tych szklach i koszuli wyglądasz na dziwaka - zaczęła, wskazując na jego odsłoniętą klatkę piersiową. - To znaczy wtedy, kiedy nie jest rozpięta - dodała, chichocząc. - A tu taka niespodzianka...

Zawstydzony chłopak spojrzał na swoje ubranie i w pośpiechu zaczął zapinać guziki. - Chyba nie rozumiem - wydukał.

Melody poczuła, że wszystko staje się dla niej jasne.

- Jak się nazywasz? - zapytała.

- He?

- Jak masz na imię?

- Jackson - odparł, następnie zrobił**krok do tyłu, oparł się o drabinę przy łóżku i otarł mokre od potu czoło. - O nie. Chyba znowu miałem zanik.

- Ho ho, i to jaki - przyznała Melody. - Chociaż sama nie wiem, czy nazwałabym to „zanikiem pamięci”.

Stanęła obok chłopaka i zamachała mu przed nosem wyświetlaczem swojego telefonu.

- Jackson, chciałabym ci przedstawić D.J.a Hyde’a.

- Zaczekaj! - zawołała Melody, ale chłopak nawet się nie odwrócił.

Obejrzawszy nagranie i uświadomiwszy sobie, jak zachowywał się w obecności Melody, uciekł przerażony, jakby goniło go stado wygłodniałych wilków.

Candace obserwowała wszystko w milczeniu. Spojrzała na młodszą siostrę i pokręciła głową z dezaprobatą.

- No co? - spytała tamta.

- Zachowanie typowe dla Melody - podsumowała Candace. Odgarnęła włosy ze spoconego karku i obróciła się tyłem do wentylatora.

- Niby co takiego? - warknęła dziewczyna, jednocześnie próbując zapanować nad korowodem myśli, które wirowały w jej głowie niczym karuzela z rysunku Jacksona.

- Co zamierzasz zrobić w tej sytuacji? - spytała Candace.

- A co powinnam według ciebie zrobić? To chyba nie zagadka dla policji stanowej - powiedziała Melody i bezradnie rozejrzała się po pokoju. Jej wzrok zatrzymał się na nie rozpakowanych jeszcze kartonach. Może tym właśnie powinna się zająć?

- Nie uważasz, że wypadałoby go poszukać? - zupełnie poważnie zasugerowała Candace.

- Dzięki za radę, ale chyba dam sobie z tym spokój.

Melody zaczęła skubać naderwaną skórę od paznokcia. Z ranki poleciała niewielka strużka krwi.

- Średnio interesuje mnie w tej chwili związek z tak nieprzewidywalnym czymś... cokolwiek to było.

- Żebyś potem nie żałowała - rzuciła Candace, kierując się do wyjścia.

- Zaczekaj!

Starsza siostra zatrzymała się w pół kroku.

- Czego niby miałabym żałować? - spytała Melody.

- Nieprzewidywalność może być zabawna! - odparła Candace, jak gdyby objawiała siostrze jedną z wielkich prawd życiowych. - On naprawdę ma w sobie to „coś”.

Na samą myśl o chłopaku Melody poczuła, że zaczyna się uśmiechać.

- Potrafi być całkiem fajny, prawda? - spytała niepewnie.

- Radzę ci ze szczerego serca: idź za nim - nalegała siostra. W jej jasnoniebieskich oczach błyskały wesołe ogniki. - Zwiąlfek nie ma szans ot tak, bez poświęceń - dodała, pstrykając palcami.

Podziałało. Melody zbiegła schodami w dół. Nieomal potrafiła wysoką parę, wchodzącą właśnie do domu.

- Kochanie, chciałam cię przedstawić państwu Steinom. Mieszkają na końcu ulicy. Mają córkę dokładnie w twoim wie...- Miło mi państwa poznać - zawołała dziewczyna, obracając się przez ramię. - Mamo, wychodzę na chwilę!

I już jej nie było.

- Proszę się nie przejmować - zwróciła się do Glory wysoka, czarnowłosa kobieta. - Moja córka zachowuje się dokładnie tak samo.

Pędząc jak szalona w kierunku białego domku po drugiej stronie ulicy, Melody czuła się niczym bohaterka tandetnej komedii romantycznej. W co drugim tego typu filmie jakaś kobieta spieszyła na lotnisko, by zdążyć przed odlotem samolotu, który miał unieść w siną dal odrąconego wcześniej kochanka. Jednak z tego, co wiedziała, nikt do tej pory nie nakręcił filmu o odrąconym kochanku pogrążonym w szaleństwie.

Drzwi wejściowe do jego domu były lekko uchylone.

- Jackson? - zawołała cicho Melody. - Jackson, jesteś tam?

Ostrożnie zajrzała do środka. Z wewnątrz poczuła lodowaty powiew powietrza. Weszła. Temperatura panująca w domu nie mogła być wyższa niż piętnaście stopni. Czyżby wszystkie termostaty w Salem odmawiały posłuszeństwa?

Z początku pomysł wtargnięcia bez uprzedzenia do domu Jacksona nie wydał jej się najlepszy, szczególnie zważywszy na to, że jego matka była jej nauczycielką. Z drugiej strony, pomyślała, on sam zrobił to już dwukrotnie...

- Jackson? - ponowiła wołanie.

Dom nie był duży, w dodatku doszczętnie zagracony różnymi sprzętami i dekoracjami. Podłogę pokrywały grube, orientalne dywany, a wszystkie widoczne kąty były zastawione różnej maści bibelotami, jakby żywcem wyjętymi z czasów Imperium Brytyjskiego. Całość sprawiała dość przytłaczające wrażenie, silnie kontrastując z pogodnym wyglądem posiadłości na zewnątrz. Melody uśmiechnęła się pod nosem. Miała okazję dobrze poznać sprzeczności tego domu na przykładzie jednego z mieszkańców.

- Skoro wiedziałaś, kim jestem, to dlaczego ukrywałaś to przede mną? - zawołał nagle Jackson. Głos dobiegał z któregoś z pomieszczeń na piętrze.

Melody usłyszała odpowiedź jego matki:

- Próbowałam cię chronić!

Dziewczyna poczuła, że w tej sytuacji zdecydowanie wypadałoby wyjść, jednak nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

- Niby przed czym? - rozdzierająco krzyknął chłopak.

- Przed niespodziewanym budzeniem się na cudzych podwórkach? Przed robieniem z siebie pośmiewiska w domu sąsiadów? Przed przerażeniem jedynej dziewczyny, na której tak naprawdę mi zależy?

Melody nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. A więc jednak mu się podobała!

- Jeśli chcesz wiedzieć, to niestety, nie udało ci się! - ciągnął w rozgoryczeniu. - Nie udało ci się zapobiec żadnemu z tych wydarzeń. A mówię tylko o ostatniej dobie! Kto wie, co wydarzyło się przez piętnaście lat!

- Do tego właśnie zmierzam - przerwała mu matka.

- Do tej pory nic takiego się nie działo. Wszystko zaczęło się teraz, kiedy zrobiłeś się starszy.

Przez moment żadne z nich się nie odezwało.

- Co wywołuje te napady? - spytał Jackson o wiele bardziej łagodnym tonem.

- Zbyt wysoKa temperatura - odparła rzeczowo paniJ.

Melody próbowała sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach miała wątpliwą przyjemność spotkać D.J.a Hydea. No przecież! Koc termiczny... jej nagrzana sypialnia... wentylator...

- Zbyt wysoka temperatura. Oczywiście - powtórzył spokojnie Jackson. - To dlatego zawsze jest tu tak zimno.-1 dlatego nie pozwalałam ci uprawiać sportów - dodała matka z ulgą w głosie. Skrywany do tej pory sekret musiał jej bardzo ciążyć.

- Dlaczego tak się dzieje? - spytał chłopak.

- Jackson, może usiądziemy.

Na moment znów zapadła cisza.

- Nigdy wcześniej ci o tym nie opowiadałam, ale twoim pradziadkiem był drjekyll... Tak, on naprawdę istniał. Na co dzień był niezbyt śmiałym, uprzejmym mężczyzną, zupełnie tak jak ty. Z czasem jego nieśmiałość zaczęła utrudniać mu życie. Stworzył wówczas napój, który czynił go odważniejszym i dodawał... mocy. Szybko uzależnił się od tej mieszanki i w końcu... zginął przez nią.

- Ale jak miałbym... - zaczął Jackson.

- Napój miał toksyczne właściwości - przerwała mu matka. - W DNA twojego pradziadka pojawiły się zmiany, które przeszły na kolejne pokolenia. Zarówno twój dziadek, jak i ojciec musieli się z tym zmagać.

- Czyli tata nie zostawił nas tak po prostu?

- Nie - odparła łamiącym się głosem kobieta. - Poznałam go, kiedy jeszcze pracowałam jako genetyk i... Cóż, zrobiłam wszystko, co było w mojej mocy, ale... Wahania jego nastrojów zaczynały być niemożliwe do zniesienia... aż w końcu oszalał.

Chłopak nie odezwał się ani słowem. Pani J. zamilkła. Z góry dobiegało jedynie głośnie szlochanie.

Melody czuła, że po policzkach spływają jej łzy. Z całego serca współczuła Jacksonowi, jego przodkom i... sobie samej.

- Czy mnie też czeka taki koniec? - zapytał w końcu Jackson, przerywając milczenie.

- Nie - odparła pani J., głośnie wydmuchując nos. - U ciebie rozwija się to zupełnie inaczej. Prawdopodobnie przeszło kolejną mutację. Przede wszystkim działa tylko w podwyższonej temperaturze. Gdy powietrze się ochładza, wszystko wraca do normy.

Ponownie zapadła cisza. Tym razem trwała wyjątkowo długo. Wreszcie chłopak odezwał się:

- Czyli można powiedzieć, że jesteś... - zawahał się - ...również jego matką?

- Tak - odparła rzeczowo. - On to przecież ty... tylko odmieniony.

- Co to znaczy?

- D.J. świetnie czuje się w centrum uwagi, ty wolisz trzymać się na uboczu. On kocha muzykę, a ty sztuki plastyczne. Jest pewny siebie, podczas gdy ty jesteś raczej rozważny i zdystansowany. Na swój sposób obaj jesteście wspianymi osobami.

- Czy on wie o moim istnieniu?

- Nie. Ale wie o swoim pochodzeniu - dodała po chwili.

- Skąd...

Pani J. weszła mu w słowo:

- D.J. dokopał się do pewnych faktów dotyczących jego przeszłości, ale o tobie nie ma pojęcia. On również uważa, że cierpi na zaniki pamięci, więc nie można mu ufać. Zresztą, nikt nie powinien się o tym dowiedzieć. Musisz dotrzymać tajemnicy. Obiecuj mi. Proszę.

Melody poczuła, że teraz już naprawdę powinna zostawić ich samych. Woląla nie wiedzieć, co odpowie Jackson. I tak usłyszała już zdecydowanie za dużo.

ROZDZIAŁ 19

CHYLKIEM, UKRADKIEM

Nadszedł moment, w którym można było przystąpić do wykonania planu A. Po całotygodniowych, wyczerpujących przygotowaniach Frankie opracowała możliwie najlepszy sposób, żeby znaleźć się na Balu Wrześniowym. Oczywiście, gdyby ten plan zawiódł, pozostawały plany awaryjne.

- Mamo, tato, możemy porozmawiać? - zapytała. Czuła się odświeżona wieczornym doładowaniem i krótką sesją aromaterapeutyczną, która zawsze dobrze wpływała na jej szwy.

Rodzice siedzieli na kanapie, słuchając jazzu i czytając w blasku ognia. Jak zawsze wieczorem zmyli maskujące makijaże i odsłonili śruby na szyjach. Byli już po kolacji (którą ugotowała Frankie), a kuchnia została wysprzątana (również przez Frankie). Do tego przez całe siedem dni dziewczynie udało się zachować dyskrecję w wiadomych sprawach.

Teraz nadszedł odpowiedni czas.

- Co tam? - spytał Viktor, odkładając periodyk medyczny. Zdjął z otomany nogi, obute w wytarte kapcie, i zrobił córce miejsce.- Hmm...

Jak zwykle w chwilach napięcia Frankie sięgnęła do szwów na szyi. Były wilgotne i przyjemnie rozluźnione.

- Nie skub nitek - przypomniała Viveka. Jej Fioletowe oczy nabierały jeszcze głębszego koloru w kontraście z zielonym odcieniem skóry. Frankie nie mogła przeboleć, że ludzie nie mają możliwości podziwiania jej naturalnego piękna w pełnej krasie.

- Denerwujesz się czymś? - zapytał Viktor.

- Nie - odparła dziewczyna, przysiadając na dłoniach. - Chciałam wam tylko powiedzieć, że przez cały tydzień dużo myślałam nad tym, co zrobiłam. Mieliście rację. Zachowałam się nieodpowiedzialnie i arogancko.

Kąciki ich ust uniosły się ostrożnie, jakby niepewne, czy mogą pozwolić sobie na pełny uśmiech, dopóki nie wysłuchają wszystkiego do końca.

- Tak jak prosiliście, wracałam po szkole prosto do domu, nie esemesowałam z nikim, nie wysyłałam emaili, nie pisałam nic na Facebooku. W trakcie przerwy na lunch odzywałam się tylko, jeśli ktoś mnie o coś zapytał.

Mówiła prawdę. Starła się nawet unikać kontaktu wzrokowego z Brettern. Nie było to zresztą takie trudne, bo Bekka zawsze siadała między nimi.

- Zauważyliśmy - odparł Viktor, po czym nachylił się i z zadowoleniem poklepał córkę po kolanie. - Jesteśmy z ciebie bardzo dumni.

Viveka przytaknęła.

- Miło mi.

Frankie skromnie spuściła wzrok. Trzy... dwa... jeden... TERAŻ!

- W takim razie myślicie, że możecie zaufać mi, tylko żeby pozwolić mi się nabał? - wyrzucała z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego.

Viktor i Viveka wymienili spojrzenia.

Naprawdę się nad tym zastanawiają? Chyba tak! - ucieszyła się dziewczyna. Na pewno ufają mi wystar...

- Nie - odparli jednogłośnie.

Frankie ledwo powstrzymała chęć wybuchnięcia tysiącem iskier. Albo wrzaśnięcia na cały głos. Czy też zagrożenia strajkiem głodowym. Była jednak przygotowana i na taką okoliczność. Nie mogła przecież wykluczyć odpowiedzi odmownej. Zawczasu przeczytała odpowiedni poradnik autorstwa Mary Lou Belli i Dinah Lenney: Nauka gry aktorskiej w weekend i wiedziała, jak odegrać właściwą reakcję na odmowę. Udawała więc, że zrozumiała decyzję rodziców. Pokazała, że się z nią pogodziła, i z pozornym spokojem planowała wrócić do swojej sypialni.

- Trudno, w takim razie dziękuję, że mnie wysłuchaliście - odparła, całując każde z nich w policzek i w podskokach ruszając do pokoju. - Dobranoc.

- Dobranoc? - zapytał zdziwiony Viktor. - Tylko tyle? Nie zamierzasz się z nami kłócić?

- A co mi to da? - odpowiedziała Frankie, uśmiechając się najpiękniej, jak potrafiła. - Uważacie pewnie, że muszę odcierpieć całą karę, żeby przyniosła zamierzone skutki. Rozumiem to.

- Okej... - skwitował Viktor i wrócił do lektury czasopisma, potrząsając głową, jak gdyby wciąż jeszcze nie wierzył w to, co przed momentem usłyszał i zobaczył.

- Kochamy cię - Viveka posłała jej całusa.

- Ja też was kocham - odparła Frankie i odwzajemniła gest.

Nadszedł zatem czas na plan B!

- Słuchajcie, błyszczury - powiedziała dziewczyna, unosząc domek gryzoni i zabierając go do sypialnej części laboratorium. - To nie będzie łatwe. Niektóre zasady zostaną złamane. Przyjaźnie wystawione na próbę. Podejmę olbrzymie ryzyko. To jednak niewielka

cena za prawdziwą miłość i wolność, prawda? Postawiła akwarium na połakierowanym na pomarańczowo stoliku. Zwierzaki drapały w szklane ścianki, wyrażając poparcie.

Z głośników huknęło Just Dance Lady Gagi. Frankie rozerwała opakowanie utleniacza do włosów i rozprowadziła substancję na kilku pasemkach od nasady aż po same końcówki. Wzorowała się na swojej własnej babce! Na efekt zabiegu musiała poczekać kilkanaście minut. Rzuciła się więc na okryty poduszkami szezlong i zaczęła pisać do Lali.

- No to lecimy - westchnęła.

FRANKIE: Wciąż bojkotujecie imprezę?

LALA: Tak jest. Siedzimy wszystkie razem: Cleo, Clawdeen, Blue i ja. Fajnie, że się odezwałaś.:-) Na pewno nie możesz wpaść?

FRANKIE: Niestety nie.:-(

- Dobrze, grunt został przygotowany - Frankie relacjonowała postępy błyszczurom. - Czas na kluczowe uderzenie. Przez cały tydzień trzymałam to w sekrecie.

Wysłała kolejną wiadomość.

- Nie oceniajcie mnie źle, chłopaki.

FRANKIE: A tak przy okazji, moi rodzice byli w zeszły weekend na jakiejś degustacji wina w domu tej nowej dziewczyny, Melody. Podobno idzie na bal z Deuce'em.

LALA: Tak w ogóle, to wiedziałaś, że wynajęli ten dom od moich dziadków?

Frankie stanowczo nie spodziewała się takiej odpowiedzi.

FRANKIE: Niezła historia z tym domem. Myślisz, że to z Deuce'em to prawda? Cleo wie coś o tym? Cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... Dochodziła siódma. Impreza miała się zacząć o wpół do ósmej. Dlaczego nikt jej nie odpowiada...

CLEO: Skąd o tym wiesz?

Frankie wyprostowała się gwałtownie. A jednak!

FRANKIE: Usłyszałam od mamy.

FRANKIE: Masz ochotę przyłapać ich na gorącym uczynku?

CLEO: Jasne, ale nie mamy kostiumów.:-(

Hurra! Hurra! Hurra!

- To działa! - oznajmiła błyszczurom. Czuła delikatne wyrzuty sumienia, manipulując w ten sposób przyjaciółkami. Jednak z drugiej strony wszystko, co pisała, było czystą prawdą. Robiła to również dla dobra dziewczyn. Jeszcze jej za to podziękują. Musiała tylko jeszcze trochę je poprowadzić...

FRANKIE: Przecież to Gorączka potwornej nocy! Urodziłyśmy się w przebraniach! I to w jakich!

FRANKIE: Mamy okazję, żeby sprawdzić, co ludzie naprawdę o nas myślą. Jak widzą nas bez tego głupiego maskowania.

FRANKIE: Musimy im pokazać, że nie mają czego się obawiać.

FRANKIE: Jeśli najpierw nie pozbędziemy się własnego lęku, jak mamy im cokolwiek udowodnić?

Wypadało przerwać wysyłanie kolejnych wiadomości. Nie chciała, by przyjaciółki wzięły ją za nawiedzoną prorokinię. Pisanie tych słów przychodziło jej z zadziwiającą łatwością. Nigdy do tej pory nie czuła się tak mocno w cokolwiek zaangażowana. Nawet Brett nie budził w niej takich emocji.

Cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza...
cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza...
cisza... cisza...

- Co one tam robią?

Frankie opadła na sofę i wypuściła kilka iskieł ze zdenerwowania.

Cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza...
cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza...
cisza... cisza...

CLEO: Nie masz już szlabanu?

FRANKIE: Wyjdę przez okno w sypialni.

Cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza... cisza...
cisza...

LALA: Za pięć minut będę czekać przy wylocie Radcliffe.

LALA: Obyś się nie myliła.

FRANKIE::-)

Dziewczyna z radości kilka razy zamachała nogami w powietrzu. Hurra! Hurra!
Hurra!

Posłała błyszczurom szybkiego buziaka, wyłączyła muzykę i chwyciła torbę, którą wcześniej przydźwigała z garażu. Mając na sobie wyłącznie dres i warstwę błyszczyka, wysunęła się przez okno i zgrabnym susem pokonała niecałe dwa metry dzielące ją od upragnionej wolności. Czuła się szczęśliwa, wręcz przeładowana tym uczuciem.

ROZDZIAŁ 20

PRZEPRASZAM, CZY TU STRASZA?

- Poczekajcie, jeszcze tylko jedno zdjęcie!

Ojciec Bekki wysiadł z czerwonego cadillaca. Miał na sobie burgundowy polar, granatowe szorty i niebieskie papcie.

- Tato! - krzyknęła dziewczyna. Gniewnie tupnęła obcasikiem jednej ze srebrnych szpilek. Wymownie wskazała w stronę szkoły. Na stopniach, najpewniej dla wprowadzenia klimatu imprezy, wymalowano zieloną farbą nibyślady jakiegoś potwora. Przed wejściem zbierały się grupki przebierańców. Oczywiście wszyscy uważali się za zbyt fajnych, żeby wejść do środka jako pierwsi. Przez szeroko otwarte podwójne drzwi wydostawała się sztuczna mgła. Z ciemnego wnętrza dobiegało basowe dudnienie.

- Brett na pewno już na mnie czeka! - stwierdziła Bekka.

- Spokojnie - powiedziała Melody. Posłusznie ustawiła się do fotografii, obejmując w pasie Haylee i Bekkę. - Jeszcze jedno zdjęcie na pewno nam nie zaszkodzi. - Nie, zdjęcie nam nie zaszkodzi - wymamrotała przyjaciółka, obniżając głos, gdy mijała je grupa czirliderek przebranych za zombie. - Ale chyba zaraz umrę ze wstydu.

- Uśmiech proszę! - zachęcał je pan Madden, po czym, szykując się do naciśnięcia spustu migawki, zdjął okulary i nałożył je na czubek swojej łysej głowy.

Bekka i Haylee posłusznie wyszczerzyły zęby. Melody robiła, co mogła. Odniosła wrażenie, że nawet w okresie rekonwalescencji po operacji plastycznej czuła się lepiej niż w tej chwili. Owszem, była zdrowa, objawy astmy niemal ustąpiły, a poza tym miała kochającą rodzinę. Jednak do szczęścia brakowało jej związku, który trwałby dłużej niż przez jeden dziwny pocałunek. Czy naprawdę chciała zbyt wiele?

Przez cały tydzień Jackson skutecznie jej unikał. Wymawiając się a to czasochłonnym zadaniem domowym, a to ciężkim bólem głowy, odmawiał za każdym razem, gdy Melody proponowała spotkanie. Oczywiście jako wyrozumiała przyjaciółkopodsłuchiawczka dziewczyna za każdym razem wmawiała sobie, że doskonale wszystko rozumie i wcale nie ma mu tego za złe. Trawiła ją jednocześnie niemożliwa do spełnienia chęć ulżenia mu w udręce. Ucieszyłaby się jak dzika, gdyby tylko chłopak zechciał wypłakać jej się w rękaw. Pragnęła razem z nim nieść ciężkie brzemie tajemnicy. Opowiedzieć mu, że sama też czuła się jak „potwór” przez całe dotychczasowe życie. Wy tłumaczyć, że doskonale go rozumie.

Jednak Jackson nie zdawał się ani trochę zainteresowany jej rękawem, nie Wspominając o ręce czy ustach. Na samą myśl o tym, klatkę piersiową Melody ścisnęła niewidzialna ręka, trzymając silniej niż najmocniejszy atak astmy.

Każdego wieczoru, który spędziła samotnie w pokoju pełnym nie rozpakowanych pudeł, z trudem opierała się pokusie, by zwierzyć się ze swoich problemów starszej siostrze. Jednak wyjawienie tajemnicy Jacksona mogłoby narobić wiele szkody. Dziewczyna kierowała więc całą energię na przekonanie samej siebie, że jego zdystansowanie to wynik obietnicy złożonej matce, a nie jakichkolwiek zmian w uczuciach względem jej osoby. Efekty tych zabiegów były jednak krótkotrwałe. Po chwili wracały ból i gorycz, wzbogacone o świadomość własnej żalosności. Melody czuła się jak wszystkie te smutne osoby, które same wysyłają sobie bukiety kwiatów z okazji walentynek.

Pomimo że była przybita, dziewczynie udało się jednak na tyle zebrać w sobie, by przygotować się na bal. Za nic nie chciała zawieść nowych przyjaciółek: narzeczonej Frankensteina i kwietnego duszka.

- Wyglądacie bombowo, dziewczyny! - zawołał pan Madden, wsiadając do samochodu. - Będę po was punkt dziesiąta - przypomniał i odjechał do domu.

Melody z przerażeniem obserwowała niknące w oddali światła. Wraz z nimi gasła ostatnia nadzieja na wcześniejszy powrót. Nie potrafiła sobie przypomnieć, dlaczego właściwie zgodziła się na propozycję Bekki i zostawiła torebkę w samochodzie jej ojca. Przyjaciółka zapewniała, że w ten sposób „będą się czuć bardziej swobodnie”. Akurat! Dla Melody oznaczało to zupełnie co innego. Następne dwie i pół godziny miała spędzić uwięziona w towarzystwie nie tego chłopaka, na którym jej zależało.

- Obiecuję, że przynajmniej spróbujesz dobrze się bawić - błagała Bekka, jak gdyby dobrze znała myśli przyjaciółki.

Melody pokiwała głową, przytakując.

- Naprawdę świetnie wyglądasz - dorzuciła narzeczona Frankensteina.

- Mam nadzieję - westchnęła niepewnie dziewczyna, chwyciła tren w dwa palce i zabrała się za zdobywanie szczytu szkolnych schodów na dziesięciocentymetrowych obcasach.

Bekka nie traktowała balu jako okazji do przebrania się za narzeczoną Frankensteina, ale raczej jako casting na narzeczoną Bretta. Każdy centymetr jej ciała był pokryty równą warstwą niebieskozielonej farby - nawet te części, które, cytując jej matkę: „mogą być oglądane jedynie przez wszystko widzące oczy Boga i dno muszli klozetowej”. Dla bardziej naturalnego efektu zrezygnowała z peruki i pół dnia spędziła na tapirowaniu i upinaniu

włosów w wysoki kokon. Do zrobienia jasnych pasemek użyła rozjaśniacza do wąsika nad wargą. Szwy na jej szyi i nadgarstkach były wykonane z najprawdziwszej nici chirurgicznej. Przymocowała je do skóry przezroczystą taśmą dwustronną - zwykle rysunki kredką do oczu „obrażałyby godność naśladowanej bohaterki”. Sukienkę kupioną w Pałacu Pełnym Przebrań wymieniła ostatecznie na bardziej autentyczną suknię z Przystani Panny Młodej. Jeśli Brett miał kiedykolwiek ujrzeć w niej wymarzoną partnerkę na resztę swojego życia, mogło się to wydarzyć właśnie dzisiaj albo już nigdy. Przynajmniej tak to sobie wyobrażała, mrużąc z zadowolenia mocno uczernione oczy.

- Hayl, ty też masz genialny kostium - dodała Melody.

- Dzięki!

Haylee uśmiechnęła się szeroko. Wyglądała trochę jak nawiedzona uczestniczka wyborów małej miss. Kwietny duszek w jej wydaniu miał na sobie mieniącą się, żółtą sukienkę, białe rajstopy i dużą ilość makijażu w kolorach białym, czarnym i czerwonym. Dla dodatkowej ozdoby nosiła ze sobą mały koszyczek, pełen plastikowych owadów.

Żadna z przyjaciółek nie komplementowała stroju Melody. Gdyby spróbowały - byłoby oczywiste, że kłamią. Dziewczyna miała na sobie najzwyklejsze w świecie czarne legginsy, pożyczony od mamy czarny żakiet Chanel, czarne balerinki i czarny beret. Całości dopełniał czerwono-czarny makijaż rodem z najbardziej prymitywnego horroru. Nazwała swój kostium strojem ofiary brutalnej mody. Trzyosobowe gremium w składzie Bekka, Haylee i Candace jednogłośnie uznało ten pomysł za zdecydowanie lepszy od poprzedniego: zabójczej broni.

Gdy tylko Bekka złapała za klamkę, Melody poczuła nagły skurcz w piersi.

- Nie mogę tak po prostu tam wejść!

W przejściu minęli ją zdziwiony szkielet i skonfundowany cyklop.

- Melly, wrzuć na luz - jęknęła Bekka.

- Nie mogę - odparła, oddychając ze świstem. - Maszyna do robienia dymu. Moja astma. Inhalator został w torebce w samochodzie twojego oj...

- Po prostu wejdź!

Bekka wepchnęła Melody w gęsty dym i pociągnęła w kierunku sali gimnastycznej. Nacisnęła na srebrną klamkę i drzwi otworzyły się z sykiem.

Ciemność. Światła fluorescencyjne. Remix przeboju Rihanny. Worki do śmieci poprzyklejane na ścianach. Przeróżnie wielkie kokony z martwymi ludźmi manekinami, zawieszane pod sufitem. Zapach gumowych podeszew i srebrnej taśmy klejącej. Stoliki z przekąskami podzielone na standardowe strefy, opisane na sztucznych nagrobkach. Okrągłe

stoliki zawalone sztucznymi częściami ciała. Krzesła owinięte prześcieradłami, ochlapanymi czerwoną farbą. Fantastycznie poprzebierane dziewczyny podrygujące na parkiecie. Chłopcy w wymyślnych kostiumach, zbierający się na odwagę, by do nich podejść. Wszystkie te szczegóły jednocześnie zaatakowały świadomość Melody, jak gdyby chciały, by je zauważyła, nim zemdleje z braku tlenu.

- Trzymaj - powiedziała Bekka, podając jej inhalator.

Dziewczyna głęboko się zaciągnęła.

- Ahhhhh... - delektowała się swobodnym wydechem. - Skąd to wytrzasnąłaś? - Wyjęłam go z twojej torebki, zanim wysiadłyśmy z samochodu - odpowiedziała. - Dyrektor Weeks uwielbia tę całą dymownicę. Używa jej nawet przy obchodach Święta Dziękczynienia. Uparcie twierdzi, że dzień, w którym pielgrzymi zeszli na ląd przy skale Plymouth Rock, był niezwykle mglisty.

- Dzięki, że o mnie pomyślałaś - Melody uśmiechnęła się, ale zaraz ściągnęła brwi w udawanej groźbie. - Jeśli Brett ci się dzisiaj nie oświadczy, sama to zrobię.

- Bez przesady. Po prostu przyrzeknij mi jeszcze raz, że spróbujesz się dobrze bawić.

- Obiecuję - odparła Melody, kładąc rękę na piersi. Tyle mogła przecież zrobić dla przyjaciółki.

Deuce podszedł do grupki dziewcząt, jak zwykle pewny siebie i najwyraźniej bardzo zadowolony ze swojego wyglądu.

- A oto i szalony kapelusznik - oznajmiła Haylee.

W wysokim, czerwonym zamszowym cylindrze, dopasowanym smokingu i w nieodłącznych ciemnych okularach, chłopak faktycznie prezentował się szalenie atrakcyjnie. Melody stwierdziła, że skoro już utknęła na imprezie z kimś, na kim zupełnie jej nie zależy, to Deuce nie był wcale najgorszym, co mogło ją spotkać.

- Cześć... szalona... ee... bereciarko - przywitał się ostrożnie, nie chcąc błędnie nazwać jej zagadkowego przebrania.

- Jestem ofiarą brutalnej mody - wyjaśniła z zażenowaniem.

- Faktycznie, teraz to widzę - przytaknął, uśmiechając się.

- Idziemy poszukać Bretta i Heatha - zapowiedziała Bekka, chwyciła Haylee pod ramię i zniknęła w mglistej sali, nie dając Melody szans na to, by ją zatrzymała.

Pozostawieni sami sobie oboje zaczęli rozglądać się dookoła. Wszystkich zdawało się ogarniać pozytywne szaleństwo.

Potwory wszelkich możliwych kształtów i rozmiarów przechadzały się po sali, nawzajem komplementując swój wygląd lub próbując zaciągnąć opornych partnerów na parkiet.

- Wytłumaczysz mi kiedyś sekret tych okularów? - odezwała się Melody, chcąc przerwać milczenie. - Przecież tu i tak jest strasznie ciemno. Widzisz coś przez te szkła? - zapytała i pod wpływem chwili spróbowała zdjąć mu je z oczu.

- Oddawaj! - ryknął. Był tak wściekły na dziewczynę, że wyraźnie omijał ją wzrokiem. Zerknął jej tylko przez ramię, zacisnął powieki i niczym ślepiec zaczął nieporadnie szukać okularów.

- Proszę - powiedziała Melody, wkładając mu oprawki w opalone dłonie. Założył je z zadziwiającym pośpiechem. - Przepraszam, chciałam tylko...

Przerwała w pół zdania. Co właściwie sobie wyobrażała?

- Nic się nie stało - odparł spokojnym głosem Deuce. - Wiesz co, powinienem chyba napisać do Cleo. Siedzi sama w domu, rozumiesz... poczekasz na mnie minutkę?

- Jasne, nie ma sprawy.

- Dzięki - rzucił chłopak. Niechący potrącił samotny, kamienny posążek wiedźmy i popędził do wyjścia.

Melody uchroniła figurkę przed upadkiem (postać czarownicy była intrygująco podobna do jednej z uczennic), po czym wyruszyła na poszukiwanie Candace. Pilnie potrzebowała małej pożyczki na taksówkę. Co z tego, że mieszkała ledwie trzy przecznice od szkoły? Wracanie na piechotę z imprezy było równie beznadziejne jak postacie w domu z kubelkiem lodów. Gdyby jej obecne uczucia były właśnie lodami, z pewnością miałyby smak cytryny.

Dochodziła ósma. Zaczęli schodzić się wszyscy ci, którzy uważali, że spóźnianie się na tego typu zabawy jest dobrze widziane. Kolejne grupki obojętnym krokiem wkraczały na salę. Nowo przybyli rozglądali się po dekoracjach ze znawstwem i podejrzliwością kupców nieruchomości. Gęstniejący pod ścianami tłum, zdecydowanie zbyt „fajny”, by na parkiecie tańczyć do radiowych przebojów, praktycznie uniemożliwił Melody wypatrzenie Candace, przebranej za upiorną wróżkę. Większość brunetek przy okazji zabaw kostiumowych zakłada jasne peruki - nigdy odwrotnie. Dlatego próba rozpoznania siostry w falującym morzu blondwłosych głów dorównywała trudnością poszukiwaniu igły w stogu siana.

Rozglądając się za Candace w strefie z wegańskim jedzeniem, Melody z pewnym rozbawieniem podziwiała kreatywność twórców bezmięsnego menu. Miniaturowe marchewki

zostały opisane jako PALUCHY GOBLINÓW, a pokrojone w kostki tofu jako ZĘBISZCZA BESTII.

- Życzysz sobie krwistego ponczu? - odezwał się ktoś tuż za jej plecami.

Głos był delikatny, ale pewny. Brzmiał znajomo, lecz jakby... mocniej. Można było odnieść wrażenie, że jego właściciel przeszedł ostatnio wyraźną przemianę... i to na lepsze.

Czyżby... D.J.?

Melody odwróciła się raptownie. W tym momencie usłyszała plusk i... po twarzy spłynęły jej strugi czerwonego napoju.

- Cholera, strasznie cię przepraszam!

D.J. (a może jednak Jackson?) zgarnął kilka czarnych serwetek ze sterty leżącej obok miski pełnej chipsów, opisanych jako PAZURY DEMONÓW

- Nic nie szkodzi - odparła Melody, wycierając lepki sok. - I tak szukałam wymówki, która pozwoliłaby mi zetrzeć to ohydztwo z twarzy.

Chłopak płynnie podawał jej kolejne serwetki, niczym magik wyciągający z rękawa niekończący się sznur kolorowych szali. Gdy cały płyn został wytarty, a zużyte chustki wylądowały w koszu na śmieci (WRZUĆ POTWORA DO WORA), chłopak i dziewczyna spojrzeli w końcu na siebie. Żadne nie potrafiło powstrzymać się od uśmiechu. Sprawiali wrażenie dwójki znajomych, którzy spotkali się po bardzo długiej rozłące.

- Jackson, to ty?

Chłopak pokiwał głową, nie przestając się uśmiechać.

- Co tu robisz? - spytała Melody, w duchu czując wielką ulgę. - Nie, żebym ci zabraniała, czy coś, ale... ostatnio nie miałeś na nic czasu.

- Pomyślałem sobie, że może będziesz miała ochotę wskoczyć na mój garb - odparł, wskazując na poduszkę wepchniętą pod sweter.

- Ee...

Dobry nastrój Melody prysł niczym bańka mydlana. Chwyciła chłopaka za nadgarstek i zaciągnęła do pustego stolika na uboczu.

- D.J., to znowu ty? - wyszeptała.

- Nie - zdecydowanie zaprzeczył Jackson. Jego policzki oblały się ciemnym rumieńcem. - To miał być żart. Chciałem cię trochę rozbawić, tylko tyle.

- Mnie? Wyglądam aż tak żałośnie?

- Nie, skądże. Widziałem po prostu, jak Deuce zostawił cię samą. A wiem, że mieliście spędzić tę imprezę razem.

W pierwszym odruchu Melody chciała udąć wielkie oburzenie. Szybko jednak zaniechała tego, obserwując zmagania Jacksona. Ponad wszelką wątpliwość chciał wyglądać na naprawdę przejętego zaistniałą sytuacją. Walka z niesforne unoszącymi się kącikami ust była jednak nierówna - i to na wyraźną niekorzyść chłopaka. Nie potrafił ukryć radości z faktu, że dziewczyna niespodziewanie została na sali sama. Prawdę mówiąc, Melody czuła się tak samo.

- Śledziłeś mnie?

Jackson sięgnął po leżącą na stoliku zieloną rączkę, oderwaną od jakiejś lalki.

- To ty mnie tego nauczyłaś! - zawołał dramatycznie, wymachując plastikową kończyną przed oczami Melody.

- Jak to ja?

- Może mi powiesz, że naprawdę nie podglądałaś mnie tego wieczoru, kiedy nakryłem cię w pokoju Candace?

Melody otworzyła usta, chcąc powiedzieć coś na swoją obronę, ale nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem - jak się okazało, zaraźliwym. Rozbawiony Jackson chwycił ją za rękę. Między dziewczyną a chłopakiem przepłynął strumień przyjemnie mrowiącej energii, jak gdyby zasilającej nawzajem ich ciała.

- Więc jak to było? Przyszedłeś tu wyrwać mnie z łapsk Deuce'a? - przekomarzała się Melody.

W odpowiedzi chłopak przejechał dłonią po swoich gęstych kosmykach i zapatrzył się w parkietowe pandemonium, pełne wirujących potworów.

- Nie, chciałem się tylko upewnić, że będzie cię odpowiednio traktował.

Dziewczyna ścisnęła mu dłoń, dając do zrozumienia, że docenia jego troskę. Odwzajemnił uścisk, jakby chciał powiedzieć: zawsze do usług.

Porównując się z otaczającymi ją postaciami, ogarniętymi imprezowym szaleństwem, Melody czuła się jak wypchnięty wodą balon wśród wesoło podrygujących, pełnych helu kolegów. Ciężar tajemnicy Jacksona nieznośnie ją uwierał. Bolało ją również to, że nie zaufała jej na tyle, by dobrowolnie powierzyć jej swój sekret. Widziała, że z każdym mijającym dniem coraz bardziej zamykał się w sobie. Nie chciała, by te niedomówienia oddaliły ich, tak jak się to dzieje z dwoma magnesami o jednakowych biegunach.

Jackson przejechał palcem po zaschniętej plamie farby, imitującej krew na oparciu krzesła.

Melody uśmiechnęła się niepewnie.

Chłopak odwzajemnił uśmiech.

I co teraz? Miała mu tyle do powiedzenia, ale kompletnie nie wiedziała, jak zacząć. Żadnego punktu zaczepienia. Całkowity brak pomysłu na pierwsze zdanie. Przecież nie mogła po prostu...

- Skoro mówimy o podglądaniu... - powiedziała, ku własnemu zaskoczeniu.

- Tak?-»

Jackson popatrzył na nią uważnie, w ten swój wyjątkowy sposób - na wpół zafascynowany, na wpół zakłopotany, zupełnie jakby niechcący przyłapał na miłosnych igraszkach parkę owłosionych gasienic.

- No wiesz, ty przyłapałeś mnie na małym szpiegostwie, ja przyłapałam ciebie...

- Ściśle rzecz biorąc, wcale mnie nie przyłapałaś. Sam się do tego przyznałem i...

- W porządku. Jak dla mnie to nawet lepiej.

Melody przymknęła oczy i wzięła głęboki oddech.

- Próbuję ci powiedzieć, że... - przerwała i szybko zaciągnęła się powietrzem z inhalatora. - Pamiętasz, jak dwa razy wszedłeś do mojego domu bez proszenia?

Pokiwał głową.

- Zrobiłam coś podobnego - powiedziała. Czekala na jego reakcję. Miała cichą nadzieję, że chłopak domyśli się, co chciała wyrazić przez to cokolwiek zagadkowe zdanie. Ba, liczyła na to, że nie dość, że wszystko zrozumie, to jeszcze sam dokończy tę trudną opowieść. Niestety, Jackson jedynie wpatrywał się w nią wyczekująco. W najmniejszym stopniu nie ułatwiał jej tej przeprawy.

- Wiem o wszystkim!

Usłyszałam jak twoja mama wyjaśniała ci skąd się biorą twoje problemy chociaż mogłam wyjść to zos
tałam bo chciałam wiedzieć - wyrzuciła jednym tchem, po czym gwałtownie nabrała powietrza.

- Chciałam zrozumieć, co się z tobą dzieje.

Serce Melody uderzało głośniejsze niż basy trzęsące głośnikami. Przynajmniej tak jej się zdawało. No, powiedz coś wreszcie! - prosiła go w myślach.

Jackson ze wzrokiem wbitym w podłogę powoli wstał z krzesła. Najwyraźniej zbierał się do wyjścia.

- Mogę skomentować to tylko w jeden sposób - odezwał się w końcu, sięgając do przedniej kieszeni dżinsów.

Melody poczuła nagły ucisk w piersi. Ponownie sięgnęła po inhalator. Tym razem nie przyniósł ulgi.

- Mów, miejmy to już za sobą.

Wyciągnął mały, bezprzewodowy wentylatorek i włączył go jednym pstryknięciem. Białe, plastikowe śmigło zaczęło wirować wokół niebieskiej osi, bzycząc przy tym niczym zaaferowana pszczoła.

- Jak dla mnie - to wynalazek roku! - wykrzyknął.

- Ze co? - zapytała z niedowierzaniem Melody, na poły śmiejąc się i płacząc. - Czy ty w ogóle zrozumiałeś, co ja przed chwilą powiedziałam?

Chłopak pokiwał głową na tak i rozsiadł się na krześle, rozkoszując się słabym, ale jakże cennym dlań chłodnym powiewem.

- Jackson, znam twoją tajemnicę - powtórzyła. - Wszystko podsłuchałam.

- I co ja mam z tym zrobić? - spytał i nachylił się nad stołem. - Byłaś niegrzeczna, więc mam cię jakoś ukarać, czy jak?

- No nie, ale...

- Nie gniewam się - uśmiechnął się szeroko. - Domyśliłem się tego.

- Jak to?

- To ja zostawiłem uchylone drzwi - wyjaśnił. - Widziałem też, jak biegiem wracasz do swojego domu.

- Naprawdę?! Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

- Chciałem mieć pewność, że to, co usłyszałaś, nie zniechęci cię do mnie, i że nie robisz sobie z powodu podsłuchiwania niepotrzebnych wyrzutów. Myślę, że już wystarczającą karą za to jest dla ciebie sam ciężar tego sekretu.

- Czy to właśnie od dźwigania tej tajemnicy wyrósł ci taki wielki garb?

Wybuchnęli śmiechem w tym samym momencie.

Przy następnej wolnej piosence wstali i zaczęli tańczyć.

Przytulali się, niespiesznie kiwając biodrami w rytm którejś z rzewnych ballad Taylor Swift. Mewidzialna siła, która dotychczas zdawała się odpychać ich od siebie, zniknęła bez śladu. Rozdzielał ich wyłącznie orzeźwiający strumień powietrza, płynący z niewielkiego wiatraczka.

ROZDZIAŁ 21

GŁOWA DO GÓRY!

Frankie, Lala, Blue, Clawdeen i Cleo stanęły przed drzwiami szkoły, trzymając się za ręce. Wyobrażały sobie, że są jak wystrzałowe dziewczyny z Pussycat Dolls, tuż przed wejściem na scenę. Przez całą drogę w samochodzie upewniały się we wspólnym postanowieniu. Na parkingu nawzajem dopracowały szczegóły swoich kostiumów. Były zdecydowane zaryzykować i w imieniu społeczności potworów wykonać ten niewielki, ale znaczący krok w kierunku zmian. Teraz pozostało im tylko zebrać się na odwagę i wejść do szkoły, nim skończy się impreza.

- Dobra, liczę do trzech - oznajmiła Frankie. Rozmasowała ramiona niczym bokser szykujący się do walki. Częściowo zasłaniały je delikatne, koronkowe rękawy sukni ślubnej babci Pfkkenstein.

- Raz... dwa...

Wtem drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem. Jak błyskawica wypadł przez nie zaaferowany chłopak, bezlitośnie rozrywając łańcuch złączonych dziewczęcych rąk.

Deuce? Cleo aż zatkało z wrażenia. Potrząsnęła głową z niedowierzaniem tak gwałtownie, że jej złote, wiszącekolczyki zabrzęczały niczym dzwonki. Białe lniane pasy materiału okrywały ciało dziewczyny od stóp do głów. Dla wzmocnienia efektu obwiesiła się kilogramami wysadzanych szafirami królewskich błyskotek. Rubinowe oczy szczerozłotych węży, oplatających jej głowę na kształt korony, groźnie połyskiwały. Ich właścicielka nie miała litości dla nieczysto grających chłopaków.

- Hej - wyjąkał Deuce, poprawiając przekrzywiony kapelusz. - Właśnie wychodziłem, żeby do ciebie zadzwonić. Myślałem, że siedzisz w domu i... bojkotujesz imprezę.

- „Myślałeś”, jasne, uważaj, bo ci uwierzę. Pewnie myślałeś też, że o niczym się nie dowiem.

- Uuu, ostro, siostró! - zawyła Clawdeen, klepiąc się w udo. Sukienka wilkołaczki odsłaniała zaskakująco dużą powierzchnię jej ciała.

- Co wy... - Deuce zrobił krok do tyłu. - Co wy na siebie włożyłyście?

Przyjrzał się uważnie każdej z osobna. Z przerażeniem dostrzegł zieloną skórę i białe pasemka Frankie, wystające kły Lali, odkryte pletwy Blue, nieosłonięte futro Clawdeen i owinięte w bandażę ciało Cleo.

- Czy wyście kompletnie oszalały? - wyszeptał wściekle, popychając dziewczyny w kłęb sztucznego dymu.

Z wnętrza dobiegły ich pierwsze takty piosenki Beyonce Single Ladies (Put a Ring on It).

- To mój ukochany kawałek! - zawołała Cleo. Wyciągnęła dłonie do przyjaciółek. Ponownie chwyciły się za ręce.

- Cleo, co ty wyprawiasz! - Deuce zagroził jej przejście. - Przecież z Melody to nieporozumienie. Przysięgam! Właśnie chciałem do ciebie zadzwonić.

- Dobrymi chęciami wybrukowane jest piekło - odburknęła dziewczyna.

- Przestań - odparł Deuce. - Dobrze wiesz, że z tobą jest mi jak... w niebie.- Mówisz? W takim razie najwyższy czas zejść na ziemię! - odparła, po czym pomachała mu na do widzenia, kopnięciem otworzyła drzwi i pociągnęła za sobą oniemiałe z zachwytu przyjaciółki.

- Popelniacie ogromny błąd! - zawołał za nimi Deuce.

Było już jednak za późno, by zawrócić. Hipnotyczny, pulsujący rytm piosenki wabił dziewczyny do środka, prosto na parkiet, niczym syreni śpiew. Zbudowana wsparciem, którego udzielały jej i sobie nawzajem koleżanki i dumna z tego, na jaki krok się wspólnie odważyły, Frankie poruszała się w tłumie z pewnością gwiazdy Filmowej.

Od razu ściągnęły na siebie uwagę całej sali. Obsypywano je komplementami: padały u ich stóp niczym róże rzucane przez oszalałą publikę. Błyszczury byłyby ze mnie takie dumne, przeszło Frankie przez myśl. Nie mówiąc już o Viv i Viku.

Gdy zbliżyły się do granicy parkietu, na ich drodze stanęła Bekka w towarzystwie swojej zahukanej pomocnicy. Ani śladu Bretta! - stwierdziła z zadowoleniem. Dobry znak. Stanęła naprzeciwko Frankie, zmuszając ją do puszczenia lodowato zimnej dłoni Lali.

- Za kogo niby jesteś przebrana? - spytała Bekka, wyraźnie podirytowana przypadkowym podobieństwem ich kostiumów.

Przez krótką chwilę Frankie chciała wyjawic jej swoją prawdziwą tożsamość, ale szybko się zreflektowała.

- Jestem narzeczoną Frankensteina - odpowiedziała, jak gdyby nigdy nic.

Bekka wskazała na jej białe stopy.

- Nie stać «ię było na buty? Czyżbyś splukała się w lumpeksie, w którym znalazłaś tę szmatę?

- Z tego, co mi wiadomo, prawdziwa narzeczona Frankensteina na swoim weselu tańczyła na bosaka.

- Co ty powiesz... A nie słyszałaś o tym, że miała narzeczonego?- Pewnie - odparła z zadowoleniem Frankie. - Jeśli chcesz wiedzieć, to był...

Powstrzymała się w ostatniej chwili. Igraszki z ogniem to jedno, ale wskakiwanie w otwarte płomienie to już zupełnie co innego.

- Muszę przyznać, że nieźle ci w zieleni - powiedziała zamiast tego, zupełnie zresztą szczerze.

- Za to tobie okropnie - rzuciła Bekka. - Co jest tym bardziej żalosne, że cała jesteś zielona.

Paylee nie przestawała pisać na telefonie.

- Tak, jasne, to naprawdę miało dużo sensu - Frankie, zirytowana, wywróciła oczami.

Drobna pomocniczka na moment podniosła wzrok znad ekranu.

- Zieleń to kolor zazdrości - powiedziała. - Być zielonym z zazdrości. To takie wyrażenie.

- Dobrze widzę, jak patrzysz na mnie i Brett - syknęła Bekka. Oparła dłonie na biodrach i nerwowo rozejrzała się po sali gimnastycznej.

- Niby dlaczego miałabym być o nią zazdrosna? - zapytała Frankie, wskazując na koleżankę Bekki.

- Ej, wcale nie nazywam się Brett - zaprzeczyła wskazana.

Frankie zachichotała, zamachała ręką na pożegnanie i odwróciła się do nich tyłem. Nie miała ochoty psuć sobie nastroju prymitywnymi przytykami. Cóż mogła ją obchodzić opinia marnej podróbki jej babci, której włosy przypominały fryzurę Marge Simpson?

- Naprawdę nieźle zagranie - wyszeptał jakiś głos prosto do jej ucha.

Frankie odwróciła się w miejscu. Na wysokości jej twarzy unosiła się w powietrzu czarna róża.

- Proszę - powiedział głos, a róża przysunęła się odrobinę bliżej. - To dla ciebie. Zwinąłem ją którejś z upiornych wrózek.- To ty, Billy? - zaśmiała się Frankie.

- We własnej osobie - odparł niewidzialny chłopiec. - Uważam, że to, co robisz, jest naprawdę odważne.

Wsunął jej kwiat za ucho.

- Nie bój się, wyrwałem kolce.

- Dziękuję.

Frankie pogłaskała ciemne płatki, do głębi wzruszona gestem Billy'ego.

- Auuuuuuuuuuuuuuuu! - zawyła Clawdeen, wirująca na samym środku parkietu.

- Auuuuuuuuuuuuuuuu! - odpowiedziała cała sala.

Frankie wbiła się w spocony tłum, chcąc przedostać się do przyjaciółek. Po drodze co rusz ktoś łapał ją za rękę.

- Ale ekstra!
- Twoja skóra wygląda, jakby naprawdę była zielona.
- Zabójczy kostium!
- Czy to coś w twojej szyi to kolczyki?
- Genialne, ja też takie chcę!
- Prawda? Są super.
- Jest pozszywana lepiej niż moja piłka do baseballu.

Frankie drżała z ekscytacji, ale raczej nie była zdziwiona pozytywnymi reakcjami otoczenia na swój widok. Przewidziała je przecież i ani przez moment nie zwątpiła w nie. Trzeba było tylko kogoś, kto miałby odwagę sprawdzić, jak w rzeczywistości normalni reagują na RADowców, występujących bez przebrań. Ona i przyjaciółki weszły na parkiet pełen ludzi takie, jakie były naprawdę. I nic złego się nie działo. Wszyscy świetnie się bawili. Frankie zerknęła na telefon, chcąc sprawdzić, o której dokładnie godzinie nastąpiło to historyczne wydarzenie. Było trzynaste po ósmej.

- Hurraaa! - krzyknęła radośnie, dołączając do dziewczyn.
- Frankieeee! - zawołały w odpowiedzi przyjaciółki.
- Ale ubaw, kochana! - zapiszczała Blue, jednocześnie wylewając na siebie butelkę wody. Płyn sprawiał, że łuskowata skóra dziewczyny mieniła się niczym wnętrze muszli.
- Łuuuhuuuuu! - ryknęło kilkanaście głosów, zachwyconych tym niepokornym gestem.

Pod wpływem wilgoci sierść Clawdeen zaczęła skręcać się w strąki. Cleo tańczyła w objęciach jakiegoś chłopaka. Na jego głowie połyskiwała jej korona. Lala natomiast wyszczerzała kły na prawo i lewo.

- Popatrz! - powiedziała, przytykając palec do czoła. - Pocę się!
- Nie jest ci zimno? - Frankie uśmiechnęła się szeroko.
- Nie jest mi zimno! - zawołała Lala i wyrzuciła wełnianą narzutkę daleko w tłum.

Podniecenie, w jakie udało im się wprawić szkolną gromadę, przekraczało wszelkie marzenia Frankie.

- Witaj, piękna pani - po raz kolejny wyszeptał ktoś tuż za nią.
- Billy?

Odwróciła się.

- Hmm, nazywam się Brett. Ale dziś możesz mnie nazywać swoim Frankensteinkiem.

ALE CZAD!

Chłopak ze znanstwem przejechał dłonią po koronkowych rękawach sukni Frankie i potarł kciukiem szwy na jej nadgarstkach. Sam także świetnie wyglądał w ciemnym garniturze. Miał umalowaną na zielono skórę, doczepione śruby i szwy. Dziewczyna niczego więcej nie mogła sobie wymarzyć. W dodatku sam ją odnalazł!

Jeszcze do niedawna, w wyobraźni, odgrywała tę scenę w kącie pod schodami. W rzeczywistości spotkali się w samym centrum zabawy. Otoczeni przez wymieszanych ze sobą normalsów i RADowców. Dotknęli się bez skrępowania. Głęboko spojrzeli sobie w oczy. Nie było w nich strachu.

Brett pieszczotliwie przesunął palcami po rozjaśnionym kosmyku włosów dziewczyny. Poczuł delikatne mrowienie, lekkie kopnięcie prądu.

- Fajnie, że włożyłaś to zamiast tamtej bufiastej sukienki - kiedy to mówił, w jego ciemnoniebieskich oczach widać było radość. - Wyglądasz naprawdę świetnie.

Frankie kompletnie nie wiedziała, co powiedzieć. Potrafiła tylko niemo wpatrywać się w chłopaka.

Czy tak właśnie czują się zombie?

Tymczasem Brett przyciągnął ją do siebie... ujął jej twarz w swoje ciepłe dłonie... i pocałował w usta. Podobnie jak całują się zakochani w finale komedii romantycznej. Tylko lepiej.

O wiele lepiej.

Frankie poczuła, że zaczyna się jarzyć. Miała wrażenie, że swobodnie unosi się do góry, niczym urodzinowy balonik. Płynęła coraz wyżej i wyżej, a ziemia pod jej stopami stawała się coraz mniejsza i mniejsza. Dźwięki zlały się w jeden niezrozumiały szum. Pojęcia takie jak „odpowiedzialność” czy „konsekwencja” zdawały się w ogóle nie mieć znaczenia. Liczyła się tylko ta jedna chwila. Nie było ani przeszłości, ani przyszłości.

Wyłącznie tu i teraz.

Całowali się coraz bardziej namiętnie. Chłopak przypadkowo pocierał przy tym szwy na szyi dziewczyny. Frankie czuła, że odlatuje. W duchu cieszyła się, że przed wyjściem z domu pamiętała, by dobrze przemyć i natłuścić nitki. Stały się dzięki temu miękkie i wyjątkowo elastyczne. Wyobrażała sobie, że to tę część jej ciała Brett będzie ubóstwiał najbardziej, kiedy już zostaną na zawsze razem...

Głowa dziewczyny przechylała się to w lewo, to w prawo, poddając się pewnemu uchwytowi dłoni partnera. Bujała się w rytm tańca, którego kroki Brett ułożył specjalnie dla nich. Mmmm... - poddała się wizji, wyobrażając sobie, jak samotnie wiru...TRRRRACH!

Ni stąd, ni zowąd Frankie poczuła przenikliwy ból, przeszywający jej szyję. Usta w mgnieniu oka oddały całe ciepło. Przed oczami tryskały oślepiające snopy iskier. Kręciło jej się w głowie i nie do końca wiedziała, gdzie się właściwie znajduje. Potem wszystko ustało. Przed oczami widziała wyłącznie ciemny materiał garnituru. Wtedy rozległ się wrzask.

- Aaaa!

Niespodziewanie jej głowa oderwała się od ciała i uniosła, sypiąc iskrami, niczym startująca rakietą. Twarz Frankie znalazła się dokładnie naprzeciwko twarzy Bretta. Ciemnoniebieskie oczy chłopaka zasnuła mgła. Wodził dookoła nieprzytomnym wzrokiem. W lewo. W prawo. W końcu przymknął powieki. Dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Ciało Frankie również zadrżało. Niemal jednocześnie zaczęły lecieć w dół... i w dół...

Wylądowali na podłodze z głuchym tąpnięciem. Frankie, bezwładna niczym szmaciana lalka, upadła prosto na piersi chłopaka. Jej oswobodzona głowa potoczyła się pod stanowisko didżeja.

Fuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuu!

Sala zamieniła się w prawdziwe pandemonium! W powstałym zgiełku mieszały się przerażone jęki, oszalałe kroki i paniczne wrzaski. Jakiś wielki buciur zamachnął się, by kopnąć głowę dziewczyny... lecz ta naraz płynnie oderwała się od ziemi i uniosła na bezpieczną wysokość.

- Ta głowa potrafi fruwać!

- Lewituje!

- Unosi się w powietrzu!

- LATA!

- LATAJĄCA GŁOWA!

Frankie nie widziała wyraźnie. Otaczające ją obrazy przeskakiwały nieustannie niczym podczas transmisji oglądanej na zepsutym odbiorniku telewizyjnym. - TO POTWÓR! - rozległo się wołanie. Głos mógł należeć do Bekki. Ale nie musiał.

- Latająca głowa potwora! - wrzasnął ktoś inny.

- Zabierzcie stąd jej ciało - wyszeptał do oszołomionych przyjaciółek Frankie chłopięcy głos. - Nie pozwólcie, by ktokolwiek mu się przyglądał. Spotkamy się przy samochodzie Claude'a.

- Billy, czy to ty? - bezskutecznie próbowała wykrztusić Frankie.

Eeeeeooooo eeeeeooooo eeeeeooooo...

Zawyła syrena alarmowa.

- Wszyscy na stoły, ale już!

Eeeeeoooooooo eeeeeoooooooo eeeeeoooooooo...

- Łapcie za krzesła!

- Raz, raz!

- Szybko!

Eeeeeoooooooo eeeeeoooooooo eeeeeoooooooo...

- Zróbcie hałas!

- Arggggrggrgrgrggrggr!

- Głośniej!

Chmura gryzącego dymu otoczyła Frankie niczym szorstki welon. Dziewczyna zacisnęła oczy z bólu. Zapadała się w coraz głębszą ciemność. Ostatnie, o czym pomyślała, to czy świat będzie taki sam, kiedy następnym razem ujrzy światło.

Eeeeeoooooooo eeeeeoooooooo eeeeeoooooooo...

Oczywiście przy optymistycznym założeniu, że jeszcze dane jej będzie je zobaczyć.

ROZDZIAŁ 22

MONSTER HIGH

W tym samym czasie zmęczeni tańczeniem Melody i Jackson odpoczywali w mniej uczęszczanym kącie sali. Dziewczyna właściwie nie zwróciła uwagi na pierwsze przerażone okrzyki dobiegające z parkietu. Dopiero dziki wrzask Bekki: „To potwór!” przykuł jej uwagę.

- Co tam się stało? - zaczęła chłopaka-nietoperza, przechodzącego szybkim krokiem obok nich.

- Masakra! Jakaś para zaczęła się całować... i nagle dziewczynie odpadła głowa! - wykrzyczał przerażony i popędził w stronę wyjścia.

Jackson podrapał się po głowie.

- Czy ty też to słyszałaś?

Melody zaśmiała się. Tamten wystraszony chłopak plótł straszne bzdury.

- To pewnie jakieś efekty specjalne - stwierdziła. - Nasz ukochany dyrektor nie odpuściłby sobie możliwości urozmaicenia zabawy.

- Mam nadzieję.

Jackson zaczął nerwowo skubać zębami paznokcie.

- Czyżby ktoś tu się bał? - przekomarzała się Melody. - Może odrobinę - przyznał, zerkając przez ramię. - Ale nie bezgłowej dziewczyny.

Większość uczniów i nauczycieli zdążyła już wdrapać się na stoły. Wariacko wymachiwali krzesłami i wyli jak przerażone wilki. Ci, którzy nie zadołali zając bezpiecznych pozycji, w straceńczym szale rzucili się do zrywania z siebie nawzajem elementów kostiumów. Wróg mógł przecież wciąż czaić się pośród nich.

- POTWOR! - Bekka darła się jak opętana. - RATUNKUU! TO PRAWDZIWY POTWOR!

Idąc na odsiecz spanikowanej przyjaciółce, Melody spostrzegła, że obiektem domniemanego ataku potwora był Brett. Z kolei bezgłowa dziewczyna z pewnością nie była Bekką.

Jackson rozejrzał się dookoła. Atmosfera robiła się coraz bardziej gorąca - i to dosłownie. W jego orzechowych oczach pojawił się autentyczny strach.

- Melody, naprawdę muszę stąd wyjść - oznajmił, przystawiając niewielki wentylator do czoła. W tym momencie przebiegający obok chłopak niechcący potrącił go w łokieć. Siłą rozpędu urządzenie wyśladowało na drugim końcu sali. Jackson szarpnął Melody za rękaw.

- Słuchaj, nie mogę zostawić Bekki w takim stanie - odparła, ciągnąc go za sobą w głąb zamieszania, gdzie stała przerażona koleżanka.

- Dlaczego? przecież nic jej nie grozi - odparł.

- Chwilę temu została zdradzona przez swojego chłopaka!

- Tam jest potwór! - ktoś przestraszony, w przebraniu ducha, odbił się od Jacksona i pobiegnął w kierunku drzwi.

W tym momencie na salę wpadło czterech uzbrojonych policjantów i ekipa ratowników medycznych z noszami.

- Ukryjcie swoich chłopaków i swoje dziewczyny! Potwory próbują przeniknąć do naszego życia! Chcą się krzyżować z naszym gatunkiem! - wydzierała się Bekka, klęcząc przy nieruchomym ciele Bretta. Zdjęła z jego palca skrawek czarnej nici i przyjrzała mu się uważnie.

- No chodź! - Melody stanowczo popchnęła Jacksona w stronę parkietu.

Na ich widok Bekka podniosła się z ziemi. Policzki lśniły jej od łez, a kokon z włosów zwisał smętnie, złamany wpół.

- Nareszcie! Widziałas, co się stało? To było takie okropne - wyrzuciła z siebie, szlochając głośno.

Melody nie była pewna, czy Bekka mówi o samej tylko zdradzie, czy też o przerażająco... sąjpodzielnej głowie sprawczynie tego obrzydliwego występu. I to, i to było zdecydowanie nieprzyjemne.

Jako bliscy świadkowie zdarzenia, Haylee i Heath zaczęli składać swoje zeznania jednemu z policjantów, podczas gdy medycy podsuwali sole trzeźwiące pod nos omdlałego chłopaka.

Ocknął się momentalnie.

- AAAAAAAAAAAAAAAAAAAAA! - krzyknął przeraźliwie.

- On cierpi! - zawołała Bekka. - Pomóście mu!

Szybki zastrzyk podziałał od razu. Brett uśmiechnął się szeroko i zaczął mamrotać do siebie samego, niczym dziecko dopiero uczące się mówić.

- Jak się czujesz? - spytała Bekka, kucając obok. - Myślałeś, że ona to ja, tak?

W odpowiedzi chłopak bezwładną dłonią narysował w powietrzu okrąg.

- Brett! Pomyliłeś ją ze mną, prawda?!

Spojrzał na nią i... wybuchnął śmiechem.

- Co się stało z twoimi włosami? - spytał.

Zignorowała jego słowa.

- Jak mogłeś nie rozpoznać smaku jej błyszczyka? Przecież ja używam tylko i wyłącznie truskawkowego!- Hej, słyszeliście, że Bekkalubitruskawkowybłyszczyk? - wybełkotał. - Wiecie kto to Bekka? To moja lasssssska.

- To było jasne, panie posterunkowy - westchnęła z rezygnacją dziewczyna, zwracając się do jednego z policjantów.

- Sierżant Garrett.

- To nie był zwykły pocałunek, panie sierżancie. Ona wyssała z niego umysł! To ich strategia. Zwabiają niewinnych facetów i wysysają ich mózgi do czysta. Musicie ją odnaleźć i zatrzymać! - powiedziała, wręczając mu znaleziony wcześniej skrawek nici. - Proszę przekazać to do analizy. To nasz jedyny trop.

- Obiecuję wysłać wszystkich swoich ludzi w teren - odparł, wrzucając nitkę do plastikowego woreczka. - Jeśli w tym mieście ukrywają się inne podobne istoty, na pewno je wytropię. Tak, jak to dawniej robił mój ojciec.

Jackson pociągnął Melody za rękaw.

- Nie wytrzymam tutaj dłużej - powiedział.

Ratownicy ułożyli Bretta na noszach.

- Gdzie go zabieracie? - spytała Bekka.

- Do szpitala miejskiego.

- Jadę z wami - stwierdziła dziewczyna.

- Jesteś członkinią rodziny? - zapytał jeden z medyków.

- Jestem jego narzeczoną.

Jackson ściągnął sweter. Udająca garb poduszka wypadła na podłogę.

- Słuchaj, leje się ze mnie! Musimy już iść.

- Melly - zawołała Bekka, pospiesznie drepcząc za ratownikami. - Haylee zostanie tutaj, by spisać więcej zeznań, a ty spróbuj odnaleźć to... coś. Odezwę się ze szpitala.

- A naprawdę jest czego szukać? - spytała dziewczyna z niedowierzaniem. - Chyba nie traktujesz tego poważnie. To musiała być jakaś sztuczka.

- Dobrze wiem, co widziałam - warknęła Bekka. - Kiedy już wpadniesz na trop potwora, koniecznie daj mi znać. Zajmę się tym. Tylko uważaj na siebie!

- Niby jak mam odnaleźć coś, co istnieje tylko w jej wyobraźni? - westchnęła Melody, zwracając się do Jacksona.

- Nie mam pojęcia, ale wiem, że muszę natychmiast wyjść na zewnątrz - odparł chłopak, ponownie łapiąc ją za rękę.

- Melody, gdzie ty się wybierasz?

Haylee zastąpiła im drogę, stawiając na podłodze swój koszyk ze sztucznymi owadami.

Jackson zrobił krok w kierunku wyjścia.

- Chcę zaczerpnąć świeżego powietrza - wyjaśniła.

- Nie ma na to czasu! - parsknęła Haylee. - Musisz ująć bestię jak najszybciej! - zawołała z przejęciem. - Cholera! Ze też akurat dziś musiałam zostawić swój aparat w samochodzie pana Maddena. A tak porobiłabym zdjęcia! Mogłybyśmy zrobić plakaty i rozwiesić je po okolicy - dodała. Pożyczyła aparat od któregoś z garstki pozostałych jeszcze uczniów i zabrała się do dokumentowania miejsca zbrodni.

Jak na osóbkę tak drobną, Haylee zadziwiała siłą przebiccia.

- Melody, chodźmy już! - nalegał Jackson. - Jeśli oni odkryją, kim jestem...

- To co? Przecież nie jesteś... - przerwała raptownie. Właśnie zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, kim tak naprawdę jest Jackson. Czy jako krewny doktora Jekylla i pana Hyde'a nie był przypadkiem... potworem?

- No, do roboty! Musisz to zrobić dla Bekki. Ona nie wahałaby się ani chwili, gdyby chodziło o ciebie. Przyjaciółki są najważniejsze, pamiętasz?

Melody czuła się jak piłeczka pingpongowa: odbijano ją w tę i w tamą, kompletnie nie dbając o jej własne zdanie. Najchętniej by się rozdzieliła. Musiała jednak podjąć jakąś decyzję. Niestety, wybór jednej ze stron oznaczał rozczarowanie drugiej.

- Tak, pamiętam, ale...

- Melody, idziemy! - nalegał Jackson. Cały ociekał potem.

- Chwila!

- Nie zrób jakiegoś głupstwa - poradziła Haylee i wróciła do przerwanych przesłuchań.

- Muszę wyjść! - wycodził Jackson przez zaciśnięte zęby.

Melody westchnęła ciężko. W głowie kręciło jej się ze zdenerwowania. Czuła się kompletnie rozstrojona. Dlaczego właściwie wyjechała z Beverly Hills? Dlaczego zmieniła kształt swojego wielbłądniego nosa? Jako Nochalina nie miałaby takich dylematów.

Stała niczym słup soli, na samym środku wyludnionej sali gimnastycznej, otoczona strzępkami porwanych przebrań, rozrzuconymi przekąskami, przewróconymi krzesłami i stołami, na których widniały ślady butów.

Jackson wypuścił jej dłoń z uścisku.

Spojrzała na niego, lecz nie wiedziała, co powiedzieć.

Chłopak zdjął okulary. Wyglądał na rozczarowanego.

- No nie, znowu ty? - skrzywił się, po czym wyjął uprzednio włożoną w spodnie koszulę. - Czemu ciągle na ciebie wpadam? Bez urazy, jesteś całkiem ładna, ale taaaaaka poważna.

D.J. powrócił na scenę.

- Czy ktoś widział moją słodką iskierkę? - zawołał. - Kochanieeee, gdzie jeeeesteee?

Dał Melody przyjacielskiego szturchańca.

- No, nie gniewaj się! Zresztą, muszę lecieć, brakuje tu rytmu, muzyki... potrzebuję żywszego otoczenia.

- Jasne. Pa - odparła dziewczyna i pomachała mu na pożegnanie. Nie pobiegła za nim. Nie dbała o jego bezpieczeństwo. Nie starała się nawet zapewnić mu jakiegoś powrotu do domu. Po prostu patrzyła, jak się oddalał. Pozwoliła mu odejść.

Melody użyła inhalatora. Pomogło. Krztusząc się sztucznym dymem, przeszła do końca sali, pchnęła drzwi wyjściowe i wydostała się na zewnątrz. Nie miała pojęcia, jak dotrze do domu. Nie wiedziała, komu powinna pomóc w pierwszej kolejności. Najlepszej przyjaciółce czy niedawno zdobytemu chłopakowi?

Czerwone światła radiowozów odbijają się od ścian okolicznych budynków. Policjanci kierowali ewakuacją uczniów. Nalegali, by wracać jak najszybciej do domów. Wiał ostry wiatr. Jego porywy przypominały nieudolne starania kaszłającego astmatyka, usilnie próbującego przekazać jakąś ważną wiadomość. Podmuchy rozrzucały plastikowe kubki, ze stukotem obijające się po opustoszałym parkingu.

- Wracasz do domu?

Melody podskoczyła na dźwięk znajomego głosu. Candace w czarnej, koronkowej sukience mini, z czarnymi, pokrytymi brokatem skrzydłami, przymocowanymi do pleców i z wiankiem równie czarnych róż na głowie wychodziła właśnie z budynku szkoły. Zeszła po schodach z wdziękiem tancerki wodewilowej z najlepszych teatrów Nowego Jorku.

Resztki adrenaliny powoli wyparowały z Melody, pozostawiając jej ciało rozluźnionym, zwalniając tym samym szalone bicie serca i uspokajając przyspieszony oddech. Opiekuńcza upiorna wróżka nie zostawi jej samej.

- Co ty tu jeszcze robisz? - spytała młodsza z sióstr.

- Nie mogłam ot tak sobie wrócić do domu, nie sprawdzając najpierw czy wszystko z tobą w porządku - odparła Candace takim tonem, jakby to było zupełnie oczywiste. - Powiem

ci, że nie bawiłam się tak dobrze od czasu przeprowadzki! Nie wiem, czy którakolwiek impreza w Beverly Hills była równie szalona.

Melody próbowała wykrzesać z siebie uśmiech.

- Chodźmy już, dobra?

- Popatrz - Candace wskazała białą tablicę ogłoszeń przed szkołą. Jakiś dowcipniś poprzestawiał kolejność liter, zmieniając MERSTON HIGH w MONSTER HIGH.

- Ha! - wyrwało się Melody, choć wcale nie było jej do śmiechu.

W trakcie krótkiej drogi do domu Melody naliczyła aż siedem nadjeżdżających policyjnych samochodów. Wyłączone samochodowe radio powodowało, że wewnątrz panowała przytłaczająca cisza. Zazwyczaj Candace włączała stereo nawet wtedy, kiedy ojciec prosił ją tylko o przeparkowanie auta z garażu na podjazd przed domem. Teraz jednak stosowała strategię, którą podpatrzyła u Glory: matka próbowała wywabić Melody z jej jaskini za pomocą ciszy, licząc na to, że szalejący w głowie córki natłok myśli w pewnym momencie stanie się nie do zniesienia i dziewczyna sama zacznie mówić. Ich zaciszny dom był idealnym miejscem dla takich zwierzeń.

Gdy skręciły w Radcliffe Way, Melody nie wytrzymała.

- Mam pytanie - zaczęła.

- Słucham odparła Candace z satysfakcją, nie odrywając oczu od drogi.

- Czy kiedykolwiek byłaś zmuszona wybierać między przyjaciółką a chłopakiem?

Candace przytaknęła.

- I niby którą ze stron powinno się wybrać?

- Tę właściwą.

- A co, jeśli obie są właściwe?

- To niemożliwe.- Kiedy naprawdę tak jest - upierała się Melody. - Na tym właśnie polega problem.

- Niemożliwe.

Wyminął je kolejny radiowóz. Candace kontynuowała:

- Owszem, obie strony na pewno sądzą, że mają rację, ale najważniejsze jest, jak ty to wszystko widzisz. Która ze stron reprezentuje sobą to, co według ciebie jest warte zachodu.

Melody wyrzała na zewnątrz, jak gdyby odpowiedź na nurtujące ją pytanie miała odnaleźć na trawniku przed posesją sąsiada. Spośród wszystkich domów wzdłuż całej ulicy tylko u nich paliło się światło.

- Nie mam pojęcia - stwierdziła.

- Nie wierzę ci - odparła Candace. - Na pewno wiesz, tylko brak ci odwagi, żeby przyznać się do tego przed samą sobą. Gdybyś to zrobiła, oznaczałoby to, że musisz wykonać również kolejny krok, czyli coś, czego nie cierpisz. Całe życie starasz się za wszelką cenę unikać trudnych sytuacji. Między innymi dlatego przestałaś śpiewać, dlatego nie masz praktycznie żadnych znajomych i dlatego od zawsze zachowujesz się jak...

- Dobra, wystarczy! Wolałam, kiedy mówiłaś do mnie jak terapeutka.

- Melly, próbuję cię zachęcić, żebyś po prostu zastanowiła się, co mogłabyś zrobić, gdyby nie twój wewnętrzny strach. To właśnie odpowiedź, której szukasz. To strona, którą powinnaś wybrać.

Wjechały na podjazd.

- Nie podejmując tej decyzji, oszukujesz samą siebie i wszystkich dookoła - powiedziała Candace. Zabrała torebkę z siedzenia obok i nacisnęła klamkę. - No, to ja lecę!

Drzwi zamknęły się z hukiem.

Melody rozparła się na siedzeniu w ciepłym jeszcze samochodzie. Próbowała z dystansem spojrzeć na obustronny konflikt. Starła się ocenić wszystko z własnej perspektywy, a nie przez pryzmat Bekki czy Jacksona. Lojalność czy poczucie akceptacji? Z każdą chwilą wewnątrz auta oddawało odrobinę ciepła.

Kiedy w końcu Melody podjęła decyzję, w środku panował lodowaty chłód.

ROZDZIAŁ 23

STRACHY NA LACHY

W pomieszczeniu unosił się dziwny zapach, jakby wszelkie formy życia przestały istnieć, a na ziemi pozostały wyłącznie sterylne narzędzia chirurgiczne. Jasne reflektory. Roztwory chemiczne. Szkło. Stal. Gumowe rękawiczki. I coś jeszcze, czego Frankie nie była w stanie rozpoznać... Spróbowała otworzyć oczy, ale powieki zdawały się zespawane ze sobą. Z kolei ręce i nogi były unieruchomione. Nie była w stanie powiedzieć ani słowa. Podobno psy potrafią wyczuć woń strachu. Może właśnie ją teraz czuła.

Dobiegające ją głosy nakręcały jej obawy. Strzępy rozmów ujawniały przerażające fakty.

- Rozpętało się prawdziwe polowanie na czarownice.
- Dwóch policjantów przez godzinę węszyło na moim strychu.
- Możemy pożegnać się z naszym dotychczasowym życiem.
- Nie rozumiem, jak można nie zauważyć, że córka wymknęła się z domu.
- Ładnieście ją wychowali, nie ma co.
- Stanowi zagrożenie dla całej naszej społeczności.- Wolę nie myśleć, jakie piekło się rozpęta, jeśli ten normalski chłopak z tego nie wyjdzie. W całym kraju podniosą alarm.
- Jeśli jeszcze tego nie zrobili.
- Mogę was zapewnić - odezwała się Viveka, pociągając nosem - że my również jesteśmy załamani tym, co się wydarzyło. Mamy tyle samo do stracenia, co i wy. Razem z Viktorem przyrzekamy, że uczynimy wszystko, co w naszej mocy, żeby podobna sytuacja już nigdy się nie powtórzyła.
- O czym ty mówisz! To nie przyszłość mnie martwi w tej chwili. Prawdziwy problem, to jak mamy sobie poradzić z tym, co się dzieje teraz. Jeśli tak dalej pójdzie, będę musiała usunąć mojej Lali kły. Rozumiecie, co to znaczy? Jej kły!
- Clawdeen i jej bracia będą musieli poddać się zabiegowi usunięcia futer. Nie chcę nawet myśleć o tym, jak bardzo ucierpi na tym ich duma. Nie wspominając już o nadchodzącej zimie... zamarzną bez sierści!
- Przynajmniej wiecie, gdzie są wasze dzieci. Jackson do tej pory nie pojawił się w domu. Za każdym razem, kiedy słyszę wycie policyjnej syreny, muszę policzyć do dziesięciu,

żeby nie wpaść w panikę. A co jeśli trafi na listę podejrzanych? Co ja wtedy... - pani J. zalała się łzami.

- Posłuchajcie mnie - poprosił Viktor niskim, zmęczonym głosem. - Oczywiście bierzemy na siebie pełną odpowiedzialność za nieszczęśliwe wydarzenia dzisiejszej nocy, proszę jednak, zauważcie, że to my mamy najwięcej do straceniif - powiedział, po czym głośno wydmuchał nos. - To naszej córki szukają. Naszej jedynej córeczki. Przyznaję, nieodwracalnie zaszkodziła nam wszystkim, ale to ją ściga policja i pół miasta. To moje dziecko chcą dopaść, nie wasze!

- Do czasu.

- Poszukują zielonoskórej dziewczyny pozbawionej głowy, która zaginęła w trakcie imprezy utrzymanej w klimacie horroru - kontynuował Viktor. - Spróbujemy przedstawić tę sytuację na forum jako zwykły dowcip.

- Chyba głupi kawał.

- Jak już mówiła Viveka, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby sprawa jak najszybciej ucichła. Przede wszystkim wypiszemy Frankie z Merston High. Lekcje będzie brała w domu, sami zajmiemy się jej edukacją. Poza tym dostanie całkowity szlaban na wychodzenie. Do odwołania.

- Uważam, że powinniście opuścić Sat#m.

- Tak jest!

- Racja.

- Opuścić Salem?! - zagrzemiał Viktor. - Wydawało mi się, że mieliśmy zawsze trzymać się razem! Jak możecie odwracać się od nas po tym, co razem przesz...

- Mam wrażenie, że wszyscy jesteśmy zmęczeni - przerwała Viveka.

- Ale...

- Życzę wam, mimo wszystko, dobrej nocy - powiedziała i zamknęła ekran laptopa.

Komputer wyłączył się i zapadła cisza.

- Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę! - zatkała Viveka. - Nie możemy się wyprowadzić. Co z naszą pracą? Z twoją dotacją? Z naszym domem? Gdzie niby mielibyśmy się podziąć?

Viktor westchnął z rezygnacją.

- Nie mam zielonego pojęcia - odpowiedział. Opatrzył świeże szwy Frankie ostatnią warstwą gazy i przygasił światła w pomieszczeniu. - Równie dobrze moglibyśmy przestać się czymkolwiek martwić.

- Co masz na myśli?

- No wiesz, w gruncie rzeczy spełniły się nasze najgorsze koszmary.

Drzwi do sypialni zamknęły się z trzaskiem.

Pozostawiona samej sobie, półprzytomna Frankie pogrążała się w krótkich drzemkach. Jednak nawet w chwilach nerwowego snu nie potrafiła wyzbyć się dławiącego poczucia winy za zniszczenie spokoju tylu osób. W mętnych wizjach przybierało ono różne postacie. Dziewczyna niechcący wywoływała osunięcie się niszczycielskich lawin z górskich stoków, innym razem sterowała statkiem prosto na podwodne skały, zatapiając go bezpowrotnie, to znów przypadkowo strącała rodziców w dół przepaści albo chciała pocałować Brettę upiornymi ustami, o wargach przypominających złowieszcze nożyce. W tych koszmarach bały się jej nawet dzieci.

Frankie wybudzała się z każdego snu cała we łzach. Jawa była jednak jeszcze straszniejsza niż senne wizje. Tu wszystko działo się naprawdę. Wyrzuty sumienia stawały się niemal niemożliwe do zniesienia. Otwierała oczy - i szybko zamykała je z powrotem. Marzyła, żeby więcej się nie obudzić.

ROZDZIAŁ 24

ZAWSZE DO USŁJG

Melody z wahaniem zatrzymała palec nad guzikiem dzwonka. Przyciskając go, prawie na pewno kogoś obudzi. Podjęła już jednak decyzję.

Zadzwoiła i zrobiła krok do tyłu. Serce zaczęło bić szybciej. Nie bała się tego, co czekają za drzwiami. Obawiała się jedynie konsekwencji swojego wyboru.

- Dobry wieczór, w czym mogę pomóc?

- Nazywam się Melody Carver. Jestem koleżan...

- Wejść do środka - przerwała jej pani J. Była ubrana w czarną podomkę. W dłoni ścisnęła zmiętą chusteczkę do nosa. Rozejrzała się podejrzliwie po ulicy i zatrzasnęła za dziewczyną drzwi. Krótco obcięte włosy zebrała w zgrabny kucyk. Na jej policzkach widniały rozmazane smugi tuszu do rzęs, przypominające plamy atramentowe z psychologicznych testów. Bez okularów, nadających jej twarzy charakterystyczny, ostry wyraz, wyglądała jak zwyczajna matka, niepokojąca się o syna.

Melody rozejrzała się po słabo oświetlonym wnętrzu. Ciężkie meble w salonie były jeszcze bardziej ponure niż ostatnim razem, kiedy przyszła w to miejsce. Ich przykurzone linie nagle wydały się dziewczynie wyjątkowo smutne. - Zastałam Jacksona? - spytała.

Kobieta przygryzła wargi i pokręciła głową przecząco.

- Miałam nadzieję, że to ty mi powiesz, gdzie mogę go znaleźć. Powinien był już dawno wrócić. W tym zamieszaniu... martwię się o niego. I to bardzo.

- Rozumiem. Wiem, o co chodzi.

Pani J. z wdzięcznością uśmiechnęła się do dziewczyny.

- Chyba nie do końca mnie pani zrozumiała - powiedziała Melody. Ostrożnie dotknęła rękawą szlafroka nauczycielki. - Znam tajemnicę Jacksona.

- Co proszę? - zapytała zaskoczona kobieta, sztywniejąc nagle i zagryzając mocno szczękę.

- Wiem, co się z nim dzieje, kiedy jest mu zbyt gorąco. Wiem, w kogo się wtedy zmienia i dlaczego.

Pani J. spojrzała na dziewczynę wzrokiem wyrażającym sprzeczne emocje, jakby nie mogła się zdecydować, czy powinna ogłuszyć Melody pogrzebaczem, czy może po prostu wziąć nogi za pas.

- Jak to? Skąd to wszystko wiesz?

- Jackson mi powiedział - skłamała dziewczyna. - Ale proszę się nie martwić - chwyciła kobietę za lodowato zimną rękę - nie pisnę nikomu ani słowa. Przyszedłam pani pomóc. Spróbuję go odnaleźć.

- Melody, nie jestem pewna, czy jesteś w stanie sobie wyobrazić, co może się stać, jeśli ktoś dowie się o sekrecie mojego syna. Jest wiele spraw, o których nie masz pojęcia. Nawet on sam o nich nie wie. Od tego zależy życie wielu ludzi.

- Nikomu nie zdradzę tajemnicy Jacksona. Ma pani moje słowo.

Uniosła prawą rękę, gotowa do złożenia obietnicy. Nie chodziło wcale o jej zauroczenie chłopakiem, ani o to, że gdy ją całował, to czuła, jak cała w środku topnieje, niczym mleczna czekolada zostawiona na oknie w słoneczny dzień. Najważniejsze było, żeby go odszukać. Uratować przed samym sobą. Melody podchodziła do zadania bardzo osobiście. Z własnego doświadczenia wiedziała, jak trudne potrafią być takie wewnętrzne zmagania. Uganianie się za potworem, który uwiódł Bretta, było problemem Bekki, dlatego Melody postanowiła, że nie będzie się tym zajmować. Jeśli dziewczyna faktycznie wierzyła w swoje motto o sile przyjaźni - z pewnością zrozumie decyzję przyjaciółki.

Melody przebiegła na drugą stronę ulicy po rower i latarkę. Nie mogła poprosić rodziców ani siostry o podwiezienie samochodem, bo to oznaczałoby nadwerężenie zaufania pani J., a tego chciała uniknąć wszelką cenę. Odnalezienie Jacksona i sprowadzenie go do domu mogło stać się jej pierwszym samodzielnym osiągnięciem w życiu. Symetryczny nos i pokrewieństwo z Candace nie miały tu nic do rzeczy. Misja ratunkowa miała pomóc Melody sprawdzić, na ile tak naprawdę ją stać - a nie, ile jest w stanie wydobyć z niej skalpel ojca.

- Jak było na imprezie? - zawołała Glory z salonu. Wzięła filiżankę herbaty ze stolika i weszła do kuchni.

- Całkiem nieźle - odparła dziewczyna, idąc za nią. - Mamy może latarkę?

Matka pokręciła przecząco głową.

- Używamy teraz ekologicznych lamp naftowych. Są w garażu, w plastikowym koszu z napisem OŚWIETLENIE, razem ze świecami. Czemu pytasz?

- Chciałam się trochę przejść. Na balu nieźle się zgrzałam, a tutaj jest tak strasznie duszno.

- Jesteś pewna, że to bezpieczne? - spytała Glory, przewracając jasnoniebieskimi oczami. - Na zewnątrz szaleją dzikie potwory.

Odstawiła filiżankę do zlewu.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że trąbili o tym w lokalnych wiadomościach - parsknęła. - Jak tu nie kochać małomiasteczkowej atmosfery? Potwory, ha! Powinni poznać naszych sąsiadów z Kalifornii. Dopiero by zobaczyli, co to strach, nie?

- Pewnie - rzuciła pośpiesznie Melody. - To dobrej nocy, ja lecę. Wrócę niedługo!

Glory ucałowała córkę i zniknęła w sypialni.

Dziewczyna popędziła w stronę wyjścia. Chciała jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz i rozpocząć poszukiwania. Szarpnęła za klamkę i... wpadła prosto na Bekkę.

- Co ty tu robisz? Wszystko w porządku? Jak się czuje Brett?

Czy w jej głosie było słychać wyrzuty sumienia?

- Jego stan jest stabilny. Miał ciężki napad hysterii i w tej chwili do nikogo się nie odzywa.

Melody przyciągnęła dziewczynę i mocno ją przytuliła. Bekka nie wyrywała się, ale też nie odwzajemniła uścisku.

- Musisz być okropnie zdenerwowana.

- Jestem - przyznała przyjaciółka. - Hmm, dlaczego jeszcze nie szukasz potwora?

- Właśnie wychodziłam - odparła Melody, zadowolona, że udało jej się gładko wybrnąć z niewygodnego pytania.

- To dobrze - powiedziała Bekka, bez śladu ulgi. - Proszę, to twoje - podała jej zgniłozielony plecak. - Został w samochodzie mojego ojca.

- O, dzięki. Nie musiałaś dziś mi go oddawać.

Melody zadrżała, słysząc swój nienaturalnie wysoki głos. Nie potrafiła ukryć zdenerwowania.

- Znasz moje zasady - uśmiechnęła się Bekka. - Przyjaciółki są najważniejsze.

- Tak jest, tylko przyjaciółki.

- Dokładnie, są najważniejsze.

Coś się między nimi zmieniło. Przyczyną nie były ani dziwaczne zajście na szkolnym parkiecie, ani dręczące Melody wyrzuty sumienia. Odpowiedź kryła się w spojrzeniu Bekki.

- To chyba również należy do ciebie - powiedziała, wręczając Melody iPhone'a. Dziewczyna wyciągnęła rękę, lecz nim zdążyła złapać za telefon, Bekka kliknęła w ekran. - Popatrz, co też ciekawego tu znalazłam.

„Jestem D.J... D.J. Hyde. Wiesz, jak doktor Jekyll i pan Hyde. Mam to po pradziadku... to był dopiero dzikus. Znalazłem na strychu naszego domu jakieś stare papiery. Wygląda na to, że dziadziś lubił sobie poeksperymentować - i to na sobie samym! Próbował

różnych mieszanek... niektóre sprawiały, że stawał się niezłym świrusem. Mnie to średnio kręci. Zdecydowanie wolę uderzyć na dobrą imprezę... Masz tu w ogóle jakąś muzykę?”

Melody poczuła silny skurcz w żołądku. Zaszło jej w ustach. Oddychała z trudem.

- Szperałaś w moich rzeczach? - wykrztusiła. Nic mądrzejszego nie przychodziło jej do głowy.

- Ja nie, ale Haylee tak. Chciała sprawdzić twoją lojalność.

Dlaczego u diabła tego nie usunęłam?! Czaszka Melody zdawała się pękać od huku głośno bijącego serca. Drżała na samą myśl o tym, jak mocno odkrycie Bekki może wpłynąć na życie Jacksona i jego mamy. Dziewczyna przestała być dobrą przyjaciółką, która ostrzegła ją przed głupimi żartami Bretta czy pamiętała, by przynieść jej inhalator na imprezę. Stała się śmiertelnym wrogiem. W dodatku w pełni kontrolowała sytuację.

- Oddaj - zażądała Melody.

- Jasne, ale najpierw wyślę ten filmik do siebie.

Bekka puknęła w ekran i poczekała na raport doręczenia.

Bubup.

- Bardzo proszę.

Niedbale wrzuciła telefon w wyciągniętą dłoń Melody.

- To tylko głupi żart - zaczęła dziewczyna. - Kręciliśmy film, no wiesz, jak Brett!- Nie kłam! - krzyknęła Bekka i strzeliła palcami. Haylee, ukryta przez cały czas w cieniu werandy, podeszła do drzwi. Pilna pomocnica otworzyła znajomą zieloną teczkę i wyciągnęła podpisaną przez Melody umowę. Wedle dokumentu nie było jej wolno flirtować z Brettem Reddingiem oraz podrywać Bretta Reddinga. Zobowiązała się także odpowiednio zareagować, jeśli jakkolwiek inna dziewczyna będzie próbowała go podrywać. Haylee ujęła kontrakt w dwa palce i, kawałek po kawałku, podarła go, zaśmieając wycieraczkę (z jakże wymownym napisem: A CZY TY WYTARŁEŚ JUŻ SWOJE BUTY?).

Melody skrzywiła się. Zabolalo. Bardziej niż podejrzewała. Pomimo ich dziwactw i kaprysów Haylee i Bekka dawały się lubić. Poza tym były jej pierwszymi prawdziwymi przyjaciółkami.

- Bekka, tak mi przyk...

Haylee wyjęła inny dokument ze swojej teczki.

- Siedź cicho, obrończyni potworów - warknęła niedoszła narzeczona Frankensteina. - Skoro zadajesz się z kimś z tej ekipy, na pewno wiesz, gdzie ukryła się ona.

- Bekka, naprawdę nie mam pojęcia - zarzekła się Melody. - Szczerze mówiąc, dalej nie wierzę w istnienie tej bezgłowej dziewczyny.

- Dobrze wiem, co widziałam - powiedziała, po czym wzięła umowę z rąk Haylee i wręczyła ją Melody. - Masz czterdzieści osiem godzin, żeby ją odnaleźć. Jeśli tego nie zrobisz, możesz być pewna, że ten filmik zrobi w Internecie furorę równą nagraniom Paris Hilton.

Haylee uczynnie podała długopis.

- Nie podpiszę czegoś takiego - zaprotestowała Melody.

- Twój wybór. Równie dobrze mogę go udostępnić w tej chwili.

Przyparta do muru Melody w końcu podpisała się imieniem i nazwiskiem.

- Jeszcze data - pouczyła ją Haylee.

Melody przyciskała długopis tak mocno, że aż przedziurawiła kartkę.

Asystentka, jak zawsze skrupulatna, wyciągnęła z teczki żółty minutnik i włączyła go.

Tiktiktiktiktik...

- Czterdzieści siedem takich obrotów i widzimy się ponownie - oznajmiła złowieszczym tonem Bekka.

Haylee zamknęła teczkę. Dziewczyny zeszły po schodach, wsiadły do cadillaca pana Maddena i odjechały.

Tiktiktiktiktik...

Melody stała na werandzie i przyglądała się niczym nieosłoniętej elewacji domu Jacksona. Okna budynku zdawały się również ją obserwować. Wpatrywały się w dziewczynę niczym ufne szczenię, które nie ma pojęcia, że jego pani zamierza je uśpić.

ROZDZIAŁ 25

DZIEWCZYNO, ALE MASZ KOPA!

Frankie stanęła wyprostowana. Złożyła przysięgę przed sądem. Nadszedł czas na jej zeznania.

Nie przejmowała się duchotą pomieszczenia. Nie dbała o to, że z gorąca spływa jej makijaż i oczom zebranych ukazuje się zieleń jej skóry. Co z tego, że mocno zaciągnięte szwy tak okropnie swędzą? Wszystko to nie miało większego znaczenia. Była tu tylko po to, by spróbować oczyścić swoje imię przed zgromadzonymi na sali sądowej przedstawicielami RADowców i normalsów.

W pierwszej kolejności przeprosiłaby rodziców, że zawiodła ich zaufanie, naraziła na szwank ich reputację w środowisku RADowców i zlekceważyła ostrzeżenia, które jej dawali. Potem powiedziałaby Lali, Blue, Clawdine i Cleo, że ich przyjaźń jest dla niej ogromnie ważna i że nie zamierzała narazić ich na takie niebezpieczeństwo, jakiego doświadczyły. Podziękowałaby pani J. za wszystkie rady i sugestie. Przeprosiłaby Brettta za wypadek z głową, a Bekkę za całowanie się z jej chłopakiem. Wyraziłaby dozgonną wdzięczność Billy'emu i Clawdineza sprawną akcję ratunkową. Poprosiłaby ich wszystkich o drugą szansę, przyrzekając, że tej już nie zmarnuje w tak głupi sposób. Następnie zwróciłaby się do normalsów, zaklinając, by przestali obawiać się RADowców. Opowiedziałaby o genialnych odkryciach swojego ojca, z których mógłby korzystać cały świat, czy o wyjątkowym wyglądzie i wspaniałych pomysłach swoich przyjaciółek. zaproponowałaby podjęcie próby wspólnego, wolnego od uprzedzeń współżycia...

Zamiast tego stała na podwyższeniu i nie potrafiła wydusić z siebie ani słowa. Zgrzytała tylko zębami, krzywiąc się, tryskając dookoła iskrami i jęcząc niczym otępiały zombie. Obecne na sali kobiety i dzieci zaczęły kwilić ze strachu. Mężczyźni poderwali się z ławek i groźnie tupali, próbując wystraszyć dziewczynę. Skutek był odwrotny. Narastająca frustracja sprawiała, że Frankie zgrzytała i iskrzyła się jeszcze bardziej.

Wreszcie wściekły tłum ruszył w kierunku podium i zaczął ciągnąć ją we wszystkich kierunkach naraz. Kończyna po kończynie, rozrywano dziewczynę na kawałki. Zielone części ciała rozrzucono po całym pomieszczeniu, niczym urywane listki sałaty. Towarzyszył temu tak niewyobrażalny ból, że zawyla przerażająco, tłukąc w ten sposób szyby we wszystkich oknach...

- Niestety - zachichotał. - Kurczę, kiedy powiedzieli mi, co zrobiłaś z tym biednym normalsem, prawie popłakałem się ze śmiechu - wyznał i zmierzwił ręką mokre od potu

włosy.- Grr! - zezłościła się Frankie. Z powrotem opadła na poduszkę. Odruchowo sięgnęła do szwów na szyi, ale zabezpieczała je gruba warstwa gazy.

- Co ja teraz zrobić? - zastanawiała się.

- Niby z czym?

D.J. pogłaskał ją uspokajająco. Wypuściła kilka nieśmiałych iskier. Wtedy on uśmiechnął się radośnie.

- Jak to? - zerwała się na nowo. - Wszystko zniszczyłam!

Chłopak spojrzał na nią wesoło swoimi orzechowymi oczami.

- Nieprawda. Niczego nie zniszczyłaś* Dałaś wszystkim porządnego kopa!

- Tak, jasne.

- Mówię serio! - zapewnił ją. Puknął w ekran swojego iPhone'a. - Jesteś jedyną osobą, jaką tutaj znam, która ma w sobie prawdziwy ogień.

Z telefonu poleciała piosenka Use Somebody grupy Kings of Leon. Niczym pies w słoneczny dzień, wystawiający głowę przez uchyloną szybę w samochodzie, D.J. przymknął oczy, rozkoszując się rytmicznym, gitarowym intro. Gdy wokalista zaczął śpiewać, chłopak ujął dłoń Frankie i pomógł jej zejść ze stołu. Przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. Bujali się ostrożnie, krążąc po sterylnym, nieprzyjaznym wnętrzu laboratorium.

„Fve been running around...”

Dziewczyna przypomniła sobie o Lali. Czy D.J. na pewno podobał jej się aż tak bardzo?

- Co my właściwie robimy? - spytała, śmiejąc się nerwowo.

- Próbuje wybić ci z głowy tego głupiego Bretta - wyszeptał jej do ucha.

Zaiskrzyła wesoło.

Twarz chłopaka rozjaśniła się w uśmiechu.

Kołysząc się, zgrabnie wyminęli półkę z pustymi naczyniami chemicznymi. Szklane próbówki wydały się Frankiedziwnie puste bez wypełniających je kolorowych kosmetyków. Ich zaufanie również zawiodła.

„You know that I could use somebody, someone like you...”

- Jestem straszną idiotką! - zawołała nagle Frankie. - Myślałam, że, och, skoro on tak kocha potwory, to na pewno mnie polubi - zadrwiła sama z siebie. - Chciałam tylko mieć chłopaka, przy którym nie będę musiała się ukrywać.

- Przecież jestem tutaj.

Frankie odkleiła się od policzka D.J.a i uważnie spojrzała mu w oczy.

- Dlaczego jesteś dla mnie taki miły?

- Podobasz mi się, isquierko. Podziwiam cię za odwagę. Potrafisz dopiąć swego.

- Czyli czego właściwie?

Uwolniła się z uchwytu, w którym trzymał ją chłopak, i odsunęła o krok, chcąc przyjrzeć mu się z dystansu.

- Wszystkiego, czego zapagniesz - stwierdził.

Dziewczyna ukradkiem sprawdziła, czy jej szpitalna koszula na pewno była porządnie zawiązana.

- Widzisz, okazuje się, że nie mogę mieć tego, czego chcę.

- Na przykład?

- Wolności.

- Mogę ci pomóc ją odzyskać.

D.J. zrobił krok w stronę Frankie.

- Dlaczego w ogóle chcesz mi pomagać?

- Bo sprawiasz, że mam ochotę pisać o tobie piosenki.

Dotknął jej fruby i podskoczył, lekko porażony.

- Jej, te małe wyładowania są naprawdę urocze.

Dziewczyna zaśmiała się, słysząc ten komplement.

- Frankie? - ojciec zawołał cicho z korytarza.

- Tak...

Chłopak szybkim ruchem zakrył jej usta i wyłączył muzykę.- Udawaj, że śpisz, a ja się schowam.

Pędem wróciła do łóżka.

Drzwi do pokoju zaskrzypiały.

- Obudziłaś się już?

Nawet nie drgnęła.

- Gorąco tu jak w saunie - wymamrotał Viktor pod nosem. W chwilę później przez otwory wentylacyjne zaczęło napływać chłodne powietrze.

Kocham cię, tato - pomyślała Frankie - nawet jeśli ty mnie nienawidzisz.

Po wyjściu Viktora dziewczyna i ukrywający się chłopak nie poruszali się jeszcze przez kilka minut, choć Frankie aż skrecała się z niecierpliwości, by ponownie go zobaczyć. Był dla niej niczym niespodziewany podarunek, czekający na rozpakowanie. Bardzo chciała poznać go bliżej. Zwierzyć mu się ze swoich marzeń i poznać jego pragnienia. Słuchać jego muzyki. I rozbłysnąć tysiącem iskier.

- Droga wolna - wyszeptała w ciemnościach. - Możesz już wyjść!

Odpowiedziała jej głucha cisza.

- D.J., no wychodź! - syknęła odrobinę głośniejsze.

Wciąż cisza.

Frankie zsunęła się z łóżka i podeszła do kryjówki pod stołem.

- Ej, wyłaź!

Zdezorientowany chłopak powoli wysunął się z ukrycia, drapiąc się po głowie.

- Skąd wytrzasnąłeś te okulary? - parsknęła Frankie.

- Od optyka w centrum - wymamrotał niepewnie.

Co jest? Nawdychał się formaliny czy co? Podała mu rękę.

- Wszystko w porządku?

- O kurczę - wyszeptał, gdy stanęli twarzą w twarz. - To ty jesteś tą zieloną dziewczyną, która namieszała na imprezie, prawda? Frankie chwyciła się za brzuch. Poczula, jakby ktoś właśnie uderzył ją z całej siły.

- O co ci chodzi?

- Co ja tu w ogóle robię?

Chłopak przyjrzał się połyskującym w słabym świetle narzędziom chirurgicznym.

- Powiedziałem coś, czego powinienem żałować? Jestem twoim więźniem czy coś w tym rodzaju?

- Mówisz poważnie? - pisnęła zraniona Frankie. Jeszcze nigdy nikt nie zakpił z niej tak okrutnie. - Nie, nie jesteś moim więźniem. Możesz wyjść, kiedy tylko zechcesz - powiedziała, wskazując na okno.

- Dzięki - odparł i ruszył we wskazanym kierunku.

- Naprawdę sobie idziesz? - spytała z niedowierzaniem. - Myślałam, że ci się podobam.

Zatrzymał się i spojrzał na nią.

- Znasz może Melody Carver?

Frankie przecząco pokręciła głową, chociaż w gruncie rzeczy wiedziała, o kogo chodzi.

- Czy to jakaś forma zemsty za dzisiejsze zamieszanie? - spytała.

- Przepraszam, nie wiem, co powiedzieć - odparł chłopak, otwierając okno.

- W takim razie zostań. Porozmawiajmy - poprosiła błagalnie. Nie chciała znów być sama w tej nieprzyjemnej sypialni.

- Muszę iść. Naprawdę mi przykro - odparł. - Miło cię było poznać.

- Nie zostawiaj mnie! - zawołała za nim Frankie. Jednak chłopak był już daleko. -
Zostań, proszę... - wyszeptała jeszcze raz, nadaremnie, bo nie mógł jej usłyszeć.

ROZDZIAŁ 26

W ATRAKCYJNYM NIEŁADZIE

Melody niespokojnym krokiem przechadzała się po werandzie. Czuła się jak zamknięta w klatce zwierzę, które codziennie przemierza kilkanaście kilometrów wzdłuż krat, ale tak naprawdę wcale nie zmienia swojego położenia nawet o milimetr.

Kompletnie nie wiedziała, co robić. Czy powinna marnować czas na pogoń za fikcyjnym potworem? Może jednak lepiej byłoby zastanowić się, w jakiś sposób usunąć nagranie z telefonu Bekki? Czy Haylee dałaby się przekupić? Może Candace potrafiłaby coś doradzić? A może lepiej wziąć się za poszukiwanie Jacksona? Była więcej niż gotowa do działania. Nie wiedziała tylko, za co się zabrać.

Nagle jej uwagę zwrócił odgłos trampek, uderzających o asfalt. W kierunku werandy zbliżała się szczupła, chłopięca postać.

- Melody!

- Jackson?

Wybiegła mu naprzeciw, napędzana mocą tysiąca niewypowiedzianych wyznań.

- Przepraszam! - wykrzyknęła i rzuciła mu się na szyję na środku ulicy. Uścisnęła go z całej siły. - Nie powinnambyła pozwolić ci odejść. Byłam kompletnie skołowana. Musiałam podjąć jakąś decyzję. I zrobiłam to. Wybieram ciebie i...

Melody rozluźniła uchwyt. Włosy chłopaka pachniały mieszaniną potu i amoniaku.

- Gdzie ty w ogóle byłeś?

- Jackson! - zawołała pani J., wybiegając z domu. - Jak dobrze, że jesteś w jednym kawałku!

Melody odwróciła wzrok. Nie była w stanie spojrzeć kobiecie w twarz, mając świadomość, że za czterdzieści siedem godzin sekret jej syna zostanie publicznie wyjawiony - i to z jej winy. Nie sprawdziła się jako osoba godna zaufania.

- Cześć, mamó - powiedział Jackson, obejmując ją w pasie. - Nic mi nie jest.

- Bardzo ci dziękuję! - pani J. ujęła twarz Melody w obie dłonie i z wdzięcznością pocałowała ją w czoło. - Dziękuję, że go znalazłaś.

Dziewczyna zmusiła się do uśmiechu i spuściła wzrok.

- Chodź do domu - powiedziała pani J. i chwyciła syna pod ramię. - Chyba rozumiesz, że dzisiejszej nocy nie powinieneś włączyć się po okolicy.

- Mamo, już nigdzie się nie szwendam. Chciałbym jeszcze przez chwilę porozmawiać z Melody.

- No dobrze, ale zejście przynajmniej z jezdni - zgodziła się z westchnieniem.

Jackson zapewnił ją jeszcze, że nie wróci późno, po czym chwycił Melody za rękę i odprowadził do domu.

- Od kiedy jesteście w takiej dobrej komitywie? - spytał.

Uśmiechnęła się, jakby nieobecna.

- Wiesz, może lepiej by było, gdybyś poszedł już do domu - odparła, wchodząc po schodach na werandę.

- Czemu? - chłopak zmarszczył brwi. - Kto tu cierpi na rozdwojenie jaźni, ty czyja?

- Nie rozumiem.- Przed chwilą usłyszałem „wybieram ciebie” i „nie powinnam była pozwolić ci odejść”, a teraz każesz mi iść?

Usiadł na huśtawce i zaczął się bujać.

- Jackson, to nie tak.

Melody usiadła obok niego.

- Stało się coś, o czym w tej chwili nie mogę ci powiedzieć i...

- Och, i to pewnie tajemnica o wiele straszniejsza od wszystkiego, czego się o mnie dowiedziałas.

Miał mocne argumenty.

Pojedyncze podmuchy wiatru podrywały liście z szelestem, by po chwili pozwolić im opaść w zupełnej ciszy. Nie wlatywały wysoko. Same nie potrafiły się unieść.

- Wydarzyło się coś naprawdę okropnego. W dodatku to moja wina - powiedziała Melody.

Chłopak zapatrzył się na drugą stronę ulicy i westchnął smutno.

- Chodzi o Deuce'a?

- Nie! - zaprzeczyła, lekko oburzona.

- W takim razie, o co? - odparł z wyraźną ulgą.

Melody wzięła głęboki oddech, szukając odpowiednich słów i próbując zapanować nad gonitwą myśli. A co, jeśli ją zostawi? Znowu zostałaby zupełnie sama. Nie mogła mu jednak o tym nie powiedzieć. I tak za niecałe czterdzieści siedem godzin miał dowiedzieć się o wszystkim, i to od kogoś innego...

Chwyciła go za rękę.

- Hmm... pamiętasz może...

Głośno przełknęła ślinę.

- Co takiego?
- To nagranie, na którym zamieniasz się w... samwieszkogo?
- Jasne.
- No więc...

Nabrała powietrza jeszcze raz i...

-

Bekka znalazła swój telefon i zagroziła że umieści w Internecie filmik jeśli nie odzuka tej zielonej dziewczyny którą łączyła się z Brettem - powiedziała jednym tchem i zacsnęła powieki, szykując się na cios.

Jackson nie podniósł nawet palca. Nie skoczył na równe nogi. Nie zaczął nerwowo przechadzać się po werandzie. Nie chwycił się za włosy i w desperackim okrzyku „Dlaczeeeego jaaa?” nie rzucił się na kolana, spoglądając w niebo. Zamiast tego po prostu dalej bujał się na huśtawce, w ciszy zastanawiając się nad swoim trudnym położeniem.

- Powiedz coś, proszę.

Chłopak spojrzał jej prosto w oczy.

- Wiem, gdzie ona jest.

Melody klepnęła go w kolano.

- Nie żartuj sobie, to poważna sprawa.

- Ale ja mówię całkiem poważnie - upierał się Jackson.

- Więc ona faktycznie... istnieje?

- Najwyraźniej tak.

- Jak ją znalazłeś?

- Można powiedzieć, że D.J. mnie tam zaprowadził - odparł, uśmiechając się krzywo.

- Odniosłem wrażenie, że mu się spodobała.

- Nie!

- Tak!

- Nie wierzę.

- A jednak.

- Nie, to nie dzieje się naprawdę.

- Wybacz, ale to najprawdziwsza prawda - powiedział, nie potrafiąc powstrzymać chichotu. W tej sytuacji pozostał im właściwie tylko śmiech.

Melody zeskoczyła z huśtawki i zaczęła nerwowo chodzić po werandzie. Może to wszystko było jedną wielką halucynacją? Może to efekt uboczny środków znieczulających, które jej wstrzyknięto przed operacją nosa? - Czyli jak? Teoretycznie masz już dziewczynę?

- Nie jestem do końca pewien, jak daleko zaszła ich znajomość, ale wygląda na to, że D.J. też wpadł jej w oko.

- No dobrze - powiedziała Melody, odzyskując panowanie nad sobą. - W takim razie po prostu pokaż mi, gdzie ona jest. Przekażę to Bekce i wszystko będzie w porządku.

- Nie mogę tego zrobić - odparł Jackson.

- Dlaczego?

- D.J. coś do niej czuje. Nie mogę mu... sobie... tego zrobić. To mój brat, w pewnym sensie.

- A co z tobą i z twoją mamą? Co z nami? - głos Melody załamał się przy ostatnim pytaniu. - Jeśli Bekka pójdzie z tym nagraniem na policję, uznają cię za potwora. Możesz zostać aresztowany... albo będziesz musiał opuścić Salem.

- Nie potrafię tego zrobić - powtórzył spokojnie. - Ta dziewczyna jest naprawdę w porządku.

Jackson niezwykle zaimponował Melody swoją gotowością do poświęcenia się na rzecz tego zielonego... czegoś. Podziwiała siłę jego charakteru i wielkość serca. Poza tym całował o wiele lepiej od Syfburgera. Dziewczyna nie potrzebowała wcale tysiąca nieudanych randek z innymi chłopakami, żeby móc docenić te cechy u Jacksona. Ze wszystkich sił chciała mu pomóc, nawet jeżeli miało to oznaczać małe oszustwo...

- Rozumiem - odparła, opierając dłoń na jego ramieniu. - Na pewno wymyślimy inne rozwiązanie.

- Dziękuję - westchnął z ulgą.

- Mam już nawet pomysł - zaczęła z entuzjazmem. - Muszę tylko poszukać czegoś w moim pokoju. Wejdiesz ze mną?

- Jasne - odparł Jackson, po czym wstał z huśtawki, wsadził ręce w kieszenie i ruszył za Melody po drewnianych schodach, wiodących na piętro. - Tylko ciiiiii - wyszeptała, kładąc palec na ustach. - Wszyscy już śpią.

Zamknęła drzwi do pokoju.

- Gdzie ja to mogłam położyć?

Zaczęła grzebać w pudłach rozstawionych na podłodze.

- Może ci pomóc? - spytał Jackson, niespodziewanie niezbyt zachwycony zmianą otoczenia.

- Nie, nie trzeba. Na pewno gdzieś tu to odłożyłam. Muszę wszystko chować przed Candace. Nie masz pojęcia, jaka jest wścibska.

- Ej, mogę włączyć wentylator? - spytał Jackson, chowając się pod piętrowym łóżkiem.

- Czemu? Za gorąco ci?

- Trochę.

- Wydaje mi się, że Candace wzięła go do siebie.

- Nie, stoi tutaj - odparł chłopak, chwytając za kabel.

- Stój! - Melody szybkim ruchem wyrwała mu przewód z dłoni. - Lubię, jak jest ciepło.

- Ale tu się nie da oddychać! - zawołał, przyglądając się jej uważnie. Nagle odgadł podstęp. - O, nie. Zapomnij o tym! Nie możesz mi tego zrobić!

Jeszcze raz próbował chwycić za kabel od wentylatora, ale Melody skutecznie się broniła. Na czole Jacksona pojawiły się pierwsze krople potu.

- Chcę ci tylko pomóc.

- Dobrze, ale nie tak! - odparł, ocierając brew.

- Kiedy to jeifyny sposób!

Pamiętając o działaniu koca termicznego, dziewczyna ściągnęła lawendową kołdrę z łóżka i zarzuciła ją Jacksonowi na głowę.

Jeszcze tylko chwila...

- Melody, przestań.

Próbował wydostać się spod kołdry, ale dziewczyna mocno go opatulila.

- Jeszcze mi podziękujesz. Jeśli wcześniej mnie nie udusisz!

- Próbuję uratować ci tyłek!

Nagle opór osłabł.

- Jackson?

Cisza.

- Jackson?!

Cisza.

- Jackson, błagam cię, nie bądź martwy!

Odwinęła kołdrę.

Okulary chłopaka zniknęły. Włosy błyszczały od wilgoci. Policzki okrywały rumieńce.

- No nie, znowu ty? - zapytał podirytowany.

- Cześć, D.J. - przywitała się Melody, uśmiechając się od ucha do ucha. - Chyba wiem, gdzie jest twoja isierka.

ROZDZIAŁ 27

POZYTYWNIENIE NAŁADOWANA

Niewielki kamyczek odbił się od matowej szyby.

Stuk.

Potem jeszcze jeden.

Frankie przewróciła się na plecy.

I kolejny.

Stuk.

Pomyślała, że brzmi to jak odgłos paznokci uderzających o blat. Bez sensu. Może to wściekły tłum w końcu przyszedł się z nią rozprawić.

Przekręciła się z powrotem na brzuch. Od kilku godzin nerwowo przewracała się na łóżku, a dziwne stukanie w okno rozdrażniło ją jeszcze bardziej. Miała ochotę wstać i krzyknąć ze wszystkich sił: „Słuchajcie, czuję się beznadziejnie i chciałabym to przespać, ale nie mogę, bo wciąż myślę o wszystkich: Bretcie, D.J.u, moich przyjaciółkach, rodzinie i tych wszystkich ludziach, których przeraziłam na śmierć. Czy mogłabym zatem prosić o odrobinę ciszy i spokoju?” Nie chciała jednak obudzić rodziców. Za godzinę i tak miało wstać słońce, a zwykle budzili się właśnie wtedy.

A jak dziś zacznie się dzień? Kładąc się na powrót na plecach, zastanawiała się, jak długo jeszcze będzie potrafiła udawać, że śpi. Dzień? Tydzień? Dekadę? Gdyby tylko się dało, w ogóle by się nie budziła. Jeszcze nigdy nie czuła tak dojmującego wstydu. Pojawiał się jednak wyłącznie w obecności drugiej osoby. Kogoś, kto stałby nad nią ze skrzyżowanymi ramionami i kiwał głową z miną pełną rozczarowania. W samotności wstyd zmieniał się w wyrzuty sumienia - równie trudne do zniesienia, ale przynajmniej pochodzące z wnętrza, a nie z czyjejs oceny.

- Iskierko, jesteś tam?

Frankie wolno usiadła na posłaniu. Nie była pewna, czy może zaufać swoim uszom. W istocie pracowały przecież pod kontrolą mózgu, a ten okazał się wysoce wadliwym organem.

- Iskierko! Otwórz mi!

Czyżby D.J. wrócił?!

Przez moment Frankie rozważała, czy nie pozostać niewzruszona na te prośby. Chciała, by chłopak był przekonany, że znalazła już sobie inny obiekt zainteresowań. Dziewczyny w filmach zawsze tak robiły... Taak, tylko one zwykle nie miały szlabanu na wyjścia z domu. A w jej wypadku czym niby miałby być „nowy obiekt zainteresowań”? Wieszakiem na ubrania? Kaloryferem?

- Ciii - syknęła, szybko narzucając satynowy szlafroczek na szkaradną szpitalną koszulę.

Frankie uchyliła okno. D.J. wtargnął do środka niczym duży pies, który z rozpędu wpadł przez za małą kłapkę w drzwiach. Sam jego widok rozproszył czarne chmury, wiszące nad głową dziewczyny i przywrócił jej słoneczny uśmiech. To ciekawe, bo jeszcze dwie godziny wcześniej potrafiła myśleć tylko o Bretcie.

- Co się z tobą działo? Dlaczego wyszedłeś stąd, jak...

Urwała, bo przez okno zaczęła gramolić się druga postać. Miała błyszczące, czarne włosy, czarne ubranie i idealnie kształtny nos. Wylądowała na podłodze z głuchym tąpnięciem.

- Ciiiiii - ponownie syknęła Frankie.

- O jejku, to ty - wyszeptała oszołomiona Melody. - Naprawdę masz zieloną skór...

- Co ona tutaj robi? - spytała dziewczyna, drżąc jednocześnie z przerażenia i wściekłości.

- Nie mam pojęcia - D.J. kilka razy wymownie stuknął się palcem w czoło. - Mam wrażenie, że ma na moim punkcie lekkiego świra.

- Ojej! - zawołała Melody, rozglądając się po pomieszczeniu. - Co to za miejsce? - wskazała na szklane akwarium, stojące przy łóżku. - Fu, to prawdziwe szczury?

- Pytam serio, skąd się tu wzięła? - nie ustępowała Frankie.

D.J. przytknął usta prosto do jej ucha.

- Ostatnio wszędzie ją widzę. Zastanawiam się nawet nad zawiadomieniem policji.

Kiedy mówił, ciepłe powietrze łaskotało Frankie po szyi. Z wrażenia z obu dłoni równocześnie wypuściła kilka iskier.

- Zdążyłem się za tym stęsknić - powiedział.

Przyciągnął dziewczynę do siebie.

- Co to za blaty? A te zwoje miedzi? Po co ten włącznik? WYSOKIE NAPIĘCIE? - Melody przyglądała się wszystkiemu z otwartymi ustami. - Powiedz, gdzie my jesteśmy?

- Dlaczego wcześniej tak dziwnie się zachowywałeś? - Frankie cały czas mówiła do D.J.a, kompletnie ignorując dziewczynę. Odepchnęła go lekko, domagając się odpowiedzi. - Wyszedłeś bez pożegnania. Dlaczego...

- Kim ty w ogóle jesteś, córką Frankensteina? - zażartowała Melody.

- Wnuczką, jeśli chcesz wiedzieć - ucięła Frankie. - Jak nie przestaniesz mi przeszkadzać, porażę cię prądem dziesięć raz mocniej niż w stołówce! Melody podeszła bliżej.

- To ty? Byłaś wtedy całkiem...

Frankie oparła dłonie na biodrach i rzuciła jej wyzywające spojrzenie.

- Biała, prawda? - dokończyła za Melody.

Dziewczyna przytaknęła.

Frankie parsknęła z wyższością.

- Cóż, widzisz, tutejsi mieszkańcy najwyraźniej nie są tacy prozieloni, za jakich chcieliby uchodzić.

- Wyglądasz naprawdę niesamowicie - stwierdziła Melody. Zrobiła kolejny krok w stronę Frankę i wyciągnęła rękę w jej kierunku.

- Mogę?

- Skoro musisz - Frankie wzruszyła ramionami, udając obojętność.

- Naprawdę kopniesz mnie prądem?

- Kto wie...

Melody wbiła we Frankie poważne, badawcze spojrzenie swoich szarych oczu, jak gdyby chciała odgadnąć jej prawdziwe zamiary. W końcu odważnie dotknęła zielonej skóry. Nie bała się przejechać palcem wzdłuż szwów na nadgarstku. Zresztą, może i się bała, ale pomimo lęku zrobiła to. Frankie była pełna uznania.

- A może ty chcesz dotknąć mojej skóry? - zaproponowała Melody, jakby sama była jakąś niespotykaną istotą.

Frankie pokiwała głową i wyciągnęła rękę.

- O! Jest zupełnie jak moja, tylko dużo chłodniejsza.

Melody uśmiechnęła się przepaszajaco.

- Wybacz, jestem strasznym zmarzluchem.

- Serio? A mnie jest zawsze gorąco. Pewnie od tych ciągłych doładowań energetycznych.

- Jak to? - Melody przekrzywiła głowę. - Naprawdę żyjesz... na prąd? Jak to wszystko działa?

- Ekhm, przepraszam - przerwał im D.J., wskazując na siebie. - Przystojniak na pokładzie! Melody zachichotała. Frankie najwyraźniej nie wiedziała jeszcze, jak zareagować.

Pierwsze, nieśmiałe promienie słońca zaczęły rozjaśniać mleczną szybę w oknie. Przedmioty w pomieszczeniu powoli odzyskiwały swoje kształty. Dla Frankie mogło to oznaczać tylko jedno: czas odwiedzin dobiegał końca.

- Spróbujmy jeszcze raz: co ci się wtedy stało? - ponowiła pytanie, zwracając się do D.J.a. - Dlaczego zachowywałeś się, jakbyś widział mnie pierwszy raz na oczy i czemu uciekłeś?

- Wydaje mi się, że mogłabym ci to wyjaśnić - nieśmiało zaproponowała Melody, nagle znów czując się niezręcznie.

- Rasowa świruska... - wymamrotał chłopak - Ma odpowiedź na każde pytanie.

Frankie rozejrzała się dookoła, zastanawiając się, gdzie mogłyby usiąść, skoro z pokoju zniknęła leżanka. Melody zaczęła mówić. Miejsce do siedzenia nagle stało się zupełnie nieistotne.

Przez tych kilka ostatnich minut przed wschodem słońca Melody zdążyła opowiedzieć o swoim zadurzeniu w Jacksonie Jekyllu, o jego problemach z wysokimi temperaturami, o matce chłopaka, panij., o jego pokreconym przodku i jego... poniekąd... potomku - D.J.u Hydzie.

Następnie w skrócie streściła im historię Bekki, jej zazdrości, Bretta, pocałunku, incydentu z głową, nagrania Jacksona, szantażu, miejsca Frankie w całej sprawie, uciekającego czasu... Podsumowując, przyznała, że kompletnie nie wie, co teraz zrobić.

- Powiedz mi tylko, czy dobrze kombinuję - przerwał jej w pewnym momencie D.J., uśmiechając się promiennie. - Można więc powiedzieć, że obie jesteście moimi dziewczynami?

Melody wyglądała na zniecierpliwioną.

- Teoretycznie tak.- Super! - zawołał.

Frankie ostrożnie dotknęła tylnej kieszeni jego dżinsów. Rozległ się trzask, a w pokoju na moment rozbłysło światło.

- Ała! - krzyknął chłopak, chwytając się za porażone miejsce.

- Ciiiiii - dziewczyna zakryła mu usta.

- To bolało! - wymamrotał przez jej palce.

- Miało boleć.

Frankie wypuściła go z uścisku. Następnie stwierdziła:

- To wcale nie jest dobra wiadomość. Nic z tego, co powiedziała Melody, nie brzmi wesoło! +

- Dobrze, już dobrze - odparł pojednawczo D.J. i zaczął wachlować tył spodni.

- Więc jak będzie, zamierzasz wydać mnie Bekce? - zapytała Frankie trzęsącym się głosem.

- Cóż... - westchnęła Melody. - Przyznaję, z początku chciałam to zrobić, ale... - westchnęła ponownie. - Naprawdę nie wiem już, jak powinnam postąpić. Nie chciałabym cię zranić.

- Dlaczego? - spytała Frankie i spuściła głowę. Na jej szlafrok opadła samotna łza. Ześliznęła się w dół po satynowych fałdach materiału. - Cała reszta świata zdaje się zupełnie o mnie nie dbać.

Melody zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Mogę powiedzieć, że dobrze wiem, co czujesz.

- Jak to... - Frankie podniosła wzrok. - Ty też należysz do RADu?

- A co to takiego?

- Wyrażenie, którego używamy między sobą. Neutralne określenie na przynależność do grona „potworów” - wyjaśniła. - Skrót oznacza Ruch Atrakcyjnie Dziwnych.

- Prawie pasuje. Wszyscy brali mnie za dziwoląga. Choć niekoniecznie atrakcyjnego - zaśmiała się Melody, przywołując wspomnienia z Beverly Hills, nagle bardzoodległe. - Czasem za tym tęsknię - dodała, wskazując na swój nos.

- Dlaczego? - zdziwiła się Frankie. Nie potrafiła zrozumieć, jak ktokolwiek mógłby chcieć znaleźć się w jej sytuacji.

- Bo jako dziwak masz tę pewność, że kiedy ktoś cię lubi, to chodzi mu właśnie o ciebie, a nie o twój wygląd. Chce z tobą przebywać, bo dobrze się z tobą bawi, a nie dlatego, że chce cię mieć za przyjaciela, gdyż uważa cię za potencjalne zagrożenie dla swojego związku.

- Chyba nie do końca rozumiem...

Frankie otarła policzki rękawem szlafroka.

- Chciałam cię tylko zapewnić, że jestem po twojej stronie - powiedziała Melody i uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Nie chcę się poddawać ogólnemu zastraszaniu. Chcę zawalczyć o wolność. Ludzie powinni w końcu przestać obawiać się tego, że różnią się między sobą, żeby wszyscy, w tym Jackson i ty...

- I ja... - dodał D.J.

-...i D.J. mogli żyć wśród innych w normalny sposób.

- W takim razie, jaki jest nasz plan działania?

- Przede wszystkim, musimy odzyskać nagranie od Bekki - odparła Melody.

- Ale jak? Mam szlaban, i to chyba do końca świata, więc...

Przyznanie się do tego na głos uczyniło sytuację Frankie smutnie normalną.

- Nie mam pojęcia - przyznała Melody. - Ale jestem pewna, że razem coś wymyślimy.

Tylko nikt nie może nas przyłapać. No i na wszystko mamy trochę mniej niż dwa dni.

- Po prostu czad... - westchnęła Frankie bez cienia optymizmu.

Melody wyciągnęła dłoń w stronę dziewczyny.

- Wchodzisz w to?- Wchodzę - odparła Frankie, przyjmując układ.

- Ostrzegam, nie będzie łatwo - dodała Melody.

- Phi, też mi coś - parsknął D.J., po czym nachylił się nad akwarium błyszczurów i wyciągnął dwa gryzonie. Postawił po jednym zwierzątku na każdej dłoni, niczym na szalach wagi i cmoknął obydwu w pyszczki.

- To wszystko to bułka z masłem. Prawdziwy problem będziecie miały, walcząc o mnie!

Frankie zaiskrzyła. Mimo to Melody nie wypuściła jej ręki z uścisku. Stały na środku pracowni, potrząsając dłońmi. W jednej chwili zostały sojuszniczkami w walce o tolerancję i akceptację...

...i przeciwniczkami w potyczce o miłość.

PODZIĘKOWANIA

Chciałam szczególnie podziękować Barry'emu Waldo, Cindy Ledermann i mojej redaktorce, Erin Stein (zbieżność z nazwiskiem Frankie - przypadkowa!). Dziękuję Wam za zaufanie.

Byliście po prostu czadowi!

Jestem pewna, że ta książka nie powstałaby, gdyby nie pomoc i wsparcie kilku innych osób: Kevina Harrisona, Luke'a i Jess, Alexa Kohnera, Logan Claire, Jima Kiicka, Hallie Jones, Joey Orozco, Shalii Gottlieb, Kena Gottlieba oraz bez nieustannych dostaw coli light i gum do żucia (dzięki,JJ!).